A. KRZECHOWIECKI

MROK

FRANCISCAN FR. PROV. MIN. CONV.
ALLEGANY, N.Y.

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/pismaotron0000adam

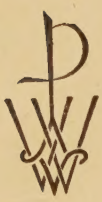

ADAM KRECHOWIECKI

PISMA

TOM CZWARTY

MROK

LWÓW—POZNAŃ
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

ADAM KRECHOWIECKI

OTRON

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z XVII WIEKU

CZĘŚĆ CZWARTA

MROK

LWÓW—POZNAŃ
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

KRAKÓW – DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

I.

Lekarz nadworny króla Jana III, Jonas, przybywszy w r. 1687 do krewnych, do Wilna, i wezwany do Halszki Łyszczyńskiej, orzekł, że dla niej niema ratunku. Żyć jeszcze może długo, ale zupełnej przytomności nie odzyska, a nawet smutek, który ją gnębi, coraz gęstszym mrokiem będzie tłumił jej pamięć.

Wyrok ten poraził Kazimierza Łyszczyńskiego jak grom. Nie dlatego, żeby namiętna jego miłość dla pięknej niegdyś Halszki nie była ostygła, bo w latach ostatnich, dawna jej niemoc, która ze zdwojoną powróciła siłą, mimowolnie rozdzieliła małżonków, lecz że w tem wszystkiem czuł on na sobie jakby nieubłaganą rękę losu, która go od młodu gnębiła i przeciw której podnosił się bunt w jego nieugiętej duszy. Przechodził w pamięci wszystkie przebyte koleje i widział, że mu się działa ciągła krzywda. Zrazu, w latach młodzieńczych, pełen żarliwości religijnej i zapału do nauki, pragnął tej nauce i służbie Bożej cały żywot poświęcić. Ale nawet w ciszy klasztoru oo. jezuitów nie dawał mu spokoju jakiś krnąbrny, niesforny duch, który ciągłe wyprawiał w nim harce, to buntując go przeciw uznanym i przyjętym regułom, to wskazując bezlitośnie ułomności i upadki innych, które napawały go zgorszeniem i goryczą. Potem znagła, w chwili takiej go-

ryczy i wahania ogarnęła go płomienna namiętność ku Halszce Szółkowskiej. Po wielu przejściach i walkach poślubił ją, lecz zastał w jej sercu niewygasłą dla książęcia Bogusława Radziwiłła miłość, a szatan zazdrości, poduszczony mściwą ręką stolnika Brzoski, zatruł najpiękniejsze lata ich pożycia. Nastąpiły długie dni rozłąki, utęsknienia, walki, aż przyszło chwilowe ukojenie i pojednanie. Na moment zdało się wówczas Kazimierzowi, że nadeszły dni pogodne, ale jeno na moment. Wnet zerwała się burza, a powodem jej stała się tym razem córka. Zochna rosła przy nim, ale do serca przyróść nie mogła. Ona wraz z niezwykłą urodą matki, wzięła od niej zimną obojętność i jakby odrazę do rodzica. W jej pięknych oczach, gdy się ku niemu zwracały, widział on lęk, nie miłość, w jej słowach czuł przymus. A w nim, gdy na nią spoglądał, na jej dziwnie urodziwą a tak do Halszki podobną postać, budziły się dawne niecne domysły i podejrzenia i nie dawały spokoju. Smutne to pożycie zakończyło się wreszcie ponowną niemocą udręczonej Halszki. Przez długie lata stawała w obronie już nie swojej, lecz jedynaczki umiłowanej, aż wreszcie zamilkła... Stała się obcą wszystkiemu, co się wokół niej działo, umysł jej zatonął w nieprzebitej mgle smutku, a usta poruszały się już jeno szeptem jednostajnej modlitwy.

A wówczas Kazimierza dzika porwała rozpacz. Zdawało mu się, że jest przeklęty, na ciągłe udręczenia skazany. Wiarę oddawna był utracił, więc w niej nie szukał pociechy, a buntując się coraz bardziej przeciw wyrokom Opatrzności, które złym losem nazywał, usiłował znaleźć zapomnienie w uczonych księgach i dociekaniach tajemnic Bożych. Nieraz całemi

dniami nie wychodził z dworku, po nocach nad księgami ślęczał lub w rozmyślaniach się pogrążał, aby dociec: jaki cel życia? po co te udręczenia, które mu szarpią zwątpiałą duszę? kto i jakiem prawem wydaje wyroki, które jednych na męki skazują, innym same dają rozkosze? Czasem zdawało mu się, że zagadkę rozwiązał, a przynajmniej, że bliskim jest tego. Wówczas ponura twarz jego rozjaśniała się; na chwilę ożywiał go dawny zapał, porywała chęć podzielenia się wiedzą z innymi. I jak niegdyś w klasztorze u oo. jezuitów, z żarliwością, która podziw budziła, uczył młodszych zasad wiary św., lub ze starszymi dysertacje wiódł, tak i teraz szedł w tłum, szukał chętnych do słuchania umysłów, zwłaszcza młodych, i na nich próbował swojej nauki. Wypowiadał przed nimi swoje wątpliwości, przytaczał argumenty, które mu nie wystarczały, i badał, zali one tych młodych przekonać są zdolne. Wielu poszło za nim; widział jak w nich powstawał zamęt, a wśród zamętu burzyły się namiętności. On je podniecał słowem i przykładem; czynił to z lubością, z jakimś zapałem, który mu dawne, młodzieńcze przypominał porywy. Wśród tych ogni, jakie rozniecał, rozpłomieniał się sam. W takich chwilach stawał się na wszystko inne nieczuły. Nieczułość tę mienił być spokojem i radował się, że go zdobyć potrafił.

— Już mnie teraz nie poruszy nic... — myślał. — Jestem jak ten, który po nużącej podróży dotarł do celu i odpoczywa.

Przebył pustynię, szukając skarbu Prawdy, szukał go z wytężeniem wszystkich sił i przekonał się, że go nigdzie niema. Więc go teraz nie pragnie i nie

szuka. Niema go nigdzie, jak niema myśli w zmąconym mózgu Halszki.

Stawał nad nią, przy krześle, na którem po dniach całych nieruchomo siedziała, i wpatrywał się w jej wychudłe rysy, w jej oczy bez blasku, mgłą zasnute, ujmował za rękę zimną, jakby martwą, podsłuchiwał szeptu jej bezmyślnej modlitwy. Czynił to — tak mu się zdawało — zupełnie obojętnie i obojętnie zadawał pytania, na które Halszka żadnej nie dawała odpowiedzi. Na wymówione głośniej wzdrygała się dreszczem, z trudem podnosiła głowę, patrzyła chwilę sztywnie na pochylonego nad nią Kazimierza i wnet znowu bezwładnie głowę opuszczała na piersi.

Łyszczyński uśmiechał się szyderczo.

— I gdzież jest dusza w tem zmarniałem ciele? — myślał. — Była, istniała, dopóki istniała myśl; zatem myśl jest tem, co zowiemy duszą. Zanika ona z chwilą, gdy niemoc zabije zdolność myślenia; zanika bezpowrotnie i bez śladu. Dopóki zaś żyje, wytwarza sobie różne, nieistniejące pojęcia, z niczego stwarza bóstwo; chciałaby istnieć wiecznie, więc chełpi się, że jest nieśmiertelną...

Ale tymczasem w Wilnie mówić poczęto głośno o niemocy Halszki i dziwnych praktykach jej małżonka. Sarkano, że ściąga do siebie młodzież i różną herezją mąci jej umysły, wskazywano niektórych, jak młodego Stanisława Jesmana, Jana Szółkowskiego, Grothusa i innych, którzy zasłyszane od Łyszczyńskiego herezje przyjęli i roznosili dalej. Nawet mieszczanek jeden, młody syn zamożnego płatnerza, Onufry Duchnowicz, przystąpił do nich, cech swój opuścił, rodzica się wyrzekł i bezbożnej nauce się od-

dał, po całych dniach z panem Łyszczyńskim nad księgami ślęcząc. Krewni Halszki -- zwłaszcza zaś pan chorąży Damian Jesman, ojciec owego obałamuconego młodzianka, starzec poważny i sędziwy — usiłowali zrazu wpłynąć perswazją na Kazimierza, ale to się na nic nie zdało. Kazimierz pogardliwem milczeniem zbywał uwagi, a raz opryskliwie odparł:

— Próżne gadanie, mości chorąży! Wam dobrze z waszą ślepotą, przeto żyjcie w niej... Mnie zaś oczu, które widzą, nie wydrzecie... ani zamkniecie ust, które mówić chcą i będą!

Powinowata Halszki, przeorysza sióstr bernadynek na Zarzeczu, u której Halszka długi czas przedtem przebywała w podobnej niemocy i dzięki jej opiece przyszła była do zdrowia, kołatać poczęła usilnie, chcąc ją znowu do klasztoru zabrać. Ale Łyszczyński ani słuchać chciał.

— Nie! — odrzekł stanowczo.

I dodał szyderczo:

— Przecież wy sami niewolicie małżonków, żeby sobie przysięgali, jako się nie opuszczą do śmierci.

Niebawem jednak zaszła w tym względzie zmiana.

Był w Wilnie rabin uczony, bardzo stary, nazwiskiem Betsal Jakób. Z nim nieraz Łyszczyński w uczone zapuszczał się dysputy a rozpytywał o różne przepisy Kabbały i Talmudu. Żyd mówił mało, na pytania odpowiadał krótko, stanowczo i spokojnie, ale raz, gdy mu Łyszczyński wywodził, jako dusza w człowieku wraz z myślą umiera, i jako on dowód tego ma na swej własnej małżonce, Betsal rzucać począł rękoma, siwą głową trząść, a wreszcie tak rzekł:

— Co wy wiecie?... Zali wiecie, czy małżonka

wasza w tem odrętwieniu swojem nie widzi lepiej i nie myśli jaśniej, niż wy? Co wy wiecie?...

— Nie wiem nic, niestety! — zawołał Kazimierz — ale wiedzieć chcę... chcę dotrzeć do źródła! A któż mi wskaże gdzie Prawda?

— Prawda jest w Zakonie... — odparł poważnie Betsal.

I nagle, jak to zawsze czynił, gdy mu dalsza dyskusja płonną się zdawała, odwrócił przedmiot rozmowy. Wypytywać się począł o chorobę Halszki, od jak dawna trwała, w jaki sposób badał ją i czy jakąkolwiek uzdrowienia czynił nadzieję lekarz królewski Jonas?

— Żadnej! — odrzekł ponuro Łyszczyński. — Przeciwnie: orzekł, jako mgła smutku, pogrążająca pamięć jej w odmęcie, stawać się będzie coraz gęstszą...

Betsal głową trząsł i siwą brodę gładził, patrząc posępnemi, bez blasku oczyma przed siebie.

— Jonas — rzekł po chwili — to bardzo mądry człek... Ale on i w połowie nie wie tego, co wiedzieli dawni żydowie, zwłaszcza ci, którzy w Aleksandrji mieszkali... Ci mieli mądrość pełną i znali leki na różne niemoce...

— I nie dochowały się ich przepisy? — żywo zagadnął Kazimierz.

— Są w pismach... jest ich wiele. Ale kto je stosować dziś będzie?... Kto?

Podniósł głowę w górę, moment milczał, potem przymknął oczy i mówił jakby do siebie:

— Trzeba w białych szatach chodzić, jak oni chadzali... posty i modlitwy czynić, jak oni... Pismo jak oni zgłębiać...

Reszta słów Betsala zginęła w niewyraźnym szepcie. Poruszały się jeno usta, bez dźwięku.

A zaś Łyszczyński mocno tem, co słyszał, zainteresowany, począł za chwilę mówić: jeżeli Betsal zna owe leki aleksandryjskich żydów uczonych, dlaczegóżby nie miał ich zastosować i Halszki uleczyć? Jeżeli on, rabin, twierdzi, że dusza Halszki nie zginęła wraz z jej pamięcią, niech da tego dowód, niech ją z tego odrętwienia, jakiem jest dotknięta, obudzi!

Ale Betsal pogrążył się teraz w milczeniu. Pochylił głowę na piersi i odpowiedzi nie dawał. Potem zaś począł mówić, ale zgoła o czem innem. Mówił o synu swoim, Szymonie Betsalu, który ma arendę w dobrach królewskich. Zrazu biadał nad nim, albowiem wyrzekł się obyczaju dawnego i jemu, rabinowi, wstyd tem czyni. Ale wnet w pochwałach się rozlał, jako jest przemyślny i obrotny niezwykle. Nie każdy ma taki rozum, jak ów Szymon; dochody z owej arendy w dwójnasób pomnożył i uczynić mógłby wiele ku podniesieniu dóbr królewskich i ogólnych dochodów z komór celnych, gdyby mu ich arenda w całości była oddana. Ubiega się on o to, i nawet królowa chętnie go słucha, ale król jegomość wzbrania się jeszcze, iżby mu nie zarzucano, że mając już lekarza żydowskiej wiary, jeszcze do zaufania i znaczenia drugiego żyda przypuszcza. Gdyby jednak kto, zwłaszcza z panów litewskich, znających rodzinę Betsala, za nim przemówił...

Łyszczyński z roztargnieniem słuchał. Cóż go obchodzić mógł Szymon Betsal, albo pomnożenie dochodów z dóbr królewskich i komór celnych? Betsal zaś z niecierpliwością to roztargnienie uważał. Zamilkł

i drżącą ręką siwą brodę targał, a potem znagła zagadnął:

— Wy dobrze znacie, mości podsędku, imćp. Bokuma, cześnika litewskiego?

— Znam go, krewniak mój jest...

Zamglone oczy Betsala zamigotały błyskiem.

— To możny teraz pan — rzekł zwolna. — Pomnę go młodziankiem w wojsku litewskiem... Z Kurlandji przybył fortuny szukać. I znalazł. Fortuna rośnie. Po pierwszej małżonce Szemiottównie, znaczne mienie wziął, a druga Branicka, siostra koronnego marszałka, przyniosła mu nietylko majątek, ale i znaczenie wielkie... Już teraz on pan...

— Zwłaszcza przez zięcia... — uszczypliwie dorzucił Łyszczyński.

— I przez zięcia i przez siebie... Pan Hieronim Lubomirski, małżonek jego starszej córki, to potęga! On z królem naszym jegomością sławą się okrył pod Chocimem i pod Wiedniem, i pod Kamieńcem, i w Wołoszech... Przez niego i przez pana Bokuma wszystko uczynić można na królewskim dworze...

Urwał i zpodełba na Łyszczyńskiego bystre rzucił spojrzenie. Ale ten słuchał ciągle obojętnie, jakby myślał o czem innem.

Betsal żachnął się niecierpliwie, i widząc, że w ten sposób do żadnego rezultatu nie dojdzie, rzekł wprost:

— Wybyście, mości podsędku, wiele dla nas uczynić mogli... gdybyście jeno chcieli...

— Ja?... — spytał zdumiony Kazimierz.

— Nie dla mnie, — ciągnął dalej Betsal — albowiem ja nie potrzebuję w starości swojej nic... Ale

dla syna mego Szymona i córki jego, Racheli, która przy mnie jest...

— To wnuczka wasza — zauważył Kazimierz — owa piękna dziewoja, której urodą całe Wilno się zachwyca, a którą zazdrośnie przed okiem ludzkiem strzeżecie?...

Rabin drżące ramiona podniósł do góry.

— To promień oczu moich! — zawołał — to światło mojej myśli... Ona jest jako lilja między cierniem, oczy jej jako oczy gołębicy, wargi jako tkanina karmazynowa, a wymowa wdzięczna. Strzegę jej przed okiem nieczystych, bo to skarb jest i klejnot, a biada temu, któryby mi go porwać chciał...

Na blade policzki starca wybiegły rumieńce; zawarł oczy i cały trząsł się jak w zimnicy.

A Łyszczyński, zdjęty mimowolnie współczuciem, spytał:

— Lecz cóż ja dla tej wnuczki waszej i dla rodzica jej uczynić mogę?

— Wszystko! — odparł żywo starzec. — Jedno słowo pana Bokuma lub zięcia jego nakłoni ucho królewskie ku synowi memu. Szymon mądry jest, jak nikt... On takie plany ma, że nasz król przesławny, który pragnie domowi swemu zapewnić tron i znaczenie, będzie kontent... Posiądzie bogactwo, a to tak, jak wszystko, jeśli nie wszystko...

Łyszczyński się uśmiechnął. Ten stary rabin, który mu zdawał się dotychczas zupełnie oderwanym od spraw ziemskich, zatopionym w księgach uczonych i rozmyślaniach, zdradził się naraz ze zwykłemi i poziomemi pragnieniami. Miłował bardzo wnuczkę, a ubiegał się o poparcie dla syna.

Betsal zaś, jakby czuł, że cały swój dawny urok utracił, i że teraz nie było po co zatrzymywać się w pół drogi, ciągnął dalej tonem niemal błagalnym:

— Gdybyście, wy mości podsędku, to słowo od pana Bokuma, albo od pana Lubomirskiego wyjednali, nie stracilibyście na tem ani wy, ani pan Bokum, ani pan Lubomirski... Mój syn...

— Co ja mogę? — przerwał niecierpliwie Łyszczyński — wy wiecie... ja nie żyję z nimi... oderwałem się od świata od kiedy małżonka moja...

— Będzie zdrowa! — zawołał Betsal, drżącemi rękoma wymachując żywo. — Ja wam powiadam: będzie zdrowa! Pytaliście się mnie przed momentem o leki uczonych aleksandryjskich żydów... Ja je znam!.. Żona wasza zdrowa będzie... Duszę jej obudzę... Na własne oczy ujrzycie cud!...

Mówił to z wielkiem uniesieniem, a Łyszczyński czuł, że go przejmuje dziwny dreszcz. Ten zgrzybiały starzec, milczący zwykle i w sobie zamknięty, wyglądający jak cień człowieka z przeźroczystą, wyschłą twarzą, z zamglonemi oczyma o krwawych powiekach, z długą, siwą brodą i głową łysą, okoloną długiemi pasmami białych włosów, które mu na ramiona spadały, wyglądał w tym momencie jak zmartwychpowstały trup, porywający się nagle z zapałem do życia.

Lodowatą ręką pochwycił Kazimierza za ramię i zdyszany mówił dalej, a raczej szeptem urywanym kończył:

— Mój syn... mój Symeon, ma wrogów... zaciętych wrogów. Oni go do niczego dopuścić nie chcą... odsuwają... grożą... śmiercią grożą! Bo on od wszystkich mądrzejszy... i ma myśli, wielkie myśli! On kró-

lowi chce dać więcej za arendę dóbr i komor niż kto inny. On da więcej i dotrzyma... Dlatego go dopuścić nie chcą, i szkalują, i grożą... Wy przez pana cześnika i pana marszałka możecie nie dopuścić do tego, a i wam przydać się to może... Wam grożą niebezpieczeństwa różne... wy także wrogów macie... Gdyby mój syn...

— Panie Betsal, — przerwał Łyszczyński, powstając z miejsca — z wrogami swymi ja sam sobie poradzę, a w takie sprawy mieszać się nie mogę i nie chcę...

Stary żyd skulił się w krześle, zgnębiony. Głowę wsunął w ramiona i trząsł się. Sprzeczne jakieś myśli tłumiły się snadź w jego mózgu, bo ustami poruszał, jakby mówić chciał, a lękał się, to znów rękoma rzucał i cmokał głośno, a głowę to podnosił, to ją opuszczał na piersi.

Łyszczyński zaś rzekł:

— Żegnajcie, panie Betsal...

I zmierzał ku drzwiom.

Ale rabin dźwignął się z krzesła i drżący, krokiem chwiejnym szedł za nim.

— Błagam Miłości Waszej!... — wołał — nie opuszczajcie mnie... Ja wam wszystko powiem... Mego syna zgubić chcą... oskarżyć... zamordować... Ja wam całą sprawę opowiem. Ja przyjdę do was... przyniosę małżonce waszej zdrowie, a wy mnie, stojącemu nad grobem, wrócicie spokój!

Mówił z wytężeniem sił, głosem ochrypłym i piskliwym, który snadź dochodził do przyległej izby, bo znagła drzwi się od niej otwarły i na progu, widocznie zaniepokojona, stanęła Rachel.

W czarną suknię przyodziana, smukła bardzo,

wyglądała jak posąg. Matowej białości twarz, o rysach wyrazistych i regularnych, okolona była bujnemi włosami tej barwy, co roztopione złoto. Na twarzy tej paliły się przejmującym ogniem oczy duże, ciemne, o głębokiem spojrzeniu. Stała tak moment, przenosząc wzrok to na dziadka, to na Kazimierza, z niepokojem i ciekawością. Wydatne, purpurowe usta rozchyliła, chcąc pytać. Ale gdy spotkała się z zachwytu pełnem spojrzeniem Kazimierza, zdjął ją jakby lęk. Na blade policzki wybiegły rumieńce, oczy stłumiły swój ogień, kryjąc się pod długą rzęsą.

Ujrzawszy ją, Betsal miał zrazu taki ruch, jakby chciał ku niej biec i drzwi za nią zamknąć. Ale wnet się zmiarkował; nie uszło jego bacznej uwagi ani zachwycenie Kazimierza, ani pomieszanie Racheli. I zdecydował się.

— Przystąp bliżej, — rzekł do wnuczki — przystąp bliżej i prośby swe dołącz do moich... Oto wiesz, jakie rodzicowi twemu niebezpieczeństwa grożą. W mocy pana podsędka jest owe niebezpieczeństwa usunąć... Proś go.

Ruszyła się Rachel z miejsca i szła ku Łyszczyńskiemu zwolna, z głową pochyloną, z pewnem wahaniem, które jakby kołysało jej smukłą a dorodną kibić. On zaś czuł, że ku niemu zbliża się płomień żywy, który go ogarnia i przenika pieszczotliwem ciepłem...

Rachel stanęła przed nim i podniosła powłóczyste spojrzenie. Na rozchylonych ustach był zagadkowy uśmiech.

— Ja was znam, mości podsędku — rzekła głosem śmiałym a dźwięcznym.

— Wy? mnie?

— Tak... znam was — powtórzyła. — I was, i wymowę waszą, którą umiecie serca poruszać.

A widząc pełen zdumienia wzrok Kazimierza i pomieszaną twarz dziadka, dodała spiesznie:

— Gdy był tu wuj mój, Jonas doktor, szłam z nim rozmawiając za miasto, nad rzekę... W tem nagle ujrzeliśmy was z gronem młodzieży. Mówiliście głośno, bardzo głośno, z zapałem. Mówiliście o myśli człowieka, stwarzającej wszystko z niczego..

— I rozumiałaś mnie? — spytał w najwyższem zdumieniu Kazimierz.

— O! — z pewną dumą wtrącił Betsal — wnuczka moja rozumie wszystko... uczona jest w Piśmie... Ale — dodał patrząc surowo na Rachelę — przecz-że mówisz o tem?

— Nie byłabym wspomniała nigdy, — odparła Rachel — bo to był taki moment, który najlepiej zachować w milczeniu, a słowa mądrego rozważać w sercu swem...

— Tak mówi Pismo... — rzekł Betsal, uniesiony dumą z mądrości wnuczki.

Ona zaś znowu zarumieniła się mocno i zamilkła, lecz wnet podnosząc promienne na Kazimierza spojrzenie, dodała:

— Mówię dziś o tem Miłości Waszej, aby śmielej móc was prosić za rodzicem... Uczyńcie, co możecie, a oto dziad mój rzekł, jako możecie wiele...

Złożyła błagalnie dłonie.

On zaś był jak w odmęcie. Czuł, że porywa go jakaś siła, że dawno niedoznawana namiętność ogarnia go całego, burzy krew w żyłach, przyśpiesza tętno serca. Doświadczał bolu i rozkoszy zarazem; chciał

uciec od błagalnego spojrzenia tych ciemnych, głębokich oczu, a przytem pragnął nasycić się widokiem tego cudownego oblicza i postaci, tych ust wpół rozwartych niemą prośbą.

Zadając sobie gwałtowny przymus, aby przerwać dręczące milczenie, rzekł wreszcie niemal szeptem:

— Uczynię co będę mógł...

A zwracając się ku Betsalowi, dodał:

— Wy zaś dotrzymajcie przyrzeczenia... przyjdźcie i przynieście uzdrowienie małżonce mej...

— Przybędę jutro o zmierzchu... — rzekł rabin, ale teraz brzmienie jego głosu było twarde, niemal ostre.

Rachel zaś nie rzekła ani słowa. Na przyrzeczenie Kazimierza odpowiedziała głębokiem, jakby kornem pochyleniem głowy, a potem uniosła ją nieco i z pod czoła wybiegło ku niemu długie spojrzenie ognistych oczu.

On wyszedł, a raczej wybiegł oszołomiony.

Stary Betsal powracał, zataczając się na swoje miejsce. Głową chwiał i szeptał:

— «A pan wszechmogący zaszkodzi mu, i da go w ręce niewieście i porazi go»...

Usiadł i spojrzał na wnuczkę.

Stała przy oknie wytężonym wzrokiem ścigając odchodzącego Kazimierza.

— Jaki on piękny! — myślała — jaki mądry! jaki wymowny!

Rabin długo milczał, patrząc na nią. Chudem jego ciałem wstrząsał dreszcz, ale z zamglonych oczu strzelały teraz błyski gniewu.

— Rachel! zawołał nagle.

Ona żachnęła się, jakby ze snu obudzona, i podbiegła ku niemu.

— Rachel! — powtórzył żyd, wyciągając ku niej zgrzybiałą prawicę — weź księgi Judith i czytaj!

— Przecz-że to mam teraz czynić? — spytała zdziwiona.

Betsal ręką trząsł i groził:

— Uciekaj przed grzechy — powiadaPismo — jako przed wężem, a jeśli do nich przystąpisz, ukąszą cię...

— Nie rozumiem was — szepnęła, chyląc głowę.

— Rozumiesz ty dobrze! — krzyknął Betsal. — Ale strzeż się! Zęby lwie, zęby tego człeka, który tu był, zabijające dusze ludzkie.

I mówił z coraz większem uniesieniem, mieszając słowa Biblji z własnemi słowy:

— Ty nie wiesz, kto on jest. Bezbożny i niewierny... burzy swój Zakon i nasz... Kamieniem obłoconym będzie ukamienowan, a wszyscy będą mówić ku wzgardzie jego! Żałoba po zmarłym przez siedm dni, ale po bezbożnym po wszystkie dni żywota... Więc strzeż się!..

Rachel pobladła i uklękła u nóg starca.

— Dziadku, — szepnęła pieszczotliwie — cóż on uczynił tak złego i co uczyniłam ja, iż się gniewacie?...

— Co on uczynił? — przerwał Betsal. — Codziennie przychodzą skargi. Oto wczoraj żalili mi się: Jozue syn Odai i Baruch syn Rehuma, a przedwczoraj Abia syn Echaja, jako ten Łyszczyński jadem niewiary dusze ich synów zatruwa. Niech truje swoich braci i swoje siostry i synów braci swych, ale do naszych niech nie sięga, bo zginie! Droga grzeszących kamie-

mieniem ubrukowana, a na końcu ich piekło i ciemność, i męki!...

Rachel zbladłą twarz ukryła w dłonie, a potem głowę złożyła na kolanach starca, oddychając ciężko.

Betsal zaś odpoczął moment i mówił dalej:

— Powtarzam ci Rachel, strzeż się! To jest człek na zatracenie skazany... Ale nim zginie, niech nam pomoc da. Zatracił on w bezbożności dusze synów Jozuego i Barucha i Abii, niech za to ocali rodzica twego, a z nim tysiące innych. Przeciw rodzicowi twemu jest spisek, bo możny i mądry, a u królowej posłuch uzyskał. Zgubić go chcą, niech go więc Łyszczyński ocali, a potem zginie sam!...

— Och, och! — jęknęła Rachel.

— Odkrywam ci to, abyś wiedziała, co sprawić masz... Zrazu nie chciałem tego... alem dojrzał, że on pojman jest, jak Holofernes, oczyma swemi, które na ciebie spojrzały. Więc będziesz pomocna.

Wzdrygnęła się Rachel całą postacią, podniosła bladą jak chusta twarz, zaprzeczyć chcąc.

Ale Betsal krzyknął głosem wielkim:

— Milcz!... Weź księgi Judith i czytaj... Czytaj rozdział IX, jako korzyła się Judith Bogu, prosząc, iżby dał jej moc zgładzenia Holofernesa...

Rachel powstała, krokiem sztywnym podeszła do stołu, kędy leżały księgi i usiadłszy u stóp rabina, czytała posłusznie:

«Podnieś ramię twoje, a roztrąć moc ich w gniewie twoim, którzy się obiecują zgwałcić świętości twe, i splugawić przybytek imienia twego, i strącić mieczem swym róg ołtarza twego...»

Betsal przymknął oczy, głową chwiał i szeptał:

— Tak... tak... on strącić chce ołtarz cały, mówiąc jako Boga niema!

Rachel czytała dalej:

«Uczyń, Panie, aby jego własnym mieczem pycha jego była ucięta... Niech pojman będzie sidłem oczu swoich na mnie, a porazisz go ustami łagodności mojej...»

Głos Racheli drżał, zachodząc łkaniem, starzec zaś głową trząsł i szeptał:

— Tak! Ty uczynisz to... Czytaj dalej!

«Daj mi w sercu stałość, abym go wzgardziła, i moc, abym go...»

Nie mogła dokończyć... Więc Betsal kończył sam:

— Abyś go pokonała... Bo to będzie pamiątka imienia Bożego, gdy go niewieścia ręka porazi... Da ci Pan słowa w usta twoje i w sercu twem radę umocni, aby dom nasz w świętości swojej został, i wszyscy narodowie poznali, żeś Ty jest Bóg, a oprócz Ciebie niemasz innego!

— Dziadku, już ciemno... nie mogę czytać!... — szepnęła Rachel.

Rzeczywiście słońce dawno już zgasło i gęsty mrok zasnuwał izbę. Księga wysunęła się z rąk Racheli; ona zaś przypadła do ziemi i leżała bez ruchu u stóp starca, tłumiąc szlochanie, które jej pierś rozrywało.

Rabin opuścił głowę na piersi, oczy zawarł i zatonął w rozmyślaniach.

Ciemność zaległa izbę...

II.

Łyszczyński wbiegł do dworku swego jak szalony. Przystanął w pierwszej komnacie i nasłuchiwał. Była cisza, jeno z przyległej izby dochodził jęk Halszki i szept jej modlitwy, jednostajny jak spadanie kropel wody.

— To cały mój żywot!... — pomyślał — ładny żywot!

Zbliżył się do okna, przyłożył do szyby rozpalone czoło i zatonął w zadumie.

Co się z nim stało przed momentem? On, człek oddany nauce, zawiłym dociekaniom Prawdy, on niemłody już, który burze i namiętności młodzieńcze daleko zostawił za sobą, zadrżał i oniemiał wobec jednego spojrzenia niewiasty! Co się z nim stało? Nie mógł stracić z przed oczu tej cudnej postaci. Widział ją ciągle z pochyloną kornie głową, na której jak węże wiły się w skrętach bujne pasma włosów, barwy roztopionego w ogniu złota. Czuł na sobie głębokie spojrzenie promienistych oczu, wpatrywał się w rozchylone niemą prośbą purpurowe usta. W myśli wyciągał ku niej ramiona, porywał ją w objęcia i niósł na swem sercu przytuloną, daleko od ludzi i niebezpieczeństw wszelakich.

Powtarzał szeptem dane Racheli przyrzeczenie:

— Dla ciebie uczynię wszystko... co jeno w mocy jest mojej, uczynię!

A dopełnić przyrzeczenia tego nie było rzeczą łatwą. Zewsząd podnosiły się skargi na owego Szymona Betsala. Mówiono, że zagarnąwszy już liczne komory celne i arendy dóbr królewskich, niemiłosiernie zdziera ubogich i maluczkich, a przekupuje możnych, iżby ich milczenie i poparcie uzyskać. Sarkano na królowę, iż żydowinowi temu wyraźne okazuje względy i za jego wstawiennictwem urzędy i godności rozdaje. Łyszczyński słyszał, jako się odgrażano podniesieniem tych spraw na sejmie.

Poczuł w sobie nowe siły; chciał żyć, działać, wyrwać się z tego koła udręczeń, w którem dotychczas przebywał. W tym momencie nie słyszał już ani jęku swej małżonki, ani ponurego szeptu jej modlitwy.

Odstąpił od okna i zwolna przechadzać się począł po komnacie.

— Dziwna istota ten człowiek! — myślał. — Wczoraj jeszcze, jeszcze nawet przed godziną, to, co mnie teraz całego zajmuje, było mi zgoła obcem i obojętnem. Cóż mnie obchodził żyd Betsal, albo córka jego? Obchodził mnie jeno ten dyszący zaledwie trup, Halszka, ciężyła mi jej córka, Zochna, zajmowały księgi...

Spojrzał na leżące w nieładzie na stole i na podłodze rozwarte woluminy.

Jeden z nich nogą kopnął z pogardą.

— Gdyby wszystką zawartą w nich mądrość wsiąknąć w siebie, — szepnął — przyniosłoby to może chwilowe zadowolenie pychy, ale ani jednego momentu szczęścia. A co jest szczęście? Szczęście jest w szale,

który człowieka wynosi ponad wszystkie przeszkody, ponad wszelakie względy, ponad świat cały...

Mrok zapadał. Kazimierz usiadł przy stole, wsparł się na nim łokciami i twarz ukrył w dłonie. Krew napływała mu do głowy, która pałała. Widział znów przed sobą Rachel, ale już nie błagającą, jeno rozpłomienioną niezwykłem uniesieniem.

— Miłuję cię! — mówiła drżącym szeptem: — weź mnie, zabierz, unieś!

I rozwarte wilgotne usta podawała mu do pocałunku...

Nagle wzdrygnął się Kazimierz i głową niecierpliwie rzucił.

Z przyległej komnaty ozwał się głośniejszy szept Halszki:

— Z głębokości wołałam ku Tobie Panie, Panie wysłuchaj głosu mego...

W tym samym momencie doszło jego uszu echo rozmowy dwóch osób, które się snadź niedaleko zatrzymały. Jeden głos poznał odrazu — głos Zochny.

Łyszczyński porwał się z miejsca i podszedł do okna. Było już zupełnie ciemno, ale chwilami księżyc wydostawał się z za chmur i rzucał błękitnawe światło na ogród, otaczający dworek. Gałęzie drzew wchodziły niemal w okno, a poruszane lekkim jesiennym powiewem, wydawały szelest ponury. Zrazu Łyszczyński nic dostrzec nie mógł; dopiero po chwili odróżniać począł dwie postacie, stojące opodal wśród drzew. Jedną z nich była niewątpliwie Zochna, wracająca od krewnych swej matki, Jesmanów. Ale ten, który z nią rozmawiał, nie był młody Jesman. Mówił z nią jednak bardzo poufale, zbliżał się, pochylał nad nią, jakby do

ucha szeptał... Nagle promień księżyca wydobył się z za chmury, pędzonej wiatrem, zatoczył krąg świetlany i zatrzymał się na postaci młodziana. Łyszczyński poznał go i cofnął się ze zgrozą.

To był młody płatnerz, Onufry Duchnowicz, jeden z jego pierwszych, najgorliwszych i zupełnie mu oddanych uczniów, pełen zapału do nauki... Ale to wszystko snadź było pozorem i kłamstwem. Duchnowicz udawał swoją dla niego wierność i gorliwość w nauce, aby mieć sposobność zbliżyć się do Zochny, rozmiłować ją w sobie, a może i poślubić, on, pospolity mieszczanek i rzemieślnik, ją, noszącą stare nazwisko szlacheckie, majętną dziedziczkę!

Moment jeszcze patrzył na nich. Coś jak gdyby ugryzło go w serce, bo syknął z bolu. Po raz pierwszy wygłaszane przez niego zasady obracały się przeciwko niemu. Wszak on sam nauczał, że małżeństwo nie może być sakramentem, że jest jeno związkiem serc. Cóż więc dziwnego, że Duchnowicz przejął się tem i szukał serca Zochny?... A ona?... Stali oboje w blaskach księżyca, źle zasłonięci konarami drzew. Rozmawiali teraz po cichu, bardzo cicho; szept ich rozmowy zagłuszał nieznośny szelest gałęzi... Ale rozmowa ta musiała zajmować ich bardzo, nie zważali bowiem, że ich z okna łatwo dostrzec było można. Ona wpatrywała się z zachwytem w niezwykle urodziwą twarz młodziana, on zaś ujął ją za rękę i szeptał... szeptał...

Znowu ból piekący w sercu... Och, jemu tej młodości, która dwa serca skłania ku sobie. i słodkiem jarzmem niewoli, nie powróci już nikt!... Cóż znaczy podziw Racheli dla jego wymowy i wiedzy, wobec

tego uczucia, które się rodzi w tych dwóch młodych istotach? Zali Rachel, widząc jego siwiejące włosy, sterane życiem i troską rysy, mogłaby kiedykolwiek zapłonąć ku niemu takiem uczuciem, jakie wstrząsać musiało w tej chwili sercem Zochny dla pięknego mieszczanka? nigdy!... Przyjdzie taki sam, jak Duchnowicz, młody, urodziwy, i zabierze ją...

Ogarnęła go wściekła zazdrość. Szarpnął oknem, otworzył i krzyknął:

— Zochna!

Obie stojące w ogrodzie postacie drgnęły i odskoczyły od siebie, a za moment Zochna stanęła przed groźnym rodzicem.

Rozłożone teraz na kominie ognisko jaskrawem światłem oblewało całą komnatę i postać dziewczęcia które stało z głową pochyloną, strwożone. Zochna była piękna, bardzo piękna, ale uroda jej zgoła inna niż Racheli. Wyższa od niej nieco wzrostem, miała kształty bujne, dorodne, ale twarz jej o rysach drobnych, delikatnych, okolona włosami ciemnemi, nacechowana była wyrazem przygnębienia i smutku. W oczach dużych, szafirowych, przebijała się ciągła zaduma. Zdawało się, że spoglądają daleko, w przestrzeń, że wpatrują się w niepewną przyszłość, odwracając od teraźniejszości. W całej tej postaci, pomiędzy wyrazem rysów twarzy, spojrzeniem zadumanych, jakby strwożonych oczu, a dorodnością kształtów, była zagadkowa sprzeczność, która uderzała na pierwszy rzut oka. Odrazu przychodziło na myśl, że dzieweczka ta miała być inną, a inną się stała, że rosła na silną i dzielną, a wyrosła strwożona, zadumana i smutna. Ta sama sprzeczność była w ruchach i wyrazie ust. Chwilami ruchy

miała żywe, ruchy istoty silną obdarzonej wolą, lecz wnet stawały się one powolne, ociężałe, jakby senne. Usta jej umiały rozkosznie się uśmiechać i rozpromieniać twarz całą, lecz zwykle zaciskały się w milczeniu posępnem i upartem.

Teraz kuliła się Zochna pod groźnem spojrzeniem rodzica. On ją przenikał nienawistnym wzrokiem, milcząc.

— Duchnowicz był z tobą... — rzekł wreszcie.

— Tak... — odpowiedziała, głosem bezdźwięcznym, który lękiem drżał. — Wychodziłam od Jesmanów... Imćpan Onufry spotkał mnie i — odprowadził...

Łyszczyński przechadzał się teraz po izbie, tłumiąc w sobie gniew. Nie chciał go okazać; pragnął postanowienia, powziętego przed chwilą, dopełnić ze spokojem i niewzruszoną powagą, aby uniknąć łez i próśb daremnych.

Zapanowawszy tedy nad sobą, zatrzymał się przed córką i rzekł:

— Jutro o świcie wyjedziesz...

Zochna drgnęła całą postacią, pochyliła głowę i skuliła się jeszcze bardziej pod brzemieniem tego wyroku.

— Och!... — jęknęła zcicha.

On zaś kończył:

— Panna Barsobówna, piastunka twoja, odwiezie cię do brata mego, Witolda, do Markowszczyzny... Tam ostaniesz...

— Dlaczego?... dlaczego?... — szepnęła Zochna.

— Bo ja tak chcę!... — była krótka, szorstka odpowiedź.

Zbladła twarz Zochny okryła się rumieńcem. Śmia-

łym ruchem podniosła głowę i roziskrzone spojrzenie rzuciła na rodzica. Zdawało się, że z jej ust zaciśniętych wyrwie się protest.

Ale trwało to jedno mgnienie oka. Groźne spojrzenie ojca wnet stłumiło wszelki opór w jej struchlałem sercu.

— A matka? — szepnęła.

Łyszczyński ramionami dźwignął.

— Nie potrzebuje ona ciebie... a tobie opieki nie daje... Da ci ją brat mój, Witold... Idź!...

Krokiem chwiejnym, suwając się raczej, niż stąpając po ziemi, weszła Zochna do przyległej izby, kędy w krześle poręczowem, wysokiem, spoczywała, wsparta na poduszkach, Halszka. Miała oczy zawarte; zdawała się uśpioną spokojnie, ale wychudła, zczerniała jej twarz wyrażała cierpienie.

Zochna do jej kolan przypadła.

— Matko! matuchno! — szepnęła.

Halszka drgnęła. Otworzyła zapadłe w głąb, błędne, zamglone oczy i wodziła niemi dokoła. Wyschłemi rękoma rzucała, jakby czegoś szukając... Znalazła przytuloną do siebie głowę Zochny, i z ust jej wyrwał się stłumiony okrzyk, raczej do jęku podobny.

— A! a!... a!... Zochna moja... moja!...

— Matuchno! daj radę...: ulituj się! — zcicha błagało dziewczę.

Ale myśl Halszki, na moment zbudzona, wnet się urwała. Chora wyprostowała się i głosem jednostajnym, jękliwym poczęła powtarzać:

— Z głębokości wołałam ku Tobie, Panie, Panie!

Zochna załamała ręce, powstała szybko z miejsca i z głośnem szlochaniem wybiegła do sąsiedniej izby

która służyła za mieszkanie dla niej i piastunki jej. Długo w noc trwała rozmowa, przerywana łzami. Dorota Barsobówna, niemłoda już niewiasta, daleka powinowata Łyszczyńskich, wychowała się od dziecka w ich domu, w Markowszczyźnie, i przywiązana do nich gorąco, pielęgnowała Zochnę z macierzyńską czułością. Kazimierz obudzał w niej uszanowanie, ale zarazem bojaźń tak wielką, że w jej głowie nawet powstać nie mogła myśl oporu jego woli.

— Trzeba słuchać... trzeba! — powtarzała płaczącej Zochnie, pieszczotliwie garnąc ją ku sobie. — Źle ci tam nie będzie... Markowszczyzna to raj, pełen róż i cudnego kwiecia, a pan Witold to anielskiej dobroci człek, nie tak groźny i zatopiony w uczonych księgach, jak rodzic twój... Będzie ci tam jak w raju, dziecino zobaczysz...

— A biednaż matuchna moja? — zaszlochała Zochna.

Panna Dorota westchnęła ciężko.

— Taka wola Boża, — odrzekła ze smutkiem — że ani ty jej, ani ona tobie pomocą być nie może! I żal nawet, że twoje młode oczy na taką niedolę patrzeć musiały... Może to i lepiej, że...

— O, nie! o, nie! — przerwała Zochna, wybuchając łkaniem. — Ja nie zdołam się stąd oderwać, mnie serce pęknie!...

Panna Dorota wzięła ją w objęcia i jak małą dziecinę pieścić i uspokajać poczęła. A wśród tych pieszczot, rozżalona bardzo, Zochna czuła, że tego, co dotychczas w sercu swem ukrywała, nie zdoła dłużej przed umiłowaną piastunką utaić. Tuląc się przeto do

panny Doroty, wyszeptała nazwisko Duchnowicza, i kryjąc twarz mocno zapłonioną, dodała:

— Jak go miłuję! och, jak go miłuję!

Panna Barsobówna, odtrącając zlekka Zochnę, żywo porwała się z miejsca. Na jej pomarszczoną zwiędłą twarz wybiegły ceglaste rumieńce, oczy zabłysły oburzeniem.

— Co? co?... — jąkała drżącemi usty. — Duchnowicz, płatnerz, mieszczanek... onby śmiał!

Zochna siedziała na ziemi, z załamanemi rękoma, bez ruchu, nie płacząc już, jeno łkając cicho. Czuła teraz, że jedyna pomoc, jakiej spodziewać się mogła, usuwała się od niej. Nie było ratunku!

— Przemienienie Pańskie! — wołała panna Dorota. — A tożby się już świat skończył, gdyby taki łyczek prosty śmiał sięgać po córkę szlachecką z dziada pradziada! Rany Boskie! A cóżby na to rzekli wszyscy Łyszczyńscy, Grothusowie, Machwiczowie, Jurahowie, Jesmanowie, a zwłaszcza wuj twój, imćpan cześnik litewski, Bokum, który się z pierwszemi domami w Rzeczypospolitej połączył!

Panna Barsobówna tak była oburzona, że podniósłszy ramiona do góry, trzęsła niemi w powietrzu. Jej mała, skurczona postać zdawała się rosnąć w tym gniewie, obudzonym myślą o takiem poniżeniu rodu Łyszczyńskich, o którym panna Dorota wysokie miała pojęcie.

— Teraz widzę, — dodała — że nie prosić rodzica, iżbyś tu ostać mogła, lecz raczej naglić do wyjazdu należy.

I z pośpiechem, cała drżąca, zaczęła zbierać rzeczy Zochny i swoje, i składać je w tobołki.

— Jezus, Marja!... — mruczała chwilami — Jezus, Marja!... płatnerz... skaranie Boskie!

Nagle przerwała sobie robotę i zbliżając się do siedzącej nieruchomo Zochny, rzekła:

— Zawsze mówiłam, że w tych Łyszczyńskich jakiś djabeł — Boże odpuść — siedzi... — Pamiętam... siostra rodzica twego, Maruchna, jak ty urodziwa a wesoła jak ptaszek, bo wtedy inne lepsze były czasy... rozmiłowała się była w przybłędzie jakowymś, nazwiskiem Szczenicki. No i co? stało się nieszczęście... Rodzic jej a twój dziadek, pan sędzia — świeć Panie! — przypłacił to życiem... umarł z rozpaczy. Ona zaś poszła za onym Szczenickim w świat i już nie wróciła... Bóg wie, gdzie się obraca... Pono kędyś w Prusiech, na niemieckich dworach kąty wyciera... Djabeł w niej był, który ją skusił... Albo i w rodzicu twoim...

Urwała, oglądając się z przestrachem, machnęła ręką i napowrót wzięła się do roboty...

A tymczasem Kazimierz Łyszczyński czuwał. Nawet nie myślał tej nocy o spoczynku, tak sprzeczne i dręczące targały nim uczucia. Myśl biegła ciągle ku Racheli, lecz wracała stamtąd spłoszona, przerażona upokorzenia i wstydu pełna.

— Stary jestem! — szeptał — stary! Nie zdołam jej ani pociągnąć ani przywiązać... Gdybym miał Duchnowicza młodość!...

Ale właśnie dlatego, że jej nie miał, tem gorsza opanowała go namiętność, tem silniejsze pożądanie, tem gorętsza chęć pokonania wszelakich przeszkód, a zarazem zemszczenia się na tej, promieniejącej nadzieją i urokiem młodości.

I coraz bardziej umacniał się w postanowieniu wysłania Zochny do Markowszczyzny.

— Ona mi tu jest kulą u nogi — myślał. — Po-

zostanę sam... Chcę zostać sam... Odżyję! Niech Betsal jeszcze spróbuje owych leków aleksandryjskich, a gdy one nie pomogą, a pomóc nie zdołają, wówczas oddam Halszkę bernardynkom... niech z nią klepią psalmy... Będę sam!

Żywo chodził po komnacie, zatopiony w myślach o tej przyszłości, ciszy i spokoju pełnej, w której on na drodze swojej nie będzie miał już żadnej zawady, ni hamulca... Z ciszy tej wynurzyła się promienna postać Racheli, przenikała go ognistem spojrzeniem swych głębokich oczu, a on biegł ku niej z żywością i zapałem młodzianka, jeno silniej i wierniej, niż młodzianek, miłujący, bo nie mający przed sobą żadnej innej miłości, żadnego więcej pożądania, bo świadomy tego, że to już ostatnie w życiu miłowanie i rozkosz ostatnia!..

— Niech mnie potem nicość ogarnie!.. — wyszeptał — bylebym raz jeden mógł mieć w objęciach tę cudowną postać... wziąć w dłonie tę drogą, złotowłosą głowę, unieść ją ku sobie i zatonąć w pocałunku jej ust purpurowych!

— Szalony! szalony!... — ozwał się w nim jakiś głos szyderczy, zimny, nieubłagany. — Ciebie już teraz pochłonęła nicość, albowiem namiętność twoja, tak nagle i późno obudzona, jest nicością i ku nicości wiedzie. Uczyniłeś pustkę w sercu swem, wygnałeś z niego wiarę dawną i oto czem to spustoszenie zapełnić usiłujesz. Chcesz wokół siebie ciszy i spokoju, a wzbudzasz burzę, która cię powali... Szalony i głupi!

Wzdrygnął się Kazimierz i zbliżył do okna. Wśród gałęzi drzew przebłyskiwało niebo pogodne, na którem bladły już gwiazdy. Nie był to jeszcze świt, ale jego oczekiwanie, pełne spokoju, lekkiej, błogiej senności.

Za moment z kominów dworków pobliskich poczęły ukazywać się czarne smugi dymu, szły prosto w górę, strzelały wysoko i nikły. Na drodze, widnej zdaleka, od Werek wiodącej, ukazywać się już poczęły wozy włościańskie, dążące na targ do miasta. Budzili się już ludzie i świtało życie.

— Zochna musi jechać zaraz! — mruknął Kazimierz — aby uniknąć ciekawych oczu, które potem języki plotarskie w ruch wprawią...

A mrucząc tak, myślał zwłaszcza o najbliższej sąsiadce swej imćpani Morozowej, złośliwej wdowie, która sprzęgła się dziwną przyjaźnią z zaciętym wrogiem jego, stolnikiem Brzoską, i ścigała Kazimierza na każdym kroku podejrzliwem okiem i oszczerczą mową.

Ruszył się od okna i szybko wybiegł z komnaty, aby zbudzić służbę i kazać przygotować wszystko do podróży Zochny.

Niebawem wchodził do niej i niepomału się zdziwił, ujrzawszy córkę i pannę Dorotę gotowe do wyjazdu. Spodziewał się oporu, łez i próśb, a tymczasem z zaciętych ust Zochny ani jedno słowo nie wyszło. Pochyliła się do kolan rodzica, na ręce jego zimny złożyła pocałunek — i to wszystko... Jeno w komnacie matki zdawało się, że Zochnie zabraknie sił.

Halszka spoczywała na łożu, w głębokiem pogrążona śnie... Twarz jej okolona ciemnemi, rozburzonemi włosami, nieco u skroni posrebrzonemi siwizną, wciśnięta głęboko w poduszki, trupio blada, o zapadłych policzkach, mogłaby wydać się martwą, gdyby nie sine usta, które drżały chwilami, poruszane niedosłyszalnym szeptem.

Zochna, usiłując nie czynić żadnego szelestu, zbli-

żyła się i u stóp matki uklękła. Pierś jej wezbrała łkaniem, a ona pochyliła głowę i ostrożnie, aby śpiącej nie zbudzić, przyłożyła usta swe do jej stóp.

— Matuchno! — szepnęła — to może... to pewnie po raz ostatni... Zali ty wiesz, jaka twoja Zochna biedna!..

Czuła, że porwie ją głośne szlochanie. Dłonią zaciskała usta, tłumiła oddech w rozełkanej piersi.

— Już czas, Zochno! — ozwał się zcicha, ale stanowczo rodzic.

Głos ten uspokoił ją odrazu. Wzdrygnęła się i powstawszy, krokiem sztywnym, jakby bezwiednym, wyszła z komnaty.

Za moment Kazimierz, stojąc na ganku dworku, widział, jak pojazd, unoszący Zochnę i pannę Dorotę, wjeżdżał z obejścia na szeroką drogę i na zakręcie zniknął. Ciągnął się jeszcze za nim szary tuman kurzawy, i zwolna rozpraszając się, układał na ziemi.

III.

— W sam czas przybywasz! — zawołał Kazimierz, widząc wchodzącego, dnia tego o południu, chorążyca Jesmana. — W sam czas, bo oto mam do ciebie sprawę ważną.

— Jam zawsze na usługi wasze — odrzekł chorążyc.

Łyszczyński bacznie na niego spoglądał. Twarz chorążyca, pomimo młodego wieku, była zwiędła i blada; oczy bez blasku patrzyły przed siebie ze znudzeniem; na ustach jego wąskich i bezkrwistych nie błąkał się nigdy uśmiech. Rodzic jego, pan Damian, chorąży słonimski, człek dzielnego ducha a prostego umysłu, który mając tylko jednego syna, kilku bratanków swych, pozostałych w niemowlęctwie sierotami, wychował na mężnych rycerzy i na usługi Rzeczypospolitej oddał, o tym jedynaku swym, Stanisławie, mawiał, że w nim dusza zasnęła. I nad przyszłością jego nieraz biadał. To też gdy go Łyszczyński ku sobie pociągnął i do nauki zagrzał, pan chorąży, nie przewidując żadnej stąd szkody, radował się tem nawet, mówiąc:

— Ochoty nie miał do niczego, zawsze głupi był i niezdara; dobrze, że przynajmniej do czytania ksiąg się przyda, bo ludziom na nic...

I powtarzał to zawsze, ilekroć mu przedstawiano, że nauka Łyszczyńskiego zdrożna jest i na manowce wiedzie młodzianka.

— Niech go wiedzie, kędy chce! — dodawał z niechęcią — byleby w drodze nie usnął, bo to zaspany osieł jest!...

Wpatrywał się tedy w posępną twarz chorążyca Kazimierz długi moment, a wreszcie znagła zapytał:

— Miłujesz ty Zochnę moją?

Jesman zdumiony wzrok na Łyszczyńskiego podniósł.

— Zali ją miłuję? — powtórzył — bardzo miłuję, wszakżeśmy po krwi bliscy...

Kazimierz niecierpliwie się żachnął.

— Co tam krewieństwo!... przerwał. — Ja się pytam, zali ją miłujesz tak, iżby ją w małżeństwo pojąć?...

Chorążyc cofnął się, przerażony tem pytaniem, niespodziewanem zgoła.

— A jakże to być może — wyjąkał po chwili — gdy ja wujem jej ciotecznym jestem?...

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się szyderczo Łyszczyński. — Musiałeś jezuickich gadań słuchać, gdy to przeszkodą być mniemasz... Snadź niewiele pojąłeś z tego, com wam nieraz mówił, jako małżeństwo jest tylko kontraktem, umową, która winna obu stronom jakieś przynosić korzyści... Jeno księża chciwcy, pragnąc wszystko w swoje łapy zagarnąć, zagarnęli i małżeństwo, zwąc je sakramentem... Cha! cha! I ty w to wierzysz?...

Chorążyc w pomieszaniu głowę chylił. Szyderski i lekceważący ton mowy Łyszczyńskiego przeniknął

go zawstydzeniem. On rzeczywiście nie pojął snadź tego, co nieraz z ust Kazimierza słyszał, a rodzic jego słuszność miał, gdy go głupim i osłem zaspanym nazywał...

— Widzę — dodał Łyszczyński — że z ciebie nie będzie nic...

Chorążyc żywo głowę podniósł.

— Ależ nie... ależ nie!... — przerwał. Jeno jam się tego nie spodział... nigdy to w myśli mej nie było... A teraz myślę... że to byłoby dobrze... że byłbym szczęśliwy... byleby rodzic mój zgodził się i byleby jaki ksiądz...

— Ślub dał... dokończył z pogardliwym uśmiechem Kazimierz. — Znajdzie się taki w Białymstoku, albo i w Niewodnicy, którą oto teraz za długi od stolnika Brzoski zabieram i oddam małżonkowi Zochny... Co się zaś twego rodzica tyczy, to ani jemu, ani bratu memu Witoldowi o tem przed czasem mówić nie należy... Ty obejmiesz zaraz Niewodnicę... stamtąd do Markowszczyzny, kędy teraz Zochna jest, niedaleko...

— Jak to?... — spytał zdumiony Jesman — przecież wczoraj Zochna była u nas...

— A tak, była... — ciągle pogardliwie mówił Łyszczyński — była wczoraj u was, a ty zamiast odprowadzić ją do dom, pozwoliłeś, iżby jej Duchnowicz towarzyszył i słodkiemi słówkami poił...

Blada twarz chorążyca, który młodego płatnerza cierpieć nie mógł, zazdroszcząc mu urody i zdolności, powszechnie chwalonych, żywym zapłonęła rumieńcem.

— Ten Duchnowicz mruknął — wszędy tam wyrasta, kędy go nie posiano...

— A widzisz!... Zochnę mu weź, to przepadnie... Za to, że go chętnie słuchała, wyprawiłem ją dziś o świcie do Markowszczyzny... Ty zaś jutro do Niewodnicy jedź... Na tego Brzoskę, który zato, żem mu świadczył, złośliwym językiem mnie szarpie, sto kondemnat i stanowczy wyrok mam. W imieniu mojem Niewodnicę, wedle prawa, zajmiesz... Weź z sobą Szółkowskiego Jana, Grothusa i kogo jeszcze chcesz.

Mówił to tak stanowczo, jakby żadnej opozycji przeciw słowom jego być nie mogło. I rzeczywiście nie było. Młody Jesman coraz bardziej podobał sobie w tej myśli, iżby Zochnę poślubić, Niewodnicę wziąć i wyjść z pod opieki rodzica, który go lekceważył. Słaby jego umysł i leniwa natura miały w sobie sporo złośliwości, która go jedna poruszyć była mogła. Zato, że rodzic zwał go osłem zaspanym, nosił w sercu żal, i już teraz radowała go myśl, że uczynić może coś takiego, co rodzicowi dokuczy, a zarazem dowód złoży, że on, chorążyc, zgoła ani osłem, ani zaspanym nie jest i radzić sobie umie.

Pochylił się tedy do ramienia Kazimierza i całując, rzekł:

— Za słowa wasze dzięki składam... Zochnę miłuję i poślubić jestem gotów, chyba że ona...

— O to bądź bez obawy! — przerwał Łyszczyński — ja tak chcę, więc tak być musi...

— To ja zaraz dziś do Niewodnicy jadę!... — z niezwykłą żywością zawołał Jesman.

Łyszczyński uśmiechnął się...

— Nie tak znów spiesznie — rzekł. — Dozwól Zochnie do Markowszczyzny dojechać i oswoić się... Jutro albo pojutrze jedź. Jeszcze Szółkowskiemu i Grothu-

sowi muszę wskazówki dać, iżby z tobą jechali a strzegli, abyś jakowego głupstwa nie palnął...

— O! — protestować chciał chorążyc, ale Łyszczyński nie dał mu nic rzec:

— Uczynisz, jak powiadam... A gdy Niewodnicę zajmiesz, to już dalej moja sprawa...

Jesman raz jeszcze ucałował Kazimierza w ramię i wychodził odprowadzany wzgardliwym jego wrokiem...

— Wierutny osieł! — myślał Łyszczyński.

— Ale właśnie mi taki potrzebny. Młodość jego od mojej starości gorsza; on zaś podatne do wszystkiego narzędzie. On zemści się za wszystko i na wszystkich. Zgnębi wroga Brzoskę, Duchnowicza oddali, a Zochnie?... zali szczęście dać jest zdolny?...

A cóż go to obchodzić mogło? Zochna była mu obca i gorzej niż obca. Budziła w nim nienawistne wspomnienia przeszłości, stawała mu się teraz ciężarem, który Jesman z niego zdejmie... Tem lepiej.

I za odchodzącym chorążycem krzyknął:

— A powiedz tam Szółkowskiemu, Grothusowi i innym, zwłaszcza zaś młodym Jozuemu i Baruchowi, iżby dziś nie przychodzili do mnie, albowiem zwykłego *colloquium* nie będzie... Mam dziś inne zajęcie.

Wołając tak, czuł, że mu serce żywszem uderzyło tętnem; pamiętał dobrze, jako dziś o zmierzchu przybyć ma do niego stary Betsal z aleksandryjskiemi lekami. Jakieś przeczucie mówiło mu, że wraz z nim przyjdzie i Rachel, starzec bowiem, osłabiony i niemal ślepy, bez pomocy wnuczki samby nie doszedł.

Oczekiwanie było dla niego katuszą. Aby czas skrócić, kilkakrotnie wybiegał na miasto, snuł się po

ulicach, zabiegał aż nad brzegi Wilji i znowu wracał do dworku, skąd go wnet wyganiał jednostajny szept Halszki, tem dziś urozmaicony, że biedna chora, nie czując o zwykłej porze obecności córki, wyciągała chude ręce rzucała niemi w powietrzu, powtarzając z niepokojem:

— Gdzie?... gdzie?...

Służebna, która zwykle czuwała przy chorej, zauważyła odrazu stan groźnego podrażnienia; pobiegła tedy do Łyszczyńskiego i rzekła mu:

— Dziś jest znacznie gorzej... Może Wasza Miłość pozwoli wezwać doktora Boima...

— Nie potrzeba! — ofuknął się Kazimierz. — Wieczorem przyjdzie lekarz... Chcę z nim pozostać sam... Wyjdziesz tedy z domu. Wszyscy niech wyjdą, iżby całkowity spokój był...

Zmierzch wreszcie zapadł. O tej porze mówił Betsal do wnuczki swej słowami księgi Judith:

— Omyj włosy głowy swej i pomaż się olejkiem wybornym; włóż koronkę na głowę i oblecz się w szaty wesela swego; weź lilije i nausznice i pierścionki i ubierz się we wszystkie stroje swoje... aby pojman był on oczyma twemi...

A mówiąc tak, stał nad nią, trzęsący się, gniewny, pilnując, iżby wolę jego wykonała.

Ona zaś, blada jak trup, a z przerażenia także drżąca, bezwiednie niemal spełniała rozkazy. Bujne warkocze złotych włosów związała purpurową przepaską. Na ciemną powłóczystą suknię włożyła szkarłatną tunikę, haftowaną złotem; uszy przyozdobiła brylantowemi kolcami, a na szyję, nieco obnażoną, włożyła wspaniały sznur pereł, który wraz z kolcami owemi był darem

rodzica, niedawno przysłanym z Warszawy, za pośrednictwem doktora Jonasa.

I pomimo przygnębienia, pomimo lęku, jakim ją przejmowały słowa rabina, gdy ujrzała siebie tak przystrojoną w zwierciadle, mimowolnie uśmiech zadowolenia rozpromienił na moment jej posępne oblicze.

— On się mną zachwyci — myślała — uczyni dla mnie wszystko, ocali rodzica mego... Ale ja go nie zdradzę!... On taki mądry, taki wymowny!... Patrzył na mnie swemi tęsknemi oczyma tak, że to spojrzenie dotychczas w duszy swej czuję... O, ja go nie zdradzę!...

Tem postanowieniem wzmocniona, szła raźno, w jednej ręce niosąc spory tobołek, a drugą wspierając pod ramię dziadka.

Mrok był już zupełny, gdy doszli i Rachel raczej przeczuciem niż wzrokiem dostrzegła Kazimierza twarz, wlepioną w okno dworku.

Wybiegł na ich spotkanie.

— Witajcie!... — rzekł zdyszany. — Traciłem już nadzieję... mniemałem, żeście zapomnieli...

— Nie godzi się o słowie danem zapominać... — rzekł poważnie rabin i wszedł pierwszy do wnętrza.

Za nim szła Rachel z Kazimierzem, wpatrzonym w nią jak w tęczę. Pod siłą tego wzroku ona głowę chyliła, zapłoniona i pomieszania pełna.

W pierwszej izbie przystanął Betsal i rzekł.

— Przywiodłem Rachel, albowiem ona wnosi z sobą jasność i dobroć i spokój. Oczy niemocnej, gdy ujrzą ją, rozweselą się...

— Dobrzeście uczynili... — wtrącił Kazimierz i chciał dalej coś rzec, ale Betsal dał znak, aby milczał.

— Wszystkie rzeczy mają swój czas — ozwał się. — Jest czas mówienia i czas modlitwy, czas zabijania i czas leczenia... czas wojny i czas pokoju... Teraz jest czas, abym ujrzał udręczenia wasze i modlił się... Wiedźcie mnie do komnaty, gdzie chora jest...

Mówił głosem przyciszonym a bardzo uroczystym, wznosząc do góry głowę i przymykając krwawe powieki nad zamglonemi oczyma.

Tedy Kazimierz otworzył podwoje do komnat Halszki.

Jak zwykle, spoczywała ona w krześle poręczowem, wsparta na poduszkach. Po całodziennym niepokoju, pogrążona była we śnie twardym; głowa jej opadła na piersi, że twarzy nie było widać. Betsal zbliżył się i stał moment nad nią, patrząc w nią sztywnie.

— Jest jeszcze kto w dworku? — spytał zcicha.

— Służbę wydaliłem — odrzekł Kazimierz — abyśmy sami byli...

— Dobrze — rzekł Betsal, wziął z ręki Racheli przyniesiony tobolek i dodał:

— Teraz oboje wyjdźcie stąd, abym pozostał z tą niemocną... Przynieście jeno więcej światła... Zażegnijcie wszystkie świece i gromnice, jakie jeno macie w mieszkaniu, albowiem gdzie światło, tam zdrowie i moc...

Kazimierz spełnił polecenie, a gdy wniósł kilka zapalonych świeczników, Betsal kazał mu je ustawić za krzesłem Halszki, na stole, poczem powtórzył:

— Wynijdźcie!...

I drzwi zamknął za nimi.

Pomimo uroczystego tonu mowy Betsala i tajemniczości, jaką otoczyć się usiłował, wszystko to uczy-

niło na Kazimierzu wręcz przeciwne wrażenie. Śmiał się w duchu z cudotwórczego rabina i byłby śmiał się głośno, gdyby nie obecność Racheli. Pod tym wpływem i ona nawet, od wczoraj z takiem upragnieniem oczekiwana, wydała mu się inną, obcą i mniej pożądania godną. Od cudotwórczego rabina, który się magją snadź bawił, padał i na nią cień śmieszności i zabobonu.

Weszli do pierwszej komnaty, w której nie było innego światła prócz ogniska, rozłożonego na kominie. Smolne łuczywo, podłożone pod kłodę, chwilami paliło się jaskrawo, pryskało żarem, to znów przygasało, dławione kłodą, którą usiłowało ogarnąć swym płomieniem.

A oni stali w tym półmroku, milcząc. Rachel rozglądała się uważnie po komnacie, w której oprócz stołu wielkiego pośrodku, kilku ław drewnianych i takichże krzeseł o wysokich poręczach, żadnych innych nie było sprzętów. Zato na stole, na półkach, przy ścianach, a nawet na ziemi mnóstwo ksiąg w nieładzie.

— Usiądź, Rachel... — rzekł wreszcie Kazimierz.

Ona ruszyła się i zwolna zbliżyła do stołu. A gdy tak szła, łuczywo zasyczało i jasnym płomieniem strzeliło w górę, zwiastując swe zwycięstwo nad wielką kłodą, która w tej chwili z łoskotem na jedną pochyliła się stronę, przepaloną już ogniem. Prysnęły skry wokoło, buchnął wysoko płomień, zamigotał na złotym hafcie tuniki Racheli, padł na jej nieco obnażoną szyję, zalśnił w brylantach zausznic i zatonął w splotach jej bujnych włosów. W blaskach tych ukazała się Kazimierzowi matowej bladości twarz jej, pełna w tym momencie zamyślenia i smutku.

Rachel mimowolnie odczuła, że coś dzisiaj dzieliło ją od tego, który wczoraj patrzył na nią tak ogniś-

cie. Odczuła, że w nim dzisiaj był chłód dziwny i zniechęcenie. I to ją bolało. Stanąwszy przy stole, nie usiadła, lecz podniosła głowę i utkwiła w niego swe ciemne, głębokie oczy. Patrzyła długo, przeciągle.

On wchłonął w siebie to spojrzenie, które mu burzyło krew. Zbliżył się szybko i ujął Rachelę za rękę. Ręka ta była zimna, a drżała.

— Co ci jest Rachel? — spytał miękko — tyś smutna?

Ona chyliła głowę w wielkiem pomieszaniu.

— Od tych ksiąg — szepnęła — wieje dziwny chłód i od was, panie, wieje dzisiaj chłód... Chciałabym mówić... miałabym wiele do powiedzenia, a nie zdołam!... boję się...

On ją ogarniał całą gorącem spojrzeniem.

— Nie lękaj się — szepnął: — mów wszystko... ja z rozkoszą słuchać będę...

Rachel zbliżyła się do niego jeszcze bardziej, ramieniem swem dotykała jego ramienia; przyśpieszony jej oddech czuł na swej twarzy, gdy bardzo cicho a szybko, jak w gorączce, mówiła:

— Teraz nie czas... kiedyś może więcej... dziś jeno to wam rzec muszę: Uczyńcie dla rodzica mego co możecie... na niego jest spisek... Ocalcie go, a ocalicie i siebie! Ocalcie go, a potem uciekajcie stąd... uciekajcie od nas... odemnie!...

Kazimierz w zdumieniu słuchał. Jakiż związek mógł być pomiędzy rodzicem Racheli a nim? Cóż mu takiego zagrażać mogło, aby uciekać miał?...

— Nie rozumiem — odparł. — Przecz-że uciekać mam od ciebie, zaległone ty dziecko śliczne?...

Patrzył na nią z ogromną czułością i mimowolnie wyciągnął ramię, aby ją objąć i przygarnąć.

Ale Rachel odskoczyła od niego gwałtownie.

— Nie! — rzekła cicho, lecz stanowczo — Kiedyś wam powiem... może niebawem... wyjaśnię wam wszystko... Dziś jeno błagam: miejcie się na baczności... Nie wołajcie ku sobie ognistem słowem waszem i mądrością waszą żydów młodych... Baruch...

Nie dokończyła. Drzwi się znagła od komnaty Halszki otwarły, i wielka stamtąd jasność wtargnęła do mrocznej izby.

Oczom Kazimierza przedstawił się dziwny widok.

Halszka zdawała się ciągle pogrążona we śnie, jeno głowa jej uniesiona była w górę i ułożona na poduszkach tak, że twarzą zwrócona była ku drzwiom. Za nią ustawione były świeczniki, a wśród nich paliło się w urnie migotliwe, błękitnawe światło, tłumione chmurą dymu, który w skrętach szedł w górę i roznosił ostrą woń ziół. Powieki Halszki zaciskały się i poruszały, jakby rażone niezwykłą jasnością; wargi i nozdrza drgały i całe ciało wstrząsało się chwilami. Sen jednak był snadź twardy i nie pierzchał.

Przed nią stał Betsal, przyodziany w długi biały płaszcz, w którym cała jego postać, zgarbiona i skurczona, nikła. Wystawała jeno jego twarz, ponura, pomarszczona; po niej zaś przebiegały teraz dziwne jakieś drgania, krzywiąc blade wargi ust i wstrząsając długą, siwą brodę. Zamglonemi, zgasłemi oczyma wpatrywał się w postać Halszki, mrużąc chwilami krwawe powieki.

Naraz wyciągnął z pod płaszcza i wzniósł w górę chude ramiona, a drżącym, lecz donośnym

głosem wymawiać począł słowa kabbalistycznego zaklęcia:

— *Sadaij amara elon pheneton eloij enerij ebeoel messias ijahe vebu hejiane, ijananel elijon...*

Na usta Łyszczyńskiego wybiegł szyderczy uśmiech.

— Że też ja przypuszczać mogłem — myślał — iż ten żyd jakąkolwiek pomoc Halszce da!... Sądziłem, że jest mądry, a on głupi... Leczyć ją chce mniemanemi zaklęciami Salomonowemi. Wszak je znam... Niedawno mi przysłano owe «Clavicula Salomonis» i «Schemhamphoras Salomonis Regis», które rabini wydali we Frankfurcie... Oszustwo jest...

Spojrzał na Rachelę i uśmiechać się przestał.

Stała w blaskach, sama od nich jaśniejsza, wpatrzona w przestrzeń, bez ruchu. Dym, wychodzący z urny, wił się wokoło jej głowy, a ona wśród tych blasków i dymu zdawała się nieziemskiem zjawiskiem.

Betsal zaś wołał coraz donośniej, trzęsąc w powietrzu wyciągniętemi w górę ramiony:

— *Maya, Affaby, Zyen, Jeramye, yne Latebni damaa yrsano noy...*

Z piersi Halszki wydobył się głośny krzyk i mowę mu przerwał.

Halszka otworzyła nagle oczy, wielkie, przerażone; dźwignęła się, wyprężając przed siebie wychudłe dłonie. Dym płonących ziół chwytał ją za gardło i dusił. Krztusiła się, wodząc nieprzytomnemi oczyma wokoło. Wtem wzrok jej padł na stojącą w blaskach Rachel,

Oburącz chwyciła się za głowę, szarpiąc długie, splątane włosy...

- Gdzie ona?... gdzie?... — szeptała, snadź myśląc o Zochnie. - – Kto to? gdzie jestem?...

Spojrzała na białą postać starego rabina i poczęła trząść się całem ciałem. Miała taki ruch, jak gdyby porwać się i uciekać chciała, lecz sił zbrakło. Usta otwarła, krztusząc się, i znowu z piersi jej wyszedł gwałtowny krzyk, a potem jęk długi, przeraźliwy. Opadła na poduszki, zemdlona.

Kazimierz z Rachelą rzucili się na ratunek, trzeźwiąc wodą i octem nacierając skronie, a stary rabin rzekł słowami pieśni Salomonowej:

— Nie obudzajcież i nie dawajcie cucić miłej, póki sama nie zechce...

I zbliżając się do Kazimierza, dodał:

— Będzie zdrowa... Obudzi się i przejrzy... bo już oto odzyskała świadomość, pytając: gdzie jestem?... Albowiem zesłał Pan słowo swoje i uzdrowił ją i wyrwał od zginienia...

Łyszczyński nie słuchał, cały zajęty trzeźwieniem Halszki, która uspakajać się zwolna poczęła, i ogarnął ją sen znowu.

— Będzie zdrowa!... — powtórzył Betsal.

Zagasił płonące zioła, zdjął płaszcz biały i rzekł do Racheli:

— Teraz chodźmy w spokoju... Wy zaś, panie, dopełnijcie także przyrzeczenia swego... Pan Lubomirski Hieronim wczoraj przybył do Wilna, tedy mówcie z nim...

— Dobrze... — bezwiednie prawie odrzekł Łyszczyński.

I chciał jeszcze Racheli coś rzec, gdy wtem zwróciły jego uwagę głośne szmery i szepty pod oknem.

Podbiegł do okna. Z jednej strony zasłona nie była dobrze zasunięta i ku tej szczelinie tłumili się cie-

kawi. Kazimierz wyraźnie rozpoznał nienawistną sąsiadkę swoją Morozową, stolnika Brzoskę i wielu innych, szemrzących głośno:

— Co oni z nią tam czynią?... Słyszeliście krzyki, jęki... Mordują pewno nieszczęsną... Wyprawiają czary!... Wywalmy drzwi i pomoc dajmy...

Pani Morozowa rzekła:

— Na własne oczy widziałam... jak nieboszczyka mego miłuję... O zmroku szedł tu stary Betsal z wnuczką... Niewątpliwie czary czynią...

Łyszczyński struchlał. Znał on zapalczywość wileńskiego pospólstwa przeciwko żydom i jego wiarę w moc czynienia czarów. Jedno takie słowo jak Morozowej, w tłum rzucone, mogło na srogie niebezpieczeństwo narazić Betsala i wnuczkę jego. Szybko zasłonił okno i spojrzał na nich.

Betsal domyślił się odrazu. Pomieszany był i drżący. Rachel stała spokojnie w miejscu, wpatrzona w obumarłą twarz Halszki, nie słysząc nic.

Rabin ozwał się szeptem:

— Trzeba pogasić światła... i czekać aż się rozejdą...

Pogaszono pośpiesznie świeczniki w komnacie Halszki, rabin sprzątnął urnę, płaszcz biały złożył w tobołek i cicho wyszli wszyscy do przyległej izby, kędy okna były szczelnie zasłonione. Ognisko już przygasło; mrok niemal zupełny panował. Czekano tam w milczeniu i niepokoju. Rabin usiadł ciężko w krześle przy kominie. W ciemnym rogu izby stanął Łyszczyński, myśląc z trwogą, że lada moment służebna Halszki powrócić mogła, a za nią mógł wtargnąć rozdrażniony tłum do wnętrza dworku. Trzeba było koniecznie przed-

tem wyprowadzić Betsala i Rachelę. Ale jak, aby się oko w oko u wyjścia z owym tłumem nie spotkać?...

Gdy się tak z myślami biedził, uczuł raczej, niż dojrzał, jako Rachel przysunęła się ku niemu bardzo blisko. Widząc przerażenie Kazimierza i pomieszanie dziadka, strwożyła się sama. Niebezpieczeństwo zdało się jej nietylko groźnem, ale i nieuchronnem. Przygarnęła się do Kazimierza, jakby obrony szukając. On czuł, że cała jej postać jak liść osiczyny drżała... Objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Rachel nie opierała się teraz; złożyła głowę na jego ramieniu i szepnęła:

— Uciekajmy stąd... Uciekajmy z Wilna... daleko!

— Nie lękaj się, dziecko!... odszepnął Kazimierz — nie stanie ci się nic...

— A jemu?... a wam?

— Nie lękaj się! — powtórzył Łyszczyński zdławionym głosem, bo mu tchu w piersiach brakło.

Nastała długa cisza. Słychać jeno było urywany, syczący oddech starego rabina; Kazimierz zaś słyszał każde uderzenie serca przytulonej do niego Racheli i coraz mocniej przygarniał ją ku sobie. Wdzięczny już był niemal niebezpieczeństwu, które rzuciło w jego ramiona to spłoszone dziewczę. Czuł woń jej włosów, których rozwiane pasma pieściły mu twarz. I naraz ujął tę śliczną głowę w obie dłonie, podniósł ku sobie całował czoło, oczy, a potem gwałtownie wpił się ustami w jej usta...

Cała postać Racheli gięła się w tym szalonym uścisku; naraz wyprężyła ramiona i odtrąciła go od siebie.

Chwiejnym krokiem, potykając się o księgi leżące na ziemi, podeszła ku Betsalowi, który siedział

odwrócony od nich plecami, wpatrzony w przygasłe ognisko.

— Dziadku... chodźmy!... — szepnęła.

A teraz i Kazimierz czuł, że czas był ostatni wyprowadzić ich stąd. W izbie Halszki dały się słyszeć kroki służebnej, która już wróciła. Wokoło dworku panowała cisza.

Rachel ujęła Betsala pod ramię, a Kazimierz pochwycił jej drugą rękę, zimną i drżącą, i idąc cicho przodem, wiódł ich krok za krokiem, wśród cieniów. Otworzył drzwi wchodowe i na ganku przystanął, nasłuchując. Była cisza, ale dla ostrożności, tak samo zwolna okrążyli dworek ogrodem i przez boczną furtkę wyszli na ulicę.

Kazimierz towarzyszyć im chciał dalej, ale Betsal sprzeciwił się temu.

— Nie trzeba aby nas razem widziano... Tu w pobliżu mieszka znajomy mój, stary Baruch, syn Rehuma... U niego spocznę, a jego syn, młody Baruch, odprowadzi nas... Wy znacie, mości podsędku, młodego Barucha?

— Znam... — odparł Kazimierz, nie rozumiejąc celu pytania.

— To bardzo mądry młodzian — ciągnął dalej żyd, stojąc u furty. — On wiele z waszych nauk skorzystał i wam oddany jest... Ja go bardzo miłuję i takbym chciał, iżby on Rachelę moją, światło oczu moich, poślubił...

— On?! — mimowolnie zawołał Kazimierz.

Dłoń Racheli w uścisku jego zadrżała.

— Żegnajcie tedy, mości podsędku, — kończył rabin, podnosząc na niego zgasłe swe oczy — żegnaj-

cie, a bądźcie dobrej myśli... małżonka zdrowa będzie... A niechże Miłość Wasza o nas teraz pamięta i synowi memu spieszną pomoc da...

Długi jeszcze moment stał Kazimierz u furty ogrodowej, patrząc za odchodzącymi. Szli bardzo wolno, bo rabin potykał się ciągle i coraz mocniej opierał się na ramieniu Racheli.

IV.

Następnych dni Łyszczyński ani momentu nie spoczął. Przedewszystkiem, dawszy ostatnią instrukcję Jesmanowi, wyprawił go wraz z przydanymi towarzyszami, Szółkowskim Janem i Samuelem Grothusem, do Niewodnicy kościelnej, którą teraz na podstawie licznych uzyskanych kondemnat, z posiadania zaciętego wroga swego, stolnika bracławskiego, Jana Brzoski, za dawne, niezwrócone mu wierzytelności, stanowczo odebrać i zająć postanowił.

— Już i tak on w tej Niewodnicy nie miał nic, — mówił — ani siedzieć w niej nie mógł, bo go różni wierzyciele trapili. A ja jeno przez głupią litość i miłosierdzie nad nim, nie wyrzucałem go dotychczas. On zaś zato złośliwym językiem mnie szarpał, a chełpił się jako possessionatus jest. Niechże go ja teraz przynajmniej z tej posesji do szczętu wyzuję, może mniej szczekać będzie.

Ale z Halszką było źle. Pomimo owych aleksandryjskich leków i Salomonowych zaklęć, polepszenia w jej stanie nie było. Owszem, już nazajutrz objawiło się osłabienie wielkie i niepokój, zgoła nic dobrego nie wróżące. Nadomiar na całych Snipiszkach rozeszła się

wnet wieść, przez panią Morozową puszczona, o odwiedzinach Betsala i jakowychś czarach na Halszkę rzucanych. Biegały złowrogie szepty i złorzeczenia, które Łyszczyński, wyszedłszy z dworku, na własne uszy słyszał.

Szedł właśnie do pana cześnika litewskiego, Bokuma, w sprawie Betsala, a za nim biegły w ślad szepty i odgrażania się złowrogie.

— Czarownik! — szeptano — z żydami w zmowie!...

Pan cześnik litewski, Jan ab Alten Bokum, zajmował wielki pałac, dawniej Kiszków, przy ulicy Niemiecką zwanej. Dobrze mu się działo na świecie; wszedł w łaski pańskie jeszcze czasu Jana Kazimierza, umiał przeczekać cicho rządy Korybuta, który go, jak wszystkich ulubieńców poprzednika swego, nie znosił, a teraz za Jana III-go zdołał zręcznie przedstawić się jako jeden z najgorliwszych domu Sobieskich stronników na Litwie. Doszedł też niebawem do niemałej fortuny; posiadał na Litwie i w ziemi Warszawskiej znaczne dobra, a połączywszy się związkami powinowactwa z pany koronnymi, nosił głowę wysoko i nie z każdym przestawać lubił. Dla Łyszczyńskiego jednak miał szczególne względy. Złączony ścisłą przyjaźnią i pokrewieństwem z rodzicem Kazimierza, panem sędzią brzeskim, umiał zachować pamięć i wdzięczność za to, że pan sędzia, w swoim czasie jeden z najbardziej poważanych ziemian na Litwie, przybyłemu młodziankiem z Kurlandji a mało znanemu wiele świadczył i opieką go otoczył.

Pan cześnik przyjął tedy Kazimierza uprzejmie, choć z przyjazną wymówką:

— Zapominasz waść, panie święty, o starym krew-

niaku — rzekł, podając mu prawicę i prostując swą niewielką, krępą postać. — Siadajże waćpan i mów, jaki cię cud do mnie sprowadza.

Kazimierz odrazu *ad rem* przystąpił. Odpowiedziawszy na wymówkę, że z powodu niemocy małżonki, on z nikim teraz relacyj utrzymywać nie może i zapewniwszy pana cześnika o swoich niezmiennych dla niego a powinnych sentymentach, przedstawił sprawę Betsala...

Pan Bokum słuchał uważnie. Oblicze jego, które pomimo lat już sędziwych, nosiło ślady dawnej, niezwykłej urody, wyrażało natężenie myśli i powagę. Na nazwisko Betsala pan cześnik aż skoczył.

— To jest niegodziwy żyd! — przerwał żywo. — On, panie święty, usidlić potrafił królowę, a mocny jej poparciem, dopuszcza się na komorach celnych srogich nadużyć... Powszechne są skargi, które najbardziej królowi jegomości szkodzą... Dziwię się, że waćpan, panie święty...

— Mości cześniku, — przerwał Łyszczyński — chodziłoby właśnie o zbadanie tych skarg, a zarazem o niedopuszczenie, iżby prywatna mściwość, albo też zazdrość knuły spiski nawet na życie Betsala, jako o tem słyszałem... Z drugiej strony wiem, że Betsal jest obrotny i że dochody z dóbr królewskich i komor celnych we dwójnasób podwyższył.

— Podwyższył... podwyższył... — mruknął cześnik. — W tem właśnie bieda, panie święty!... Ludzi odziera ze skóry i znosi skarby królowej; wszyscy zaś na miłościwego króla naszego krzyczą, że on o tem wie i na to pozwala. Najlepiej to zaś wam powie, mości

podsędku, mój zięć, panie święty, marszałek nadworny, który oto nadchodzi...

Drzwi się znagła otwarły i do komnaty wszedł krokiem śpiesznym pięknie przystrojony dworzanin. Skłonił się panu cześnikowi i dobitnie wygłosił.

— Jaśnie oświecony książę, marszałek nadworny!

Za dworzaninem wnet wkroczył zamaszyście Hieronim Augustyn Lubomirski. Postać wyniosła, dzielna, o twarzy gładko ogolonej; jeno górną, wydatną wargę ust ocieniał wąski, czarny wąs. Ruchy miał żywe, niemal gwałtowne, a gdy był z czego niekontent lub zafrasowany, dłonią pocierał wysoko podgolone czoło, lub szarpał się za włosy, przyprószone już nieco siwizną, które rosły bujne, twarde, w skrętach. Całe oblicze wyrażało niepomierną dumę, która zwłaszcza przebijała się w spojrzeniu wielkich, nieco wyłupiastych oczu. Patrzył niemi najczęściej w górę, albo w przestrzeń, aby mówiącego nie widzieć, słuchał zaś zwykle tak, jakby nie słyszał; gdy zaś prośby wysłuchać nie chciał, to wprost przerywał, poczynając mówić o czem innem. Duma ta kłóciła się nieraz z jego usposobieniem żywem, porywczem. Pan marszałek lubił mówić dużo; umiał mówić, gdy chciał, rozważnie i ozdobnie, lecz zazwyczaj, gdy się nie krępował, słowo miał twarde, żołnierskie, często rubaszne.

Nie lubiony dla dumy swej przez szlachtę, zabrnął znów teraz w wielkie trudności z duchowieństwem i w złym bardzo humorze przybył do Wilna na poradę z Bokumem, spodziewając się poparcie znaleść u biskupa wileńskiego, Brzostowskiego, który znaczne wpływy miał.

Pan Bokum żywo powstał z miejsca na powita-

nie zięcia. Powszechnie było wiadome, że cześnik bał się marszałka jak ognia, i z niezmierną był dla niego atencją. Śmiano się nawet z niego, mówiąc, że pan Bokum zięcia naśladuje i za jego przykładem siwą czuprynę sobie podgolił, którą niekiedy taksamo w zafrasowaniu targa.

— Witam... witam... panie święty!... — powtarzał z uśmiechem.

Pan marszałek wyciągnął ku niemu prawicę, a na Łyszczyńskiego rzucił krótkie, bystre spojrzenie i wnet oczy podniósł w górę.

— Imć pan Kazimierz Łyszczyński, podsędek nasz brzeski... — ozwał się cześnik.

— Znam... znam... — odparł marszałek. — Widywałem waćpana na dworze niegdy Krzysztofa Paca, kanclerza litewskiego. Byłeś tam waść w wielkich łaskach.

Łyszczyński skłonił się, milcząc.

Tedy pan marszałek zajął miejsce, dając znak ręką Bokumowi i Łyszczyńskiemu, iżby także usiedli.

— Słyszałem, — ciągnął dalej marszałek — jako waść mocno uczony i wymowny... pono w teologji się grzebiesz, na co niektórzy sarkają... Dobrze, jako waćpana spotykam... albowiem właśnie mam taki teologiczny *casus*...

Pan Bokum niespokojnie się poruszył.

— Mości marszałku!... — przerwał.

Lubomirski zaśmiał się i ręką machnął.

— Daj pokój... mości cześniku... Sameś temu winien, że masz takie urodziwe córki, które na pokuszenie wiodą... Ot teraz brat mój przyrodni, Jerzy, jeno spojrzał na młodszą siostrę żony mojej, Urszulę, a już

się w niej rozmiłował na zabój i żenić się chce. Ty się cieszysz, mości cześniku, bo Jerzy to kawaler niepośledni, a mnie się widzi, że on kłopot będzie z nią miał, chociaż innego niż ja rodzaju, albowiem młodsza panna cześnikówna oczyma strzela na wsze strony, a co strzeli, to trup!... cha, cha!

— Ależ, panie święty... — przerwał znów Bokum.

Pan marszałek nadworny był snadź jednak tak podrażniony, że zmilczeć nie mógł, a że zwykle lubił dokuczać teściowi, tedy tem bardziej nie zmilczał i rzekł:

— Nie wspominaj mi waść o żadnych świętych, albowiem po rozmowie z waszym biskupem Brzostowskim odechciało mi się wszelakich świętości... A to zapamiętały jest człek, niby drugi o. Vota, który na dworze królewskim tak się już rozsiadł, że dla nikogo miejsca nie zostało... Źleś mi poradził, mości cześniku, iżbym do tego biskupa szedł...

Zerwał się z miejsca i począł żywo chodzić po komnacie. Powichrzoną czuprynę co moment dłonią tarł i szarpał. Zatrzymał się nagle przed Bokumem:

— Wiesz waść, co mi ten biskup rzekł...

— Dalipan nie wiem... panie święty... — odparł coraz bardziej pomieszany cześnik.

— Nic dziwnego, że nie wiesz, boś tam nie był... a domyślać się nie lubisz... Otóż, rzekł mi on: Ja cię, panie marszałku nadworny, uprzejmie samego przyjmuję. Ale gdybyś tak z panną Konstancją Bokumówną, którą małżonką swą bezprawnie zwiesz, tu zjechał i do kościoła chciał iść, tobym drzwi świątyni Bożej przed wami zaprzeć kazał.

Pan Bokum powstał także i usiłował uspokoić marszałka. Krępowała go widocznie obecność Ły-

szczyńskiego, więc starał się nakłonić zięcia, aby zmilczał.

— Jakoś się to ułoży, panie święty... jakoś się ułoży... A naco to takie rzeczy powtarzać!

— Naco? — przerwał porywczo Lubomirski. — Mnie się dzieje krzywda, a ja milczeć mam?... ho! ho!.. Zresztą w tem tajemnicy niema żadnej. Cała Rzeczpospolita już o tem wie, bo biskupy wrzasku narobili! A że pan Łyszczyński to słyszy, to nic. Wszak ci to, ile wiem, krewniak waćpana, a radę może jaką dać, boć pono w teologii biegły...

Usiadł i ku Łyszczyńskiemu się zwrócił:

— Waćpan pono w zakonie oo. jezuitów byłeś i w mniszym habicie chadzałeś?...

— Byłem, — odrzekł Kazimierz, — jako alumn... mniejsze święcenia miałem...

— Mniejsze czy większe... — przerwał Lubomirski — albo ja tam wiem? Nie mierzyłem ich, aleś się przecie ożenił i... nic.

— Mniejsze święcenia nie obowiązują... — zaczął Kazimierz.

— Czekaj waćpan, aż ci swój *casus* opowiem...

— Może ja lepiej... — przerwał Bokum, coraz bardziej z tej rozmowy niekontent.

— Nie! nie!... waśćbyś powtarzał swoje: panie święty, a o rzeczy niewiele. A mnie ten Brzozowski za gardło dusi i mówić muszę... Otóż taka sprawa...

Wysokie czoło pocierał dłonią i nie patrząc na Łyszczyńskiego, ciągnął:

— Młodzieniaszkiem jeszcze będąc, włóczyłem się ja po różnych cudzoziemskich krajach i zabrnąłem

aż na Maltę. Tam mnie namówił jakiś pan święty i kawalerem maltańskim mnie uczyniono...

— I śluby Wasza Miłość składałeś?... — zagadnął Kazimierz.

Pan marszałek spojrzał na niego z niechęcią.

— Iiii... śluby!... Co mi kazano, tom mówił, to przecież bez pytania waćpan, jako w teologji biegły, wiedzieć powinieneś. Zresztą to już dawno temu... nie pamiętam... Dość, że wróciwszy do kraju zachciało mi się Tyńca i zostałem opatem tynieckim...

Urwał i zaśmiał się:

— Nie myśl waść wszakże mości Łyszczyński, iżbym przeto w infule chadzał, cha, cha!... Miałem przeora, który wszelakie nabożeństwa prawił, a jam jeno piękną infułę, drogiemi kamieniami sadzoną i jeszcze piękniejszy pastorał, do skarbca tamtejszego dał... Niech pamiątkę mają... Był to zresztą czas wojenny, na nabożeństwa nie pora... Aliści, raz będąc w stolicy, poznałem tu obecnego imćpana Bokuma i córkę jego Konstancję... Cud-niewiasta! Takiej nie widziałem nigdy, chociażem dość po świecie się włóczył. I gdyby imćpan Bokum, zamiast na Litwie cześnikować, na Malcie był siedział i gdybym był wówczas, gdym owo nieszczęsne maltaństwo brał, córkę jego ujrzał, nie byłbym dzisiaj z tym biskupem Brzostowskim się żarł...

— Są na to dyspensy... — zauważył Kazimierz.

Marszałek żachnął się niecierpliwie:

— Z mądrej głowy, dalipan, słowo niemądre... Dyspensy są, toć i ja wiem. Jeno, że w rozmiłowaniu tem okrutnem na dyspensę czekać mi się nie chciało, a czas, mówię, był wojenny i śpieszyć się było potrzeba... W tem zafrasowaniu pocieszał mnie przyjaciel

mój serdeczny, biskup poznański, Wierzbowski Stefan. Gdym mu się raz z moich smutków spowiadał, rzecze mi on: «Ja ci dam ślub... bo mi o duszę twoją chodzi, a ty ją w tym frasunku myślami grzesznemi i goryczą kalasz... Dyspensę to sobie później uzyszczesz, albowiem zasługi wielkie masz w tej wojnie świętej z Turkami...» Ja go zaś za te słowa uściskałem oburącz i mówię: «Uczyń tak, cny biskupie, a ja cię zato prymasem uczynię...» Wierzbowski uśmiechnął się i odparł: «Będzie, jak Bóg da...» Co oni tam później porobili, tego ja nie wiem. Wiem jeno, że i indult był, i ślub był, i snadź to nikomu ani w niebie, ani na ziemi nie zaszkodziło, albowiem za błogosławieństwem Bożem była potem i przesławna wiktorja wiedeńska, podczas której ja niemało krwi niewiernej przelałem. Tedy myślę sobie: zasługa jest, przeto i dyspensa być musi... Ale to się jakoś z roku na rok zwlekało i było cicho... Aż tu naraz...

Pan Marszałek odchrząknął i, przerywając swą opowieść, do Bokuma rzekł:

— Każ-no waść, mości cześniku, wina dać, jeno dobrego... Albowiem w gardle mi schnie... snadź od tej smoły piekielnej, którą mi groził Brzostowski.

Bokum w dłonie klasnął, wydał pokojowemu rozkazy, i wnet wniesiono wino i puhary.

Pan marszałek nalał sobie zpełna i duszkiem puhar wychylił. Językiem mlasnął, moment smakował i rzekł:

— Dobre.

A podkręciwszy wąsa, za czuprynę się targnął i ciągnął dalej:

— Aż tu naraz stało się larum ogromne... Król

jegomość za mojem wstawiennictwem chce Wierzbowskiego prymasem mieć, ale to snadź innym nie w smak, albowiem wielki wrzask podnieśli i aż nuncjusza zbudzili, nie mogąc zaś innego uczynić mu zarzutu, ów ślub mi dany bez dyspensy na jaw wywiedli... Szkaradna rzecz... Papież Wierzbowskiego zatwierdzić na prymasa nie chce, a nuncjusz nadto ekskomuniką tak go grzmotnął, że biedny biskup obłożnie zachorzał i lada moment zemrze... A na mnie chcą jakoweś sądy składać... Moja piękna małżonka łzy leje... ja sobie czuprynę ze złości rwę, dzieci piszczą, a pan Bokum nic... nawet tego Brzostowskiego zjednać nie zdołał...

— To i dzieci są?... — wtrącił Kazimierz.

Marszałek, niosąc puhar do ust, wstrzymał się i z pogardą na Łyszczyńskiego spojrzał.

— Nie mam szczęścia do waćpana... — rzekł. — Powiadano, żeś uczony, jak rabin... Jeszcze wczora mówił mi to pan Bokum, chociaż on lepiej na pięknych córkach, niż na mądrości się zna... A tu, co powiesz, jak kulą w płot... ni w pięć, ni w dziewięć!... Czy są dzieci?... A jakżeby nie miały być z takiej zapalczywej miłości, która oto blisko sześć lat trwa...

Łyszczyński, którego całe zachowanie się marszałka, wyniosłe a szorstkie, niepomiernie drażniło, tracąc już nadzieję, aby w sprawie, która go tak przywiodła, mógł słowo wtrącić, powstał i rzekł chmurno:

— Trudna tu rada, mości marszałku. Żaden tu teologiczny ani biskupi rozum nie pomoże... chyba ten który powiada: żyj tak, jak uważasz, że ci jest dobrze, nie czyniąc nikomu krzywdy. Małżeństwo jest jeno umową i dobre jest, gdy obu stronom dogadza; złego, które się kruszy, żaden nuncjusz nie zlepi...

Lubomirski całą postacią zwrócił się ku Łyszczyńskiemu i teraz z wielką ciekawością nań patrzył.

— Ejże! — zawołał — co też waść powiadasz?

Grzmotnął się dłonią z całej siły w kolano i począł się śmiać, aż mu z oczu łzy pociekły.

— Umowa... — powtarzał — umowa!... a niechże cię! toś ty jest, mości podsędku, zuchwały człek... Jak się wezmą do ciebie infuły, toś przepadł i żaden ci Bokum, chociaż krewniak twój, nie pomoże... Niedawno mówił mi tosamo arendarz królewski, potężny Betsal, ale to żyd, toć nie dziw. Lecz i na niego już się teraz i biskupy i szlachta burzą...

Na nazwisko Betsala, tak nagle w rozmowę wtrącone, Kazimierz drgnął i usiadł.

A pan Bokum, któremu milczenie ciężyło, a przymówki zięcia w smak nie szły, ozwał się:

— Ten Betsal to podły człek... Na niego słusznie szemrzą...

— Podły, nie podły... — przerwał Lubomirski — ja tam nie wiem... Ale że obrotny i rozum ma, to pewna. Przyjechał sobie biedny żydek do Warszawy niedawno, a teraz senator!... Jak mi Bóg miły, senator! U królowej posłuch ma, jak nikt, a król jegomość, chociaż się wstydzi, słucha go także... Dwór trzyma ogromny, a że teraz spiski przeciw niemu są różne i na życie jego godzą, to ten żydowin gwardją się otacza... Cha! cha! cha! Jak mi Bóg miły, gwardją, i to do tego szlachecką... cha! cha! cha!

— Wstyd!... hańba! — zawołał Bokum.

— Wstyd, ale nie dla niego... Pozbierał sobie różnej szlachty moc, takiej szlachty, co to jak pies na ich dziedzictwie siądzie, to ogon zagranicą trzyma...

— Wstyd, panie święty! — powtarzał zgorszony cześnik.

Lubomirski szydził ciągle i śmiał się.

— Nie oburzaj się, mości cześniku... tam żadnego Bokuma niema... cha, cha! jeno taka szlachta, co jednemu worek, a drugiemu płachta...

Napił się wina, które mu już nieco w głowie szumiało, i dodał:

— Bierz czart Betsala! Co mi tam! Wiem jeno, że mi ten Brzostowski dziś dojechał... Do Warszawy się wybiera na ów sąd, kędy już są: Załuski kijowski, Popławski inflantski, Witwicki łucki, któremu się pono poznańska infuła po Wierzbowskim uśmiecha... gdyby ten zmarł...

Łyszczyński teraz szukał sposobu, iżby rozmowę znów na Betsala zwrócić. Tedy, korzystając z przerwy, ozwał się:

— Do takiego sądu dopuścić nie lża... Trzeba użyć wszelakich sposobów...

— A no jakich? — porywczo przerwał Lubomirski. — Gdyby kanclerz Pac żył, to on miał wśród tych infuł wielkie poważanie i jedno jego słowo zaważyłoby wiele. Mam ja rodzonego brata, Stanisława Herakliusza. Mąż to uczony, dzieła spisuje i chętnie z infułami gada... Ale on tak samo jak Brzostowski wykląłby mnie... Byłem u niego i powiadam: Biskupy zgubić mnie chcą... A on na to: «Słusznie czynią, boś występny jest...» I jął mi czytać jakoweś swoje księgi moralne i pobożne, z których tylem zachował w pamięci: «Nic — pisze tam cny pan brat mój — nic nie należy zaniedbywać w karaniu występków, aby przez odkładanie karania nie rosły i przez sprawiedliwości odwłokę nie wzmac-

niały się...» I gadajże tu z takim filozofem! Trzasnąłem drzwiami i poszedłem...

— A król jegomość?

— Król? co król!... Własnemi zajęty, o cudzych sprawach nie myśli!...

— Gdyby tak jednak — wtrącił Łyszczyński — mieć kogoś, któryby mu to ustawicznie przypominał... nie żaden dygnitarz, jeno taki, który posłuch ma i czynić to może bez ujmy dla siebie...

— Chyba o. Vota, — rzekł Lubomirski — ale ten jezuita pierwszyby mnie w łyżce wody utopił...

— Ja też o nim nie myślę, — pośpiesznie dodał Kazimierz — lecz choćby taki Betsal, którego Wasza Miłość potężnym zwiesz... Taki żyd wszędy trafi i powie wszystko...

— Co też waść pleciesz! — przerwał Bokum: — to także medjator!... A tożby hańba była!

Ale Lubomirski całe się nad tem zastanowił i, nie zważając na oburzenie cześnika, rzekł po chwili:

— Betsal... Betsal... I ja o tem myślałem... Zwłaszcza przez królowę mógłby... bo ona teraz bez niego kroku nie czyni... Ale widzisz waćpan, ten Betsal, jakem już rzekł, na niepewnych nogach... Nienawidzi go szlachta, oprócz owej gwardji — i lada dzień zgubi...

— Gdyby jednak Wasza Miłość — wtrącił znów spiesznie Łyszczyński — chciał owego Betsala przed grożącemi mu niebezpieczeństwy zasłonić... to on pewnie wszelkiemi siłami wywdzięczyćby się starał...

Lubomirski wychylił puhar i zaśmiał się:

— Do gwardji Betsalowej chyba nie wstąpię! Ale zasłonić go mogę.

— A niech go tam! — rzekł Bokum.

Ale Lubomirski ciągle się nad tem zastanawiał.

— To jest niezła myśl... — dodał po chwili. — Taki Betsal trafi wszędy, i nic mu nie przynosi ujmy — choćby go i za drzwi wyrzucono... On tam pewno i z pastorałami różne sprawy ma i gadać z nimi potrafi skutecznie... Najgorsze jednak to, że król o niczem teraz myśleć nie chce, jeno o swoim Jakóbku... i o koronie dla niego...

Do Bokuma się zwrócił:

— Słyszałeś cześniku? Znowu teraz żenić go chcą i nie głupio, bo z owdowiałą margrabiną brandenburską, której korona polska się uśmiecha... Niedarmo córka Bogusława Radziwiłła...

Łyszczyński porwał się zbladły.

— Córka Bogusława naszą królową! — krzyknął.

Marszałek zdumione oczy na niego wytrzeszczył.

— A waćpana co ugryzło? — spytał i począł się śmiać.

— Cha! cha! pewnie jakieś rachunki dawne... Bogusław moc ich zostawił... Nieprawdaż?

— Tak! — odparł ponuro Kazimierz. — Na spłacenie ich piekła za mało...

Marszałek wstał, ujął go pod ramię i na bok odprowadził.

— Daruj, cześniku, — rzekł do Bokuma — ale ty do Sobieskich się mizdrzysz, to ci tego słuchać nie wypada, co ja panu Łyszczyńskiemu mam rzec...

I począł mu szeptać do ucha:

— Dobrze? — spytał wkońcu. Chcesz-li nam być pomocny przeciw córce Bogusława?

— Będę pomocny! — odparł stanowczo Kazimierz.

— Wiesz co waćpan! — rzekł teraz głośno marszałek: — widzę, żeś jest rzeczywiście roztropny. Jedź ze mną do Warszawy... Ja nie wszędzie zajrzeć mogę... i dopatrzyć... Głupia szlachta mnie nie cierpi... na moje księstwo sarka... i biskupom przeciw mnie pomaga... Użyj waść swej wymowy, aby ją uśmierzyć... Ja zaś, jeśli ów Betsal okaże się sposobnym, w opiekę go wezmę... Mnie z Betsalem wprost nie wypada gadać, ale to waść uczynisz. Niech on pokaże co umie, jeśli sława o jego wielkiej przemyślności nie kłamie.

Łyszczyński jednak zawahał się. On tak odwykł od gwarnego życia i wszelkich spraw stolicy! Ze wstrętem przypominał sobie swoje dawne dworskie dzieje za przeszłego jeszcze panowania. Ale w tymże momencie uczuł, że jeśli Betsalowi i Racheli pomocnym być ma, a zarazem dogodzić swojej zemście, to jeno uczynić to może, czepiając się tak możnego pana jak Lubomirski, który ze swej strony pomocy jego potrzebował.

Marszałek dostrzegł to wahanie i wnet dorzucił:

— Do mego dworu waćpana zaliczę... Nie będzie ci zbywało na niczem. Niebawem pewnie zbierze się sejm... musi zebrać się, bo już głośno sarkają, że go od lat nie było, albowiem król Jegomość do *absolutum dominium* i utworzenia dynastji dążąc, sejmu się lęka. Przeto sejm musi być, i zerwą się różne wichry. Waćpana swada i rozum na wiele wówczas przydać się mogą... Masz waść liczne koneksje wśród szlachty?...

— Miałem dawniej... A i teraz tu w Wilnie i na Litwie mam garstkę takich młodych, którzy za mną idą...

— Weź ich wszystkich! — żywo przerwał marszałek — dla mnie ich zbierz... żałować nie będą...

Czasu sejmu niech za mną stoją. Wśród nich może jest który posłem ziemskim?

— Jest kilku, a między innymi krewniak mój, Szółkowski Jan, który jednak...

— No, co?

— A no, rozmiłował się okrutnie w pannie Grothusównie, a że tam rodzic zrazu nie był temu chętny, więc pannę porwał...

— Swawolnik jest... niecnota!... — mruknął Bokum, coraz bardziej z tej rozmowy niekontent.

— Dobrze się sprawił! — zawołał Lubomirski — dzielny jest, tego mi waćpan daj...

— On także z biskupem Brzostowskim trudności ma. Chociaż Grothusówna po woli za nim poszła i chociaż rodzic już się teraz zgodził, a brat porwanej sam w tem porwaniu udział brał, jako najserdeczniejszy Szółkowskiego przyjaciel, zawzięty biskup ekskomunikę na niego rzucił i o zdjęciu jej ani słuchać chce...

— Tem lepiej służyć mi będzie ów Szółkowski przeciw infułom — wtrącił Lubomirski. — Tedy go waćpan weź, a także owego Grothusa i ilu innych będziesz mógł, to bierz... abyśmy na przyszłym sejmie huczek uczynić mogli.

Marszałek wstał i dorzucił:

— Na waćpana zaś liczę, jako wnet do Warszawy przybędziesz...

— Mam tu jeszcze rozliczne sprawy — zauważył Łyszczyński — i nie będę mógł rychlej niż za trzy albo cztery niedziele.

— Nie zwlekaj waść, — z naciskiem rzekł marszałek — iżby za późno nie było... Oczekiwać będę waćpana z upragnieniem...

Kazimierz powstał i usiłował raz jeszcze sprawę Betsala poruszyć, wnet jednak spostrzegł, że marszałek, wpatrzony w przestrzeń, zgoła już tego nie słucha. Tedy począł się żegnać, ale Bokum widoczną okazał mu niechęć, ledwo głową skinąwszy w milczeniu. Lubomirski zaś raz jeszcze powtórzył:

— Przybywaj waść rychło...

Wychodząc, Kazimierz słyszał, jak cześnik litewski wyrzuty marszałkowi czynił, iż sojuszów nawet z żydowinami szuka i przeciw królowi działać chce.

A marszałek odpowiadał szyderstwy.

V.

Był dzień świąteczny i targowy, który się kończył. Rozbawiony naród rozchodził się zwolna po gospodach, aby tam zatwierdzać zawarte umowy; po ulicach i drogach pełno było ludu. Łyszczyński wracał śpiesznie do dworku, a dochodząc, z niechęcią ujrzał, jako na sąsiedniem podwórku pani Morozowej stały jakoweś wozy i mnóstwo było ludzi, których pani Morozowa, niewiasta wielce mowna i mająca liczne znajomości, częstowała piwem.

Łyszczyński, chcąc uniknąć oczu ciekawych, obszedł dokoła dworek i tą samą ścieżyną, którą wyprowadzał Rachelę, wszedł do wnętrza.

A na sąsiedniem podwórku szła rozmowa w najlepsze, albowiem pani Morozowa podniecić ją zawsze umiała tem, co najbardziej zaostrza uwagę, mówiąc źle o bliźnich. Tym razem oczywiście mowa była o Łyszczyńskim i chorobie Halszki.

Pani Morozowa wznosiła oczy do góry i wzdychała ciężko:

— Dopust Boży, nie choroba... Nic nie mówi, siedzi nieruchomo dzień cały, powtarzając jeno pacierze...

— Święta pewnie!... — zauważano.

Pani Morozowa głową kiwała.

— Święta, albo nie święta... kto tam wie? Pan stolnik Brzoska, który jest wielu tajnych rzeczy świadom, a z tymi Łyszczyńskimi dawniej w wielkiej zażyłości był, powiada, jako to jest pokuta za grzech.

— Och, Jezus!... — zawołała jakaś zgorszona niewiasta.

Ale byli tacy, którzy zaoponowali, mówiąc, jako Halszka niechybnie święta jest... przecie czas długi w wielkiej świątobliwości w klasztorze na Zarzeczu przebywała...

Morozowa zżymnęła ramionami:

— Co z tego! To było już właśnie po grzechu!... Pytajcie pana stolnika, on to wie... A i mój ś. p. nieboszczyk, który za młodu na dworze birżańskim sługiwał, powiadał, jako tam była naówczas dworka pewna przedziwnej urody, Halszka imieniem, którą książę Bogusław Radziwiłł mocno miłował.

— Ho! ho! on to umiał... — przywtórzono. — Po dziś dzień chodzą o tem opowieści...

— Miłował... no i cóż? — pytano.

— I cóż? i cóż? — ofuknęła się pani Morozowa — to, co z takiej miłości książęcia z dworką zawżdy bywa... Grzech! obraza Boska! ot co...

— Och, Jezu! — jęknęła znów owa niewiasta.

— Prawdę mówię, na pamięć mego nieboszczyka się klnę... Pan stolnik Brzoska powiada...

— Ten pan stolnik Brzoska paskudną gębę ma! — zawołał nagle Onufry Duchnowicz, który idąc do pana Łyszczyńskiego, a widząc na podwórku Morozowej gromadę, przystanął i pilnie słuchał.

— Ho! ho! — zawołała Morozowa — jaki mi

młodzianek do obrony pochopny... Lepiejbyś waćpan cechu pilnował, a z panem Łyszczyńskim się nie zadawał, bo opętany jest, i córuni jego, pięknej Zośce, w oczy nie zaglądał, bo z tego nie będzie nic — chyba znów obraza boska!...

Duchnowicz poczerwieniał, oczy mu zabłysły, ale zęby zaciął i zamilkł, wiedząc, że Morozowej nie przegada. Ona zaś, poprawiwszy chustę kraciastą na sobie ciągnęła dalej:

— Owóż ożenił się później z tą Halszką imćpan Łyszczyński, ale snadź oboje o tem, co się stało, zapomnieć nie mogli...

— Nie dziwota...

— A, pewnie, że tak. Aż pan Łyszczyński jednego dnia zerwał się i pojechał, rzuciwszy żonę z córeczką. Przygarnął je krewniak niebogi, pan Jesman, chorąży, ale to niedługo było, bo owa Halszka już chorzeć poczęła i wtedy to wzięły ją do siebie siostry bernardynki... Była tam aż do powrotu Łyszczyńskiego...

— Pogodzili się potem?

— Ot, taka to i zgoda... Napatrzyłam się ja tej zgody dosyć, bo już wtedy mój ś. p. nieboszczyk ten dworek w sąsiedztwie — niech mu Bóg nie pamięta — kupił. Zgorszenie i tyle...

— Co waćpani gada!... — zaprotestował znów pan Duchnowicz — nie godzi się...

— Co? co? Pewnie, że nie godzi się, ale tak czynić, jako czyni pan Łyszczyński. Niedarmo go oo. jezuici z klasztoru wygnali...

— Kłamstwo! — przerwał znów zaperzony Duchnowicz, — sam wystąpił...

A na to pani Morozowa z pięściami ku niemu się rzuciła, wyzywając szpetnie:

— A, nicponiu jakiś, ty na jednej nodze stojąc, dziesięćkroć zełżesz, a śmiesz uczciwej białogłowie, co trzech mężów — niech będzie Bogu na chwałę — przykładnie pochowała, kłamstwo zarzucać!... Idź ty z mego podwórka precz na żydowskie śmietnisko, bo cię miotłą stąd wydmuchnę!

I byłby może młody Duchnowicz rzeczywiście co oberwał, albowiem rozsierdzona niewiasta ściśniętą pięścią coraz bliżej mu wygrażała, ale wdali się w to inni i uśmierzać poczęli.

Duchnowicz nie śpieszył się jednak ustępować z podwórka, usunął się tylko opodal chmurny i ciągle słuchał.

A pani Morozowa, wymachując rękoma, mówiła dalej:

— Boże litościwy! A toż wie całe Wilno, że ja jeno prawdę gadam, a jej się nie zlęknę, bo jak to mówią: i na rodzoną mać trzeba prawdę zdać... A cóż mi pan Łyszczyński? ani brat, ani swat, iżbym miała dla niego gębę sobie kłamstwem psować.

— Ale — ozwał się niejaki pan Bartłomiej Dygon, niemłody już i poważny człek — i jam także słyszał, jako pan Łyszczyński sam dobrowolnie z klasztoru wystąpił...

Pani Morozowa w dłonie klasnęła.

— Ot macie! słyszał że dzwonią, a nie wie gdzie! Dobrowolnie... a jużci! Wiem ja dobrze co mówię, a mówię tak, iżbyście się go dobrzy ludzie, chrześcijanie sprawiedliwi, strzegli, bo to człek opętany... oo. jezuici zaczęli go już święcić, ale on im się wyrwał. Taki

zaś napoły wyświęcony najgorszy jest, jak powiada pan Brzoska, albowiem z Panem Bogiem się spoufalił, a djabłu służy...

— Och, rany Boskie! — wydobył się okrzyk zgrozy.

— A może myślicie, — ciągnęła dalej Morozowa — jako on tę nieszczęśliwą małżonkę swoją miłuje? Może dawniej kiedy, ale teraz nie...

— Przecie doktorów różnych sprowadza — zauważono.

— Acha, doktorów! — żachnęła się Morozowa — pięknych doktorów!... Niech oto pani Magdalena poświadczy, cośmy wieczorem przez niezasłonione okno widziały... I nietylko my, ale cała gromada...

— Co? co takiego? — pytano z zajęciem.

Pani Morozowa zniżyła głos:

— Tego jeszcze mówić nie można, a przynajmniej nie wszystko... Ksiądz biskup nasz Brzostowski wzywał mnie dzisiaj rano i pana stolnika Brzoskę, a tak rzekł: «Nie gadać tego głośno, aby nie spłoszyć... baczyć zaś pilnie na wszystko i na gorącym uczynku złowić i tego bezbożnika i tego rabina, który czary czyni, i jego wnuczkę».

— Nie pletlibyście bajek!... mruknął Duchnowicz — ja do pana Łyszczyńskiego dzień w dzień chadzam, a nigdy żadnych czarów, ani rabina, ani wnuczki jego nie widziałem.

Pani Morozowa znowu z pięściami rzuciła się ku niemu.

— Tyś nie widział! — krzyknęła — boś ty jest taki sam, jak pan Łyszczyński... Jest was cała gromada nicponiów. Ale strzeż się, bo będzie z tobą źle,

gdy ten Łyszczyński razem ze starym Betsalem i wnuczką jego pójdzie pod sąd i na stracenie...

Teraz dopiero spostrzegła się Morozowa, że w zapale, pomimo zakazu biskupa, wygadała wszystko. Uderzyła się tedy dłonią w usta.

— Skaranie Boskie! — dodała — z tym Duchnowiczem. Otom rzekła, com nie powinna była powiadać przed czasem... Ale jak tu wytrzymać, gdy ten młodzianek bezwąsy mnie, statecznej białogłowie...

— ...Która trzech mężów, jak Pan Bóg przykazał, pochowała, a o czwartym myśli — dorzucił szyderczo Duchnowicz, śmiejąc się.

Morozowa trzęsła się z gniewu, ale się miarkowała.

— Niedługo będziesz ty się śmiał — rzekła przez zaciśnięte zęby. — Wszystko to niebawem stanie się jawnem, jako ty i inni młodziankowie na bezbożną naukę chadzacie. Pan stolnik Brzoska...

— Pan stolnik łże jak pies! — przerwał Duchnowicz, który wychodził już z podwórka i śmielej gadał.

Rzuciła się za nim Morozowa i przytrzymała za połę.

— Zobaczym, kto łże i kto jest pies! — krzyknęła. — Zobaczym wtedy, gdy będzie sąd. Zeznamy, jako jest prawda i co się dzieje... Stary Betsal czary nad niemocną czyni, że nieboga jęczy i krzyczy jak opętana... pan Łyszczyński, nie pomnąc na swą krew chrześcijańską, na piękną ową żydówkę, Rachel, tak patrzy, jakby ją pożreć chciał, a może już i pożarł...

— Wierutne baje! — wtrącił Duchnowicz, bardzo zły, wyrywając się. — U waćpani gęba, jak wiatrak... Wyjdźcie już raz za tego stolnika, któremu wasze grosze pachną, to może on was poskromi...

W tłumie poczęto śmiać się zcicha. Pani Morozowa była teraz czerwona jak rak; oczy jej z wielkiego gniewu na wierzch wybiegły, sine wargi drgały, ale snadź Duchnowicz trafił w taką sprawę, której ona poruszać wobec innych nie chciała, albowiem wnet puściła ramię Duchnowicza i patrząc na niego wyiskrzonym wzrokiem, syknęła:

— Wyjdę za niego, albo nie wyjdę, jak mi będzie wola... Ale ty jesteś głupi, jak nieoblizane cielę... Ty mniemasz, jako Zochna będzie twoją i w oczy jej zaglądasz... A to mówię ci: na nic! Albowiem ona raczej tego niezdarę Jesmana poślubi, a nie takiego, jak ty, mieszczanka... Zresztą już jej tu niema...

Duchnowicz zbladł, jakby mu wszystka krew do serca zbiegła. Poskoczył do Morozowej i chwytając za rękę, spytał:

— Jakto? jakto niema?... Przecież wczora...

— Cha, cha, cha! – śmiała się teraz Morozowa w złośliwym triumfie. — Nie wyorzesz jutra pługiem, nie dogonisz wczora cugiem... Twoja Zochna, skoro świt, odjechała...

— Dokąd? — krzyknął Duchnowicz.

— Pytaj się o to wiatru w polu, albo pana Łyszczyńskiego... A najlepiej uczyń tak, jak uczynił pan Szółkowski z Grothusówną... porwij ją, a niech cię tam potem wyklnie ksiądz biskup...

Duchnowicz już tego nie słyszał; wybiegł jak szalony z podwórka Morozowej i do Łyszczyńskiego podążył.

U drzwi przystanął i usiłował ochłonąć. Nie! to było kłamstwo, co mu Morozowa mówiła. Chciała go pognębić i tak mu rzekła umyślnie. To nie może być, aby Zochna tak nagle wyjechała...

Serce mu biło gwałtownie; strach jakiś przejmował przed rozmową z Łyszczyńskim, którego zawsze się lękał. Co on mu powie? jak przyjmie?... Przypomniał sobie głos jego ostry a groźny, gdy wczoraj wieczorem zawołał na córkę: Zochna!

Zdecydował się wreszcie, ręką potarł czoło, drzwi szarpnął i wszedł.

Łyszczyński stał przy oknie, pogrążony w zadumie. Przywodził sobie na pamięć rozmowę swą z panem Lubomirskim i biedził się myślami, co mu teraz czynić należało.

Na odgłos otwierających się drzwi, odwrócił się szybko, a ujrzawszy młodego płatnerza, żachnął się z niechęcią. Odrazu nie uszło jego uwagi wzburzenie Duchnowicza, który stał przed nim, chyląc swą piękną, zbladłą twarz, w pomieszaniu.

— A!... — rzekł Kazimierz — co waćpana sprowadza?...

— Gdybyście wiedzieli, mości podsędku, gdybyście wiedzieli!... — bełkotał Duchnowicz. — Rozbiegały się przeciw wam języki złe...

Łyszczyński skinął głową.

— Wiem o tem... — rzekł krótko. — Nie uczynią mi nic...

Usiadł na ławie przed stołem, zarzuconym księgami, i wskazał obok siebie miejsce Duchnowiczowi.

Ale pan Onufry nie usiadł, lecz coraz spieszniej mówił:

— Uczynić mogą i uczynią... Oto dziś z kazalnicy o. Gedeon Brzoska niemal wyraźnie wskazywał was, mówiąc o opętaniu.

Krótki, szyderczy śmiech wydobył się z ust Kazimierza.

— Niech prawi!... To jego rzecz. Zresztą brat stolnika Brzoski miłować mnie nie może...

— A ten stolnik — przerwał Duchnowicz — to wasz wróg! Wszędy trafi, wszystkich przeciw wam podjudza!... Żebyście słyszeli, co ta Morozowa gada...

Łyszczyński pogardliwie ręką machnął.

— Na stolnika — wtrącił — już sposób mam. Zgnębię go... A Morozowa...

Ale Duchnowicz zbliżył się do niego i szeptem przerwał:

— Ona gada, że wnuczka Betsala rabina to miłośnica wasza... że rabin i ona czary rzucają... że o tem już wie biskup i że wkrótce i na was i na nią będzie sąd...

— Co? — krzyknął Łyszczyński, porywając się z miejsca; na bladą twarz jego wytrysły rumieńce. — To nie może być... to nieprawda!... Kto tak rzekł?...

— Morozowa... A i inni tak powiadają...

Łyszczyński biegał po izbie mocno wzburzony.

— Na mnie sąd!... cha! cha!... Co mnie uczynią? Nic!... ale jej...

Nagle przyskoczył do Duchnowicza i silnie ujął go za ramię.

— Mój ty... rzekł, przenikając go płomiennym wzrokiem — powiadałeś, żeś mi wierny, że mnie miłujesz? Jest-li to prawda?

Oblicze młodziana jeszcze bardziej pobladło. Moment milczał, a potem odparł stanowczo, podnosząc na Łyszczyńskiego łagodne spojrzenie pięknych, ciemnych oczu:

— Biorę was zawsze w obronę, ilekroć was szkalują... przyszedłem was dzisiaj uprzedzić o gadaniach złych... bom jest wam wdzięczny, żeście mi ślepe otworzyli oczy, żeście mnie nauczyli myśleć i czuć... Ale teraz mam żal do was, mości podsędku...

— Żal? i za co?

Duchnowicz opuścił głowę na piersi, ale wnet podnosząc ją, odrzekł śmiało:

— Zali nie wiecie?... Od lat dwóch przenikliwym waszym wzrokiem patrzycie w moje serce i czytacie w niem. Bez oporu pozwalaliście mi na ciągłe obcowanie z córką waszą, Zochną, i chyba wiecie, że ją nad żywot własny miłuję. Przecz-że nagle oddaliliście ją stąd?

Łyszczyński puścił ramię Duchnowicza i bardzo ponuro odparł:

— Zleciłem nad nią opiekę bratu memu, Witoldowi. Zochna jest i pozostanie w Markowszczyźnie, a uczyni to, co jej opiekun rozkaże...

— Poślubi pana Jesmana!... — przerwał młodzian z rozpaczą.

Łyszczyński ramionami dźwignął.

— Być może... — odrzekł zimno.

Duchnowicz zatoczył się jak pijany i zakrył twarz rękoma. W piersi ozwało się jak gdyby szlochanie...

— To niegodne! — szeptał — niegodne!

Łyszczyński patrzał na niego sztywnie, a wreszcie rzekł:

— Oprzytomnij, młodzianku. Chciej zrozumieć, że inaczej być nie może... być nie powinno... Jest prawo szlacheckie, którego naruszać nie lża!

Duchnowicz drgnął i odejmując ręce od twarzy, przerwał z wybuchem:

— Prawo szlacheckie! A cóżeście głosili nam, młodym, że ponad wszelkie prawa istnieje zakon miłości, który jedyne szczęście daje w tem życiu! Że niema i być nie powinno innych związków ponad związek serc? Mówiąc tak, myśleliście jeno o sobie, chcieliście pięknem słowem nas przyciągnąć, a zarazem pokryć i usprawiedliwić własne występki! Wszystko to było kłamstwo!

Łyszczyński przeszedł się zwolna po izbie, a na ostatnie słowa rozżalonego młodziana przystanął i powtórzył:

— Kłamstwo? A gdzież jest prawda? My ciągle kłamiemy, mniemając, że głosimy prawdę, a rzadko mówimy prawdę, gdy kłamiemy sobie. Albowiem przez usta nasze mówią namiętności, żądze, tradycje, wychowanie... Temu wszystkiemu gwałt zadać trzeba, iżby szczerą prawdę rzec...

— O, ja wiem — przerwał znów Duchnowicz — że wy, panie, umiecie mówić pięknie... Oplątaliście tą wymową i mnie, i wielu innych... Wszyscy wam niebawem złorzeczyć będą, jako ja teraz... Mnie rodzic się wyrzekł, bom rzucił rzemiosło, pan Jan Szółkowski pod klątwą już jest, albowiem idąc za podszeptem wymowy waszej, porwał z rodzicielskiego domu piękną Grothusównę... Gdzie jeno wasze słowo padło, wszędy grzech i zgorszenie...

Blade oblicze Łyszczyńskiego zapalało gniewem. Iskrzącem spojrzeniem mierząc Duchnowicza, krzyknął:

— Dość tego, ani słowa więcej, iżbym nie zapomniał, żeś w domu moim...

Ostry ton mowy oprzytomnił młodzianka. Uniesienie jego wnet pierzchło. Zbliżył się szybko do Łyszczyńskiego i chyląc głowę, rzekł kornie, niemal ze łzami:

— Przebaczcie... Żal miary nie zna... Miejcie litość! Nie rozdzierajcie dwóch serc... Wasza Zochna miłuje mnie!...

Kazimierz z widocznym wysiłkiem miarkował gniew, który w nim wrzał.

— To nieprawda! — zawołał.

Duchnowicz żachnął się.

— Nieprawda? Spytajcie jej samej... Chyba nie zaprzeczy. Na tem samem oto miejscu miłość mi przysięgła...

Głos mu drżał. Pełne tęsknoty oczy jego pobiegły w dal ku ogrodowi, który widać było przez okna. I mówił dalej głosem przyciszonym, bardzo smutnym:

— Gdyby te drzewa mowę miały, poświadczyłyby one wam, mości podsędku, nasze wyznania i przysięgi; powiedziałyby, jako czynicie zbrodnię, odbierając mi Zochnę. Ja wiem, żem mieszczański syn, rzemieślnik, a ona z dziada, pradziada szlachcianka... Ale wy sami znieśliście tę różnicę... Ona i ja napawaliśmy się waszemi słowy, jako to jest przesąd marny, który szczęście ludzkie niweczy. Szliśmy za głosem waszym i oto Zochna jest moja... ona do mnie należy... Nie odbierze mi jej nikt!...

Głos młodziana brzmiał teraz donośnie w uniesieniu. A Łyszczyński, słuchając, to bladł, to czerwieniał naprzemian. Z oczu leciały mu skry gniewu. Kilkakrotnie chciał przerwać, ale złość chwyciła go jak kleszczami za gardło i więziła głos. Patrzał na Duch-

nowicza, na jego urodziwą, a teraz zapałem rozpromienioną twarz i znowu jak wczora porywała go zazdrość tej urody i młodości. Zdzierżeć się wreszcie nie mogąc, wrzasnął ochryple:

— Precz!

A na to Duchnowicz skoczył jak wściekły.

— Wypędzacie mnie! — zawołał — pójdę! Ale pomnijcie, że stanie się nieszczęście...

— Nie boję się gróźb twoich, podły mieszczanku! — krzyczał Łyszczyński, nieprzytomny z gniewu, i powtarzał:

— Precz! precz!...

Duchnowicz, idąc ku drzwiom, odwrócił się od progu. Twarz miał niemal siną, oczy krwią nabiegłe.

— Idę — rzekł syczącym głosem — idę do kuźni rodzica kuć miecz na głowę waszą!

I wyszedł, drzwi zatrzaskując za sobą.

Przeleciał przez ogród i furtkę jak szalony i dalej biegł przez ulice, jakby kogo ścigał, gdy wtem posłyszał za sobą wołanie:

— Kędyż tak śpieszno, mości Onufry?

Przystanął i obejrzał się. Na ulicy stał imćpan Brzoska, stolnik bracławski. Chuda jego, pomarszczona, zwiędła twarz miała wyraz szyderski.

— Dokąd tak śpieszno? — powtórzył. — Pewnie ze zleceniem pana podsędka Łyszczyńskiego? Ważna rzecz!... A może śladów Zochny szukasz?

— Nie naigrawajcie się, mości stolniku! — odparł młodzian — mnie dziś nie do żartów...

I chciał biec dalej. Ale Brzoska za ramię go pochwycił. Nie uszła jego baczności dziwnie blada i pomieszana twarz Duchnowicza.

— Czekaj, bratku — rzekł. — Do swego nieszczęścia zawsze rychlej, niż potrzeba, nadążysz... Widziałem, żeś od pana Łyszczyńskiego biegł... Co zaszło?

— Nic... nic... — bełkotał płatnerz, usiłując wydobyć się z uścisku ręki stolnika.

— Gdzie tam nic!... Widzę, żeś wzburzony, jakbyś z ukropu wyskoczył... Nie od dziś daję na ciebie baczenie i domyślam się... Znam-bo ja dobrze pana podsędka i jego ród... Sam przez nich nacierpiałem się niemało. Szatan pychy w nich jest...

— Puśćcie mnie, mości stolniku! — prosił Duchnowicz — mnie śpieszno...

— Pewno do rodzica — przerwał Brzoska. — Dobrze, idź! Biedny starzec w rozpaczy, iżeś go się wyrzekł i w osamotnieniu ginie... Idź, do nóg mu padnij i o przebaczenie proś...

Duchnowicz porywał się już, ale Brzoska jeszcze go strzymał.

— Słuchaj — rzekł — gdy zmądrzejesz zupełnie a gorzko ci się stanie w duszy, że cię ten Łyszczyński na manowce wiódł, przyjdź do mnie... najdziemy radę dobrą... Bo widzisz, trzeba z nim skończyć... zgorszenia za dużo... Przyjdź do mnie... najlepiej o zmroku, do dworku pani Morozowej... Tam pogadamy otwarcie...

Duchnowicz, nic nie odpowiedziawszy, pomknął dalej, a stolnik długo jeszcze patrzał za nim, kiwając głową i śmiejąc się szyderczo.

— Ho! ho! — mruknął — zrywają się wichry nad głową pana Kazimierza... Niezadługo będziesz w moich ręku. Wszystkie wichry zbieram i wywołam burzę, która cię pochłonie... Nie wyśliźniesz mi się już, o nie!...

Raźniejszym niż zwykle krokiem podążył do dworku pani Morozowej.

Ale przechodząc podle domostwa Łyszczyńskiego, ujrzał jego oblicze, jakby wlepione w okno. Kazimierz w zadumie patrzył w dal.

Brzoska wzdrygnął się. Sięgnął jednak do czapki i pozdrowił:

— Miło mi, że w dobrem zdrowiu was widzę, mości podsędku! — zawołał ku niemu.

Łyszczyński nie oddał ukłonu, ani na pozdrowienie nie odpowiedział, jakby go nie słyszał.

Brzoska ramionami zżymnął i podążył dalej.

Łyszczyński zaś stał jeszcze długo w oknie, patrząc na pogodne niebo, na dalszą okolicę i wzgórza oblane promieniami słońca, na drogę szeroką, prowadzącą ku Werkom, po której snuły się wozy włościańskie, wracające z targu, wzbijając szare, gęste tumany kurzawy.

Nagle się porwał, jakby go co upiekło.

— Trzeba raz z tem skończyć! — mruknął.

Przywołał służebną i spytał:

— Jak teraz?

— Nie lepiej... — odparła ona — od wczora raczej gorzej. Albo niepokój, albo senność...

— Tedy niema co się wahać... — rzekł Kazimierz. — Biegaj do klasztoru na Zarzecze i powiedz przeoryszy, że na jej żądanie zgadzam się... Niech zabierze niemocną i niech ją pielęgnuje jak przedtem.

Twarz służebnej zajaśniała radością.

— O, to się wielebna matka ucieszy! — zawołała. — One tam jeno tego pragną, a zwłaszcza siostra Marjanna...

Biegaj! — przerwał szorstko Kazimierz — i powiedz, że dziś jeszcze, jeśli zechcą, przybyć mogą...

Musiała być rzeczywiście wielka radość w klasztorze z postanowienia Kazimierza, bo jeszcze tego samego dnia, zaledwie mrok zapadł, zajechał pojazd klasztorny przed dworek Kazimierza. Sama przeorysza w towarzystwie jednej nowicjuszki przybyła po Halszkę. Ujrzawszy ją taką bezsilną i senną, od łez powstrzymać się nie mogła i objąwszy ramieniem, ściskać, całować i błogosławić poczęła.

— Przestańcie!... — mruknął z niechęcią Kazimierz — wszelka rzewność i czułość szkodzą Halszce...

Ale Halszka w tem objęciu zdawała się właśnie przychodzić na moment do siebie. Otworzyła oczy ogromne, zdziwione, i utkwiła je w twarzy pochylonej nad nią zakonnicy. Wargi jej ust bladych poczęły drgać, a potem składać się jakby do uśmiechu. Za chwilę przymknęła oczy i tuliła się jak dziecko w macierzyńskiem objęciu...

Niebawem dźwignięto Halszkę i wyprowadzono do pojazdu. Ona bez oporu i jakby bezwiednie pozwalała czynić wszystko. A na odjezdnem przeorysza rzekła do Kazimierza:

— Przeto zdajecie mi opiekę nad Halszką?

— Zdaję... — odparł krótko i ponuro Łyszczyński.

— Czynicie to dobrowolnie... więc klasztor nasz nie będzie miał z tego powodu żadnych przykrości?...

Kazimierz ramionami dźwignął.

Zaliście je przedtem mieli? — odrzekł. — Stało się to wówczas bez mojej wiedzy i woli, a teraz za moją wiedzą i wolą...

Przeorysza skłoniła się w milczeniu i zajęła miejsce

w kolasie obok spoczywającej jak w omdleniu Halszki. Pojazd ruszył i Kazimierz został sam.

Już teraz na prawdę i na zawsze sam. Patrząc za unoszącym Halszkę pojazdem, czuł, że mu się usuwa z duszy ciężar olbrzymi. A przecież on tę niewiastę tak namiętnie do niedawna jeszcze miłował! Więc cóż jest człowiek i jego uczucia? Teraz wyraźnie widział, że ten Łyszczyński, który przed laty przyjmował mniejsze święcenia w klasztorze oo. jezuitów, zaciekły w nauce, a żarliwy w wierze, ten, który potem, zapłonąwszy miłością ku pięknej Halszce Szólkowskiej, wszystko dla niej rzucił i za nią podążył w świat, ten, którego przez lat wiele targał szatan zazdrości, ten szaleniec, trawiony później tęsknotą do opuszczonej i wzgardzonej małżonki — ten dawny Łyszczyński, a obecny, to dwóch ludzi zgoła do siebie niepodobnych.

Tamten pierwszy, porywczy, gwałtowny, czynił nieraz źle, ale czynił to w uniesieniu. Porywała go jakaś siła i niosła. Były wszakże chwile ukojenia, nawet pogody; były znów takie, w których on, czując się wyższym, mądrzejszym od innych, pragnął coś z siebie tym innym dać, innych nauczać, podnieść, siłą wymowy zagrzać i porwać. Z tego wszystkiego teraz nie zostało nic. Dawne ukochania i zapały wygasły.

Oddalił od siebie Zochnę, oddalił Halszkę, tak bardzo niegdyś ukochaną i ani razu nie drgnęło w nim serce. I teraz jeszcze czasem zagłębiał się w naukowe badania i księgi, ale bez śladu dawnego zapału. Im usilniej pragnął dotrzeć do prawdy, tem ona dalej uciekała od niego, a on wpadał w zniechęcenie i rozpacz. Coraz gęstszy otaczał go mrok. Wśród nocy

bezsennych dręczyły go myśli: jaki przeto cel życia, skoro cała mądrość ludzka rozbija się o jeden znak zapytania, o jedną nierozstrzygniętą wątpliwość? Dlaczego on nie może żyć tak, jak inni, których otacza cisza i spokój? Bo ci inni — odpowiadał sam sobie — żyją jak bezmyślne zwierzęta. Wierzą w to, w co im nakazano wierzyć; odwracają się z umysłu od zagadnień, które mąciłyby im spokój... A on myśleć musi i działać musi... I napadała go znowu chęć działania. Wówczas wychodził z zamknięcia i rzucał się w tłum. Szukał młodych umysłów i na nich próbował swojej nauki. Widząc, jaki wpływ wywiera, czuł się na chwilę potężnym, niemal wszechmogącym...

A teraz i to odpadnie od niego... Duchnowicz w uniesieniu przedstawił mu wszystkie następstwa jego działania. Oto wniósł zamieszanie, zamęt, nieszczęście w rodziny; niebawem wszyscy złorzeczyć mu będą, nad jego głową zbiera się burza, a nawet ci, którzy go miłowali, jak Duchnowicz, buntują się, zarzucając, że własnym słowom kłamie...

Tak, mają słuszność — kłamie! Albowiem nauka mądrych roztropnem jest kłamstwem... *Doctrina sapientium prudens est mendacium*... Kłamał, gdy mówił im jako zakon miłości, w stosunku mężczyzny do kobiety, uznaje za jedyne prawo, bo oto teraz sam postąpił inaczej... Kłamał sobie i innym na każdym kroku i w każdem słowie, mówiąc, jako w coś wierzy... Albowiem jedyną w nim prawdą była jeno żrąca wątpliwość...

Mrok gęsty zapadł. Kazimierz odstąpił od okna i przeszedł się kilkakrotnie po izbie. Usiłował rozproszyć czarne myśli, które go opanowały. Pocieszał

się, że burza przeminie. Wszak już niejednokrotnie grożono mu klątwą, sądem, a skończyło się na niczem... Możnych protektorów znajdzie i nie uczynią mu nic... Ale Racheli? Wszak ją na podstawie głupich gadań Morozowej, mogli zaraz schwytać, uwięzić, o czary obwinić i skazać... A pospólstwo wileńskie, rozdrażnione przeciw żydom, gotowe było ukamienować ją bez sądu... Przypomniało mu się dziełko Ząbkowicza «Młot na czarownicę», pisane wedle oryginału łacińskiego «Malleus maleficorum», które mu niedawno w ręce wpadło. Przepisane tam były sposoby postępowania z czarownicami, dochodzenia ich winy i tracenia... Zadrżał. Trzeba było natychmiast zapobiec niebezpieczeństwu, o którem mówił Duchnowicz... uprzedzić Betsala, skłonić, aby z wnuczką wyjechał... Dobrze, że wyprawił Halszkę, bo wobec tego może gadania przycichną...

Obejrzał się wokół. Było już zupełnie ciemno. Teraz mógł niepostrzeżenie wyjść z dworku i przedostać się na ulicę Jatkową, kędy mieszkał Betsal.

Nie zwłócząc, wybiegł.

Ulica Jatkowa, długa a wąska i bardzo niechlujna, zamieszkana wyłącznie przez żydów, pogrążona była w mroku, że domu od domu trudno było rozeznać. Domki małe, stare, walące się, a brudne i cuchnące. Kazimierz, idąc śpiesznie, ślizgał się i utykał na wystających z błota, wilgotnych kamieniach, ale szedł niezmordowanie i dom Betsala poznał odrazu. Był on nieco większy od innych, chociaż niemniej niechlujny.

Łyszczyński wbiegł do sieni, zupełnie ciemnej i wdrapał się na kilka stromych, błotnistych i wilgotnych schodów. W tym momencie drzwi się w górze

otwarły i stanęła w nich, w blaskach płynących z izby, Rachel.

Ujrzawszy Łyszczyńskiego, cofnęła się zdumiona.

— Wy, panie? o tej porze?... — spytała stłumionym głosem, szybko drzwi zamykając za sobą.

Nie tak jednak szybko, iżby Kazimierz dostrzec nie mógł siedzących w głębi izby rabina i młodego Barucha. To mu przypomniało słowa Betsala, który chwalił rozum owego Barucha i rzekł, jako radby, aby go Rachel poślubiła...

Krew uderzyła mu do głowy.

— Wejdźmy!... — rzekł ostro — ważne sprawy mam...

Ale Rachel ujęła go za rękę i pociągając w głąb ciemnej sieni, szeptała pośpiesznie:

— Nie teraz... nie dzisiaj... przyjdźcie, panie, jutro...

— Tam jest młody Baruch — przerwał gwałtownie Łyszczyński — którego poślubić masz!...

— Rachel małą swą, delikatną dłoń położyła mu na usta.

— Ciszej... ciszej... — błagała — nie trzeba, aby wiedziano, że tu jesteście... Dziadek tak chce... ale ja się oprę... choćbym miała...

Nie mogła dokończyć, albowiem w tymże momencie ozwało się z wewnątrz izby wołanie rabina:

— Rachel!...

Ona wzdrygnęła się i, zbliżając usta swe do ucha Kazimierza, szepnęła:

— Wyjdźcie stąd! na Boga, wyjdźcie!... Czekajcie na mnie na rogu ulicy... ja wnet tam będą...

Wbiegła do izby, szczelnie drzwi zamykając za sobą. Znowu na moment ujrzał Kazimierz w świetle

trzęsącą się postać starego rabina, i wnet otoczył go mrok.

Zsunął się ostrożnie ze schodów i wyszedł na ulicę, dziwnie pomieszany. Nie umiał sobie wytłumaczyć przestrachu Racheli; dlaczego nie chciała wpuścić go do izby, w której był Baruch? czyżby ona z dziadkiem była w zmowie, a jego, Kazimierza, chciała jeno zalotnością zjednać i usidlić, iżby pomoc dla rodzica uzyskać?...

Myśl ta gryzła go w samo serce i burzyła krew, gdy czekał na rogu ulicy. Ale nie czekał długo. Wnet ujrzał ku niemu spieszącą Rachelę. Osłoniła głowę i część twarzy chustą i biegła raczej, niż szła.

Stanęła przy nim zdyszana.

— Chodźmy! — rzekła — chodźmy!... Przybył do Wilna wuj mój, lekarz królewski Jonas... do niego idę... On mnie miłuje więcej niż rodzic i więcej niż dziadek... On mi poratunek da... A tam, do nich, już nie wrócę... bo tam wszystko złe i plugawe!...

Kazimierz z podziwieniem słuchał.

— Jakto... nie wrócisz? — spytał — a kędyż pójdziesz?

— Z wujem Jonasem do rodzica pojadę. Jeżeli jemu niebezpieczeństwa grożą, raczej zginąć z nim, niż w tem plugastwie żyć... Chodźmy... Jonas mieszka na Niemieckiej ulicy...

Ruszyli z miejsca, a Rachel, tuląc się do Kazimierza, mówiła ciągle głosem ze wzruszenia drżącym:

— Jonas dziś rano przybył do nas... I rzekł jako jest źle. Bo jakkolwiek rodzica mego król jegomość pod swoją opiekę wziął, to za to na króla złość jeszcze bardziej urosła... Jawne spiski przeciw niemu knowają

i zgubić go chcą... a wtedy i rodzic mój i my wszyscy przepadniem...

Zatrzymała się moment, jakby myśląc, zali mówić dalej, lecz nagle wybuchnęła:

— Wy, panie, uchodźcie stąd, uchodźcie conajrychlej... Wy nawet pojęcia mieć nie możecie, jak się tu na was sprzysięgli... Wszyscy, nawet tacy, którzy, jak Baruch...

Urwała, lecz za moment:

— Nie godzi mi się więcej rzec — dorzuciła. — Ale na duszę swoją wam się klnę, prawdę mówię!

Łyszczyński tę prawdę mimowolnie czuł. Czuł ją w drżeniu głosu i widocznem wzburzeniu Racheli, ale podejrzliwa jego natura skłonna była wszędy upatrywać zdradę.

— Przecz-że mi to mówisz? — spytał — cóż tobie po mnie?...

Rachel przytuliła się do niego.

— Ja was czczę! — rzekła z mocą. — Wyście mi poruszyli duszę waszą ognistą mową... Wy nie jesteście tacy, jak wszyscy, którzy mnie otaczają... Dziadek jest mądry... on uczył mnie zawiłe rozumieć rzeczy, bo mu się zdawało, że je sam rozumie, i mnie się zdawało, że je rozumiem. A wyście dopiero rzekli, że to jest nic... że biada temu, który w sobie samym nie wytworzy myśli, lecz słucha cudzych myśli i wierzy w nie... Ja odtąd mam inne, swoje myśli, i dlatego was czczę i nie mogę tu ostać!... Wyście rzekli: Myśl stwarza wszystko z niczego...

Kazimierz z podziwem słuchał i mimowoli się uśmiechnął. Było to rzeczywiście coś podobnego do wygłaszanych przez niego teoryj, które on przy-

odział nawet w formułkę łacińską: *Deus non est Creator hominis, sed homo est Creator Dei, quia Deum sibi finxit ex nihilo.*

Ale ktoś musiał tę formułkę wyjaśniać Racheli, umysł zaś jej, przyuczony od młodu przez starego rabina do spekulatywnego myślenia, chwycił ją i zastosować umiał.

— Młody Baruch musiał ci to objaśniać? — spytał Kazimierz.

— I on, i inni, a najbardziej wy sami. Słuchałam was nieraz z ukrycia, gdyście wykładali młodym naukę waszą... Szłam za wami, opodal za miasto, nad rzekę, i słuchałam... Raz, pomnę, było to już w tym roku, dziadek mój zapragnął was słyszeć, już bowiem zaczęły się wśród żydów szemrania na was. Poszłam tedy z dziadkiem, i Baruch z nami... Nie zapomnę tego momentu... Dziadek z natężeniem słuchał, a potem zaczął się trząść z gniewu i złorzeczyć wam... «Kłamie! kłamie! — wołał — Bogu bluźni!...» Wyście nawet wówczas dosłyszeli to wołanie, przerwaliście mowę i szukaliście oczyma tego, co wołał... «Jakiś stary żyd wściekł się...» — powiedziano wam. A dziadek pochwycił mnie za rękę i uchodzić począł, szemrząc ciągle. I wnet potem szukał bliższej znajomości z wami...

— Zdawało się, że był mi przychylny?... — wtrącił Kazimierz.

— Nie wierzcie temu! — zawołała Rachel — nie wierzcie! To wszystko był podstęp... iżby was usidlić... Zrazu chciano za waszą pomocą zasłonić rodzica mego, a teraz, gdy jeszcze tutaj i o czarach mówić zaczęto, obmyślono inaczej... Mają was oskarżyć o bluźnierstwo przed biskupem, aby zyskać jego łaski

i protekcję. Wy macie paść ofiarą; żydzi przeciw wam z biskupami pójdą!...

Oburącz chwytała się za głowę.

— A! a! — wołała jak w pomieszaniu.

A zaś Kazimierz, słuchając słów jej, mówionych jak w gorączce, mimowolnie czuł przenikający go dreszcz strachu przed niewidzialnem niebezpieczeństwem. Czasem zdawało mu się nieprawdopodobnem, co mówiła Rachel, jak nieprawdopodobną zdawała się ta cześć, jaką mu ona wyrażała.

Ale gdy spojrzał na nią i w mroku ujrzał jej błyszczące oczy, utkwione w siebie z lękiem i niewymownem uczuciem, uwierzyć musiał. Objął ją ramieniem i przygarnął do siebie, ona zaś tuliła się do niego jak dziecko z cichem, tłumionem szlochaniem.

Przystanęli na moment wśród ciszy i cieniów. Kazimierz pochylił się i śpieczone usta przyłożył do białego czoła Racheli.

Wtem nad samem uchem posłyszał gwizd i ostry kamień spadł tuż obok niego.

Rachel wzdrygnęła się całem ciałem.

— Jesteśmy zgubieni!... — szepnęła — uchodźmy! To Baruch...

I poczęła biec, ciągnąc Kazimierza za sobą.

Biegli tak chwilę przerażeni odgłosem własnych kroków, bo im się zdawało, że idzie za nimi pogoń i że niebawem grad kamieni posypie się na ich głowy. Ale pogoni nie było i oni przystanęli na rogu ulicy zdyszani.

Rachel oparła się całą postacią o mur narożnego domu i długi moment stała tak z przymkniętemi

oczyma, bez ruchu i tchu w piersiach, wpół otwartemi usty chwytając powietrze.

Kazimierz, bezradny i sam zalękniony, pochylił się nad nią.

— Rachel... Rachel! — powtarzał — uspokój się... patrz... pusto... nikogo niema!...

Ale ona wnet oprzytomniała:

— Tu mieszka — rzekła szeptem — doktor Jonas. Tu się schronię... Ale wy?...

Myślała moment i zdecydowała się natychmiast.

— Wy idźcie ze mną! — zawołała. — znacie go; on jest inny, zupełnie inny od nich... Inaczej patrzy na świat... On radę da, co dalej czynić...

Mówiąc to, ciągnęła Kazimierza za sobą.

A on sam sobie dziwił się, że ulegał biernie woli tego dziewczęcia. Pociągał go dziwny czar, ku ocaleniu, czy ku zatracie, sam nie wiedział, i zastanawiać się nad tem nie miał czasu.

Weszli do domu obszernego domostwa, schludniejszego od innych na tej ulicy. W głębi Rachel poczęła kołatać do drzwi, które się niebawem otwarły, i struga światła, padająca przez nie, zalała wielką sień sklepioną.

Doktor królewski, ujrzawszy o tej porze Rachel, cofnął się zdumiony.

— Co to znaczy?... — spytał.

Ale ona, nie odpowiadając, wkroczyła śmiało do wnętrza.

— Chodźcie, panie! — rzekła do Kazimierza, a gdy ten wszedł, zaparła silnie drzwi za nim.

Wzrok doktora przechodził teraz z Racheli na Łyszczyńskiego, pełen zdziwienia i niepokoju.

— Wy tutaj? mości podsędku... — zaczął. — Właśnie myślałem o was i chciałem jutro...

Ale Rachel przerwała i poczęła mówić szybko, gorączkowo. W kilku słowach opowiedziała rzecz całą: Od pewnego czasu czuje wokół siebie tajemnicę, której dociec nie zdoła. Ona wie jeno, że coś dziwnego dzieje się w domu jej dziadka. Z Warszawy i ze stron różnych, a zwłaszcza z dóbr królewskich, przybywają żydzi, pomocnicy jej rodzica. Wszyscy spłoszeni, przerażeni, mówią o grożących im spiskach, szukają u rabina rady i pomocy. Rabin Łyszczyńskiego do siebie wciągnął... a jej, Racheli, kazał zalotnością go usidlić. Ona zrazu myślała, że to wszystko dlatego, iżby pozyskać słowo Łyszczyńskiego do panów możnych, jak Bokum i Lubomirski, ale teraz widzi, że to jeno podstęp, przekonano się bowiem, że protekcja Bokuma i Lubomirskiego za mała, aby ochronić żydów. Żeby ich sprawę ocalić, a przynajmniej odwlec, umyślono teraz przed sejmem i czasu sejmu inną wzbudzić i podnieść, tak głośną, iżby tamta w niej zatonęła. I oto co postanowiono:

— Słyszałam dziś na własne uszy! — kończyła Rachel w wielkiem uniesieniu. — Przybył Baruch syn Rehuma, i młody Baruch, i inni żydowie, i poczęli się zmawiać. Najstarsi z nich, z rabinem na czele, mają iść do biskupa ze skargą na pana Łyszczyńskiego.

Doktor Jonas, który od początku poruszał się niecierpliwie i kilkakrotnie przerwać chciał, wybuchnął wreszcie:

— Rachel strzeż się!... oskarżasz krew własną!...

— Inaczej nie mogę! — zawołała ona: — tego utaić nie zdołam. Oni chcą zgubić sprawiedliwego

człowieka za to, że kilku młodym żydom czynił dobrze, ucząc ich...

— Uspokój się Rachel! — wtrącił Łyszczyński, który stał nie wiedząc, co począć z sobą.

Widocznie niezadowolenie Jonasa nie uszło jego uwagi, i chciał bądźcobądź zakończyć tę scenę.

— Ja — dodał — nie lękam się niczego... a w potrzebie obronię się sam...

— Nie! — zawołała porywczo Rachel — wy nie wiecie nic... Żyjecie z myślami waszemi jak na pustyni i nie słyszycie nic... A ja słyszę groźby i znam cały plan... Tu w tych dniach ma się odbyć zjazd biskupów, a wówczas oni mają oskarżyć was o bezbożność, jako uczycie młodych, że Boga niema!...

Ze złożonemi rękoma zbliżyła się do Jonasa i ze łzami w głosie mówiła:

— Nie dopuśćcie do tego!... Wyście inni od nich... lepsi, mądrzejsi... wyście zupełnie inni... Wyście tacy, jak była macierz moja, siostra wasza... Wy nie dopuścicie do tego, iżby ten sprawiedliwy zginął od ciemnoty ich... A ja nie chcę i nie mogę być ich narzędziem i dlatego mówię... dlatego oskarżam krew własną!... Jeżeli zaś nie zechcecie uczynić tego, o co was błagam, jeżeli nie postawicie oporu tym niecnym knowaniom, to ja, córka siostry waszej, jawnie i głośno wołać będę, jako to jest podstęp i spisek!

Głos jej drżał a zaszedł łkaniem, gdy chyląc głowę do ręki Jonasa, dodała:

— Ale wy to sprawicie... boście dobrzy... nie tacy, jak oni... co kamieniami na ulicy ciskają...

Po wyrazistej, a choć niemłodej już, lecz jeszcze

pięknej twarzy Jonasa przebiegł błysk. Wyraz jakby rozrzewnienia zamigotał w oczach.

Ujął Rachel oburącz za głowę i podniósł ku sobie. Chwilę wpatrywał się z czułością w jej załzawione oczy.

— Żywa matka!... żywa matka! — szeptał, i pierś wzbierała mu gorącem współczuciem.

Wiele to lat temu minęło, gdy młodym chłopaczkiem, z młodszą od siebie siostrą, umknął wraz z sędziwym rodzicem przed prześladowaniem, z rodzinnego Casalu w Montferracie, do Polski. Wiele lat trudów, tułactwa i nędzy, wśród której rodzic zmarł, on zaś przysiągł sobie, że pracą zdobędzie fortunę. Fortuny wielkiej nie zdobył, ale uzyskał stanowisko i znaczenie jako lekarz, że dziś mało kto z nim w stolicy mierzyć się mógł. Wiedzę zdobywał mozolnie i powoli, skarbiąc sobie protekcję możnych panów, których synom za granicę towarzyszył. Wytrwały i niezmordowany, umiał wszelakie pokonywać trudności, zręczny i układny, zdobył sobie wreszcie zaufanie, a nawet miłość króla. I mógłby się nazwać szczęśliwym, gdyby nie to, że ogniska domowego nie miał, a jedyną siostrę, którą nad życie miłował, utracił wcześnie. Matka Racheli, zarówno, jak ona piękna i jak ona w uczuciach niepohamowana, umiłowawszy sobie młodego Betsala, który rozpoczynał podówczas karjerę jako skromny arendarz w dobrach królewskich, poślubiła go wbrew woli brata. Jonas nie lubił Betsala i nie ufał mu, ale przełamać woli siostry nie zdołał. Pożycie ich nie było szczęśliwe i trwało niedługo; młoda żona Betsala odumarła Rachelę kilkoletniem dziewczątkiem, które zrazu chowało się przy rodzicu. Lecz gdy ten ponowne zawarł śluby małżeńskie, naówczas Jonas, za zgodą

Betsala, któremu sierota stała się w domu ciężarem, zabrał ją i umieścił w Wilnie, w domu dziadka, w mniemaniu, że stary rabin najlepiej strzec potrafi jej młodości i urody, która już w stolicy niezwykłością swą poczęła zwracać uwagę. Sądził też, że karność i powaga, panujące w domu rabina, dobrze wpłyną na uparty i niepohamowany charakter Racheli.

— Niech będzie piękna jak matka, — myślał — lecz spokojniejsza i szczęśliwsza niż ona...

Ale teraz, gdy uniósłszy jej śliczną głowę, wpatrywał się w jej oczy, błyszczące łzami, serce mu zadrgało złowrogiem przeczuciem. Jakież to niesforne myśli zbudziły się w tej głowie i jakie uczucia poruszyły tą młodą duszą!...

Obrócił wzrok ku Łyszczyńskiemu, który stał milczący i ponury. Moment badawczo na niego patrzył. Badawczo i niemal z nienawiścią. Byłżeby to ten już starzejący się człek, który podstępną mową zdołał obudzić śpiące dotychczas namiętności Racheli?

Wnet jednak pomiarkował się i usiłując zapanować nad sobą, rzekł:

— Zaliś ty nie chora, Rachel?... Bredzisz jak w malignie... I mnie oszołomiłaś, iżem zapomniał, com winien tak zacnemu gościowi.

A zwracając się ku Łyszczyńskiemu, dodał uprzejmie:

— Raczcie usiąść, mości podsędku, a powiedzcie, jakże teraz zdrowie małżonki waszej, którą widziałem na wiosnę?...

Łyszczyński nie zabrał miejsca i odparł ponuro:

— Nie jest lepiej i już pono lepiej nie będzie... Jest obecnie w klasztorze na Zarzeczu...

Ale Rachel nie dozwoliła na odwrócenie rozmowy, i chwytając Jonasa za ramię, przerwała:

— Przez Boga... radźcie co czynić... Mamże i u was nie znaleźć rady?... Ja do dziadka... do nich — nie wrócę!

Jonas widocznie drgnął. Snadź lękał się, że Rachel spełnić może groźbę i idąc za głosem swej fantazji czy namiętności, dopuści się szaleństwa.

Silił się wszakże, aby zachować spokój, i raz jeszcze zwrócił się uprzejmie ku Łyszczyńskiemu:

— Raczcie usiąść, mości podsędku, bo w ten sposób nie możemy swobodnie rozmawiać, zwłaszcza, że to biedne dziecko opanowała jakaś gorączka...

Zajęto tedy miejsca na ławach przed obszernym stołem, i doktor królewski począł mówić powoli, każde słowo ważąc:

— Wyście dawno, mości podsędku, nie byli w stolicy i nie wiecie co się tam dzieje... A dzieje się rzeczywiście źle... Ja, stojąc blisko przy królu, którego zdrowie rzeczywiście szwankuje, widzę dobrze, co się święci. Król pragnie zapewnić dziedzictwo tronu synowi Jakóbowi; po tylu świetnych zwycięstwach i zdobywszy tak wielką sławę, zdawało mu się, że wdzięczny naród sam zapragnie dynastji Sobieskich, z drugiej strony liczył na przyrzeczenie zagranicznych dworów... Tymczasem naród nie chce dynastji i staje przeciw królowi, a przyrzeczenia poszły wniwecz. Doradzono mu wyprawę na Wołoszczyznę, która to wyprawa miała przynieść królewiczowi Jakóbowi tymczasem Mołdawskie księstwo udzielne, a przyniosła klęskę sromotną i przyćmiła blask dawniejszych wiktoryj. Dopomogło to jeno cesarstwu do zdobycia Siedmiogrodu, a w Polsce zaostrzyło nieprzyjaźń pomiędzy francuskiem a cesar-

skiem stronnictwem, które jednak oba łączą się, ilekroć idzie o zwalczanie dynastycznych zamiarów króla...

Rachela, którą ten wywód mocno niecierpliwił, przerwała nagle:

— Ależ jakiż to ma związek?...

Doktor królewski wypieszczoną dłoń złożył na jej głowie i począł gładzić jej złote włosy.

— Zobaczysz zaraz... odparł z uśmiechem. — Imć pan podsędek musi znać całą sytuację, iżby ocenić mógł, co mu najlepiej czynić wypada w swej własnej sprawie.

— W mojej sprawie?... — przerwał Kazimierz: — ja żadnej sprawy nie mam!...

Jonas nieufnie rzucił na niego spojrzenie.

— Jakto? — spytał — czyżbyście nie wiedzieli?... Wszak od miesiąca płyną na was doniesienia... a biskup tutejszy Brzostowski domaga się zezwolenia królewskiego, iżby was, jako bluźniącego Bogu ateusza, uwięzić mógł...

Rachel w ręce klasnęła.

— Boże wielki! — zawołała, rzucając wzrok lęku pełen na Kazimierza.

Ale on uśmiechnął się lekceważąco.

— Wszak znasz waćpan — ozwał się — kardynalną zasadę naszego prawa... *Neminem captivabimus, nisi jure victum...* Zanim mnie prawem nie pokonają, uwięzić nie mogą!

— Nie łudźcie się, mości podsędku, — rzekł Jonas — i nie dufajcie nikomu. Ja radzę wam na baczności się mieć, a najlepiej nie siedzieć tu w Wilnie, lecz do Warszawy jechać... Tam łatwiej opiekę znaleźć, choćby jej u samego króla szukać wypadło...

— Do Warszawy — odparł Kazimierz — niebawem pojadę, bom tak przyrzekł panu marszałkowi Lubomirskiemu, a to nawet w sprawie rodzica Racheli, Betsala...

Jonas pogardliwie ręką machnął.

— Pan marszałek niewielką pomoc może dać... Sam jest pod klątwą... a szlachta nienawidzi go; on zaś nienawidzi króla i wraz z innymi przeciw niemu spiski knowa... Co się tyczy szwagra mego Betsala, to on sądu nie ujdzie, jeżeli sejm zbierze się i dojdzie...

Spojrzał bystro na Łyszczyńskiego, jakby chciał z twarzy jego tajne myśli wyczytać. Ale twarz ta ponura, prócz przygnębienia, nie wyrażała nic.

— Wybyście, mości podsędku, — rzekł po chwili — mogli i sobie, i Betsalowi, i nam wszystkim skuteczną pomoc dać... O tem właśnie myślałem, gdyście weszli...

Łyszczyński głową rzucił:

— Ja? — zagadnął. — Cóż ja mogę? Na prośbę starego rabina udałem się do pana Bokuma i Lubomirskiego, a no, powiadacie, że to droga zła... stary zaś Betsal, jak oto Rachel powiada, gotów z biskupem przeciw mnie iść...

— Nie lękajcie się tego — przerwał Jonas — ja nie dopuszczę...

Rachel nagłym ruchem pochyliła się i poczęła całować ręce doktora...

— Wiedziałam ja, — szepnęła z uniesieniem, — że do was nie na darmo się udam...

Jonas nic na to nie odrzekł, jeno dłoń garnącej się ku niemu Racheli ujął i trzymając w uścisku, powtórzył:

— Nie dopuszczę... Co nam, żydom, mieszać się

w to!... Wy zaś, jeśli rodzicowi Racheli dopomóc i siebie wydźwignąć chcecie, możecie to uczynić, ale inną drogą...

— Jaką? — z niedowierzaniem spytał Kazimierz — nie znam żadnej...

— Wszak wy macie siostrę? — znagła zapytał Jonas.

— Mam — odparł Kazimierz, coraz bardziej zdumiony, — lecz cóż ona znaczyć może? Tyle lat poza granicami kraju...

— Bardzo wiele... — szybko przerwał Jonas — pisał o niej książę Ferdynand kurlandzki do królewica Jakóba. Ona jest najbliższą powiernicą Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny, owdowiałej niedawno małżonki margrabiego Ludwika, młodszego syna kurfirsta brandenburskiego... o której rękę zabiega królewic...

— Wiem — wtrącił Łyszczyński; — wspominał mi o tem także Lubomirski marszałek.

Żachnął się Jonas.

— I pewnie — rzekł szybko — namawiał was, abyście przez siostrę nie dopuścili do tego?...

Łyszczyński milczał.

— A tak! — zawołał doktor królewski. — Lubomirscy i Sapiehowie w tem się godzą, iżby do małżeństwa tego nie dopuścić... Pomyślcie jeno: królewic Jakób małżonkiem tej księżniczki — to pan połowy Litwy, najpotężniejszy pan w Koronie, to nie do zwalczenia potęga, to niewątpliwie przyszły król... Więc oni z piekłem sprzysiąc się gotowi, iżby do tego nie dopuścić...

Jonas wstał i zbliżywszy się do Kazimierza, rękę na ramieniu mu położył.

— Mości podsędku, — rzekł, patrząc na niego sztywnie, swemi rozumnemi a bystremi oczyma — gdybyście wy chcieli wywrzeć wpływ na siostrę... To rodzona siostra wasza... zowie się... zowie się...

— Szczenicka...

— Tak, Szczenicka... Otóż przez nią uczynić możecie wszystko; wiadomą bowiem jest rzeczą, jak to nietylko książę kurlandzki, ale i poseł francuski w Berlinie i nasz poseł, starosta malborski, Bieliński, zgodnie zapewniają, że margrabina swojej piastunce i powiernicy nic odmówić nie może...

— Ja się w to mieszać nie będę!... — przerwał sucho Kazimierz.

A w tymże momencie poczuł na sobie palący, błagalny wzrok Racheli. Podniósł na nią oczy i spotkał się z jej wejrzeniem długiem, powłóczystem, wymownem...

Oparła się łokciami na stole i twarz swą, bardzo bladą i smutku pełną, złożywszy na dłoniach, patrzyła w niego jak w tęczę, z wyrazem niemej prośby. Usta jej drgały...

Jonas zaś mówił dalej:

— Pomyślcie jednak... Źle czyni ten i nie osiągnie celu, który, chcąc ocalić czy to was, któremu biskupi grożą, czy to Betsala, któremu grożą wszyscy wrogowie króla, o was jeno lub o Betsalu myśli, was jeno albo jego zasłonić chce... Nie wskóra nic; bo w tej walce, którą wam i Betsalowi wydano, nie o was i nie o Betsala głównie idzie, lecz o samego króla. Oddawna starają się różni, a zwłaszcza francuskie stronnictwo, któreby chciało bohaterskiego króla od świętej ligi, od cesarza i papieża oderwać, a zbliżyć do Francji i Turcji, —

oddawna starają się o sianie niezgody pomiędzy Rzymem a Janem III. I uczynili tak, że na wszystko, czego domaga się król polski, obrońca chrześcijaństwa, Rzym odpowiada odmową, albo czyni na przekór. Nie chciał prekonizować na arcybiskupstwo gnieźnieńskie Wydżgi, a teraz odmawia zatwierdzenia Wierzbowskiemu; nie chciał dać kardynalskiego kapelusza biskupowi Forbinowi, którego król promował, a dał go, wbrew woli królewskiej, Radziejowskiemu... A to wszystko dlatego, że są tacy, którzy zdawna usiłują dwór królewski i stan rzeczy w Polsce przedstawić w Rzymie w najgorszem świetle... Do tego przydałaby się im bardzo głośna sprawa o ateizm, a wy, mości podsędku, daliście powody, więc łacno możecie paść ofiarą... jak oto padł ofiarą w Rzymie ksiądz hiszpański Molinos... Jeno, że z wami może być gorzej mości podsędku, albowiem ksiądz ów o herezję jest sądzony, wam zaś zarzucają *crimen laesae divinae Majestatis...*

— Cha, cha, cha!... zaśmiał się szyderczo Łyszczyński.

Pomimo uroku, jaki na niego wywierała obecność Racheli, zdało mu się, słuchając słów Jonasa, że to jest poprostu urządzona na niego zasadzka, iżby go nieistniejącemi niebezpieczeństwy zastraszyć i uczynić powolnem narzędziem.

— To zaiste śmieszne, — dodał — co mówicie, clarissime! U nas przecie inkwizycji hiszpańskiej dotychczas nie było... I tego się cale nie lękam!... Co zresztą za związek pomiędzy mną a Betsalem, pomiędzy temi sprawami a małżeństwem królewica z Radziwiłłówną?... To jest córka Bogusława Radziwiłła, który, jeśli piekło jest, na samem dnie jego, za niedolę

mojego żywota, smażyć się musi... Do tego, iżby ona królewicową a może i królową została, ja ręki nie przyłożę!...

Porwał się z miejsca i począł żywo chodzić po komnacie. Doktor królewski powstał także z miejsca i lekceważącem spojrzeniem zmrużonych oczu mierzył Kazimierza.

Rachel oparła się teraz plecami o ścianę i stała bez ruchu, patrząc przed siebie sztywnie, rozszerzonemi lękiem oczyma.

— Uczynicie jak wola — ozwał się po chwili Jonas; — nie chcę jednak iżbyście przypuszczać mogli, że to, co mówię, jest śmiesznym jeno postrachem. Przekonacie się sami niebawem... Wy powiadacie: między sprawą waszą i Betsalową a sprawą zamierzonego małżeństwa królewica z margrabiną brandenburską związku niema. A ja wam mówię: jest i wielki... Jeśli to małżeństwo spełni się, król odrazu odzyskuje potęgę i na Litwie i w Koronie; mocen jest zapewnić królewicowi dziedzictwo tronu i każdemu skuteczną opiekę dać. A gdy to małżeństwo za waszem pośrednictwem i za wpływem siostry waszej do skutku przyjdzie, cóż wam poradzą biskupi, skoro król wdzięczny zasłonić was zechce? Tak samo zmilkną wrogowie Betsala i moi, albowiem oni godzą w nas teraz, chcąc dosięgnąć króla, a on przez małżeństwo to stanie się nadto potężnym, iżby ktokolwiek z nim walkę toczyć śmiał... Oto jest związek... a teraz czyńcie, jak wola...

Rachela ruszyła się nagle i ku Kazimierzowi podbiegła. Pochwyciła go za rękę.

— Panie mój! — szepnęła głosem drżącym: wuj

Jonas nie kłamie nigdy... on prawdę rzekł... wysłuchajcie go!...

Łyszczyński wstrzymał się i spojrzał na nią zgóry. Wydała mu się w tym momencie mniej piękną i ponętną. Oszpeciło ją w jego oczach podejrzenie, że ona mogła być w rękach tych żydów mniej lub więcej świadomem narzędziem, aby go wciągnąć do niemiłej mu sprawy.

— Chwali się to córce, — rzekł szyderczo — że dla ocalenia rodzica nie szczędzi zabiegów... Ale podstęp, to zawsze rzecz brzydka. Rozumiem go i — usidlić się nie dam... Mówiłem z marszałkiem Lubomirskim... przyrzekł opiekę... To dość... to już może za wiele... W inne sprawy, a zwłaszcza w ową sprawę Radziwiłłowsko-Brandenburską wciągnąć się żadnym postrachem nie pozwolę!

Rachela wypuściła dłoń jego z uścisku i smagana jego zimnym, szyderczym tonem, blada jak trup, cofała się wstecz z półotwartemi usty, które się bolem krzywiły, z oczyma pełnemi zdumienia i lęku.

— Och... och!... — jęknęła zcicha, nie mogąc głosu wydobyć ze ściśnionej krtani.

Słaniała się.

Doktor Jonas podbiegł ku niej, omdlewającą usadowił w krześle i trzeźwić zaczął.

Ona zaś, wrychle oprzytomniawszy, porwała się z miejsca i zbliżając do Kazimierza, rzekła:

— Czyńcie, jak chcecie... Wyście mądrzejsi i wiecie lepiej... Nie proszę już o nic... jeno to powtarzam: wyjeżdżajcie co rychlej z Wilna!... Przysięgam wam, że wszystko com powiedziała — prawda!...

— Rachel! — niemal surowo przerwał Jonas: —

imć pan Łyszczyński uczyni, co za najlepsze uważa sam... Wie teraz, która najskuteczniejsza droga... niech wybiera!...

Mowa królewskiego doktora, ozdobna i uprzejma z pozoru, a w tonie ostra i wyniosła, dotknęła Kazimierza. Nie odpowiadając i nie patrząc na Rachelę, skłonił się i wyszedł.

Wybiegł szybko z sieni, lecz na ulicy szedł coraz wolniej, z głową opuszczoną na piersi, pełną zamętu i myśli czarnych. Czuł, że tonem swym szorstkim i porywczym zranił Rachelę, która go ostrzec i ratować chciała. Z jej strony z pewnością nie było podstępu, a on ją podejrzeniem boleśnie dotknął!... Z rozkoszą byłby się teraz wrócił, byłby jej rzekł, że jej ufa, wierzy, że jest wdzięczen, ale postać królewskiego doktora, ważącego każde wymawiane słowo, postać zimna a wytworna stała między nim a nią... Więc przemagał się i szedł naprzód, czując z boleścią, że każdy krok oddala go bardziej od tej istoty, która swą urodą zachwyciła go, a pociągnęła gorącością uczuć...

Przystanął; zapiekła go myśl okrutna: on jej może nie zobaczy już nigdy! Wszak powiedziała, że do dziadka nie wróci, że pod opieką Jonasa pojedzie do rodzica... do stolicy. Tem lepiej! Tam ją rychlej odnajdzie, i tam swobodniejsi będą, niż w tej mieścinie, pełnej ciemnego motłochu, który kamieniami ciska...

Obejrzał się — było pusto. Podniósł oczy w górę: po ściemnionem niebie gnały, pędzone wichrem, ciężkie, jesienne chmury, od których szedł zimny, wilgotny powiew. Wsłuchał się w ciszę: były w niej dziwne poświsty, jakby jęk i łkania, bardzo dalekie, a jednak

gwałtowne i nieustające. Ogarnęło go przygnębiające uczucie samotności i pustki.

Biegł teraz szybko do dworku.

I tam wnet zdecydował się. Skoro świt wyjedzie do Białegostoku, a stamtąd do Niewodnicy i Markowszczyzny, przyspieszy ślub Zochny z Jesmanem, a potem pojedzie do Warszawy... może nawet do Maruchny, do Berlina, przypatrzyć się tej walce, jaka tam teraz rozgrywała się pomiędzy zabiegami dynastycznemi króla a nienawiścią ku niemu możnowładców. — O! o! córka Bogusława, królową? Nigdy! Na tę samą myśl kipiał w nim gniew. Argumenty Lubomirskiego, wystawiające grozę tego, co gmin szlachecki zwał ze wstrętem *absolutum dominium*, były dla niego przystępniejsze. To, co mówił Jonas, to było opinją i dążeniem dworu i nie pociągało go. Byłoby mu może obojętniejsze, gdyby nie o córkę Bogusława chodziło. Ale po jej stronie on stanąć nie może, nawet za cenę miłości Racheli...

Wzdrygnął się na samo jej wspomnienie i czuł jak krew spienioną falą uderza mu do głowy.

Trzeba uciec, wyrwać się stąd... z tego dusznego ciasnego powietrza, w którem go lat tyle trzymała niemoc Halszki i własne niedołęstwo, szukając podniety do życia w zawikłanych dociekaniach i zbutwiałych księgach... To wszystko marność! — *Doctrina sapientium prudens est mendacium*. Oto ostatnie słowo jego nauki, która na jego głowę ściąga gromy... Więc wyrwać się stąd bądź co bądź i odetchnąć innem powietrzem!...

Gorączkowo zaczął czynić przygotowania do drogi.

VI.

Zochna, od kiedy do Markowszczyzny przybyła, czuła, że dla niej żadnego poratunku niema. Stryj jej Witold, człek dobrego serca, lecz skołatanego zdrowia, miłował się jeno w kwiatach, sadzeniu drzew i ogrodach. Temu umiłowaniu swemu i zarządowi obszernego mienia poświęcił cały swój żywot. Za młodu, w czasie wojen szwedzkich, na prawą nogę okaleczały, już się od owego czasu ani oręża, ani spraw publicznych nie imał, ani też myślał o szukaniu sobie towarzyszki życia. Żył samotny i, jak twierdził, szczęśliwy, zdala od wszelakiej wrzawy, nieświadom ludzkich zabiegów i podstępów. Goryczy też w sobie żadnej nie miał, a o wszystkich z wielką pobłażliwością sądził; jeden tylko żal miał w sercu niewygasły — do siostry. Gdy kto mu o niej wspomniał, spluwał z niechęcią, zwąc siostrę brandenburską dworką, co u niego największej równało się obeldze. Może też ów żal i niechęć do siostry sprawiły, że Witold nie szukał towarzyszki żywota i wogóle niewiast unikał. Może też i Kazimierzowi byłby opieki nad Zochną odmówił, gdyby nie to, że dla brata tego i jego mądrości miał respekt ogromny, a przytem współczucie gorące dla

jego z powodu Halszki niedoli. Przyjął tedy Zochnę uprzejmie, ale wnet imć pannie Barsobównie rzekł:

— Ja tam z białogłowami, choćby najgładszemi, gadać nie umiem. Rządźcie tedy waćpanny całym dworem, jako wam się podoba, jeno mi drzewek młodych w ogrodzie i sadzonek nie psowajcie. Aby wam zaś nie przeszkadzać, ja w małym dworku, pasieką zwanym, zamieszkam.

I dwór cały na rozkazy Zochny i jej piastunki ostawiwszy, wnet się wyniósł do owej pasieki, dość oddalonej, kędy Zochna nie mogła mieć przystępu. Z drugiej strony panna Barsobówna nawet mówić sobie nie dozwalała o Duchnowiczu, a ciągle narzekała na swoją ślepotę, że w czas nie dostrzegła i zapobiec nie zdołała temu, co mieniła być zgorszeniem i wstydem.

Od przyjazdu Zochny do Markowszczyzny minęły wszakże trzy czy cztery niedziele spokojnie. Aliści, dnia pewnego, przybył z Niewodnicy pan Stanisław Jesman z towarzyszami swymi: Janem Szółkowskim, Stefanem Grothusem, Piotrem Galimskim i najstarszym z nich imć panem miecznikiem brzeskim Piekarskim, który w tej drużynie rej wiódł:

— Oho! — mruknął pan Witold, ujrzawszy ową kohortę przez okno: — spokój przepadł!... W dom dwie białogłowy to i jarmark gotowy...

I bardzo niezadowolony wyszedł na spotkanie gości.

A pan Piekarski, zgoła nie zwłócząc, że swadę miał łatwą i gładką, wnet wystąpił z piękną oracją, w której submitując się panu Witoldowi, słynnemu na Litwę całą hodowcy kwiatów, wręcz oświadczył, iż przybywa, aby z tej woniejącej Markowszczyzny, niby

z raju ziemskiego, najcudniejszy kwiat, Zochnę Łyszczyńską, dla pana chorążyca Jesmana, grzecznego i statecznego kawalera, uszczknąć i zabrać...

Ze zdumieniem słuchał tej oracji pan Witold i odparł, jako on w tej sprawie, o której pierwszy raz słyszy, rozstrzygać nie może, pozostawiając to rodzicowi Zochny, który lada moment, jako zapowiedział, przybyć ma. To rzekłszy, inwitował przybyłych do wnętrza.

Ale pan miecznik, poprawiwszy pasa i kładąc prawicę na rękojeści miecza, wręcz deklarował, że pod dach nie wejdzie i pod nim nie spocznie, póki z ust gospodarza nie usłyszy, że to jest dach przyjacielski, a gospodarz, jako stryj rodzony panny, ze swej strony szczerym afektom chorążyca oporu stawiać nie będzie.

— Ani myślę!... — odparł nieco opryskliwie pan Witold: — Zochna ma rodzica, niech rozstrzyga... ja się w to mieszać nie będę... Małżeństwo — męczeństwo... powiadają. Przeto nie namawiam, ale i nie bronię...

Tedy pan miecznik, wspomniawszy jeszcze o predestynacji rodów Łyszczyńskich i Jesmanów, które się oba Korczakami szczycą, a dalej o dwóch psach, w godle herbowem widniejących, które od wieków z czaszy wyskakują, jakby się pożreć chciały, teraz zaś oto wzajemnym ujarzmione afektem, zgodnie żyć i z jednej misy jeść pragną, — to wszystko ozdobnie wypowiedziawszy, ku największej uciesze samego chorążyca, który głośno śmiał się, — wszedł wreszcie z kompanami do dworku.

Ciężki to był moment dla Zochny, ale wnet sobie tak rzekła, że z samym chorążycem się rozmówi,

a nie mogąc ani u rodzica, ani u stryja, ani też u piastunki rady i politowania znaleźć, jego samego błagać będzie, iżby dobrowolnie jej się wyrzekł i ani siebie ani jej na niedolę nie wiódł.

Tak też uczyniła, a wysłuchawszy cierpliwie, jednej jeszcze oracji pana miecznika, gdy ten, przez gospodarza inwitowany, wespół z towarzyszami do stołu zasiadł i przy kielichu różne krotofile prawić począł, chorążyca na bok odciągnęła i rzekła mu otwarcie:

— W jednem słowie zawrę całą mą prośbę: odstąpcie ode mnie, chorążycu, jeśli jeno litość macie...

Jesman wielkie swe, jasno-błękitne oczy jeszcze bardziej wytrzeszczył.

— Jakto? odstąpić?... — zagadnął — przecz-że mam to czynić, gdy mi rodzic twój cię przyrzekł, a ja cię miłuję...

— Nie miłujesz mnie! — przerwała żywo Zochna — a gdybyś miłował, to tem bardziej nie chciałbyś mojej niedoli...

— He... he... he!... — zaśmiał się chorążyc. — Cóż to za niedola? W tej Niewodnicy, którąśmy oto z woli rodzica twego, a wedle prawa zajęli, nijakiej niedoli nie będzie... Choćby chciała przyjść, to wygna ją mieszek rodzica twego i moje okrutne miłowanie...

To mówiąc, chciał objąć Zochnę ramieniem.

Ona żachnęła się i spojrzała nań bystro.

Mowa jego była inna, niż zwykle; ruchy śmielsze, twarz blada zazwyczaj i zwiędła, była teraz czerwonemi znaczona piętnami; oczy bez wyrazu miały dziwny, szklisty połysk.

— Tyś pijan!... — rzekła ze wstrętem.

— He, he, he!... — zaśmiał się chorążyc. — A choć-

by — to co?... «Pora przestać być niezdarą...» — rzekł mi pan miecznik, i sam pił i mnie dał pić, niech mu Pan Bóg da zdrowie, albowiem teraz ja inaczej na świat patrzę... i ciebie miłuję moja ty Zochno!...

I znowu zbliżał się, chcąc ją objąć.

Ale ona silnie chwyciła go za ramię.

— Stachu, — rzekła szeptem — tyś mi był brat... chowaliśmy się niemal razem... miej litość nade mną... oprzytomnij!... Nie wiem, co rodzic rzekł, ale to wiedz, że chyba poniewoli mnie weźmiesz... A na co ci to, gdy ja miłuję innego!...

Krew uderzyła Jesmanowi do twarzy, która stała się ceglastą. Wyrwał swą rękę z uścisku Zochny i krzyknął:

— Wiem! wiem!... Duchnowicza miłujesz!... Rodzic mi twój to odkrył, i już ja dlatego od ciebie nie odstąpię... bo to jest chłystek, a twoje miłowanie to srom!...

Pan miecznik Piekarski tak głośno prawił, a wokoło stołu, kędy gęsto krążyły kielichy, taka była wrzawa, że słowa chorążyca zginęły w tym zgiełku.

A Zochna widząc, że ją ostatnia nadzieja zawodzi, że nawet ów chorążyc, na którego słabość liczyła, teraz pod wpływem trunku i namowy, w groźnego przeciwnika się zmienił, czuła, że jej serce w piersi zamiera... Oparła się plecami o ścianę, przymknęła oczy i zdawała się omdlewać. Z pod powiek poczęły sączyć się grube łzy.

Chorążyc, zatrwożony, oprzytomniał nieco, a że serce miał tkliwe, tedy zrobiło mu się żal dziewczęcia. Przystąpił do Zochny i po bratersku ujął ją w ramiona.

— Nie płacz, dziecko, — rzekł — bo mi się dusza rwie...

Ona zaś, posłyszawszy głos miękki, dobry, rozrzewniła się zupełnie i, kryjąc twarz na piersiach Jesmana, szlochać poczęła.

— Stachu... Stachu!... — jąkała — ulituj się... pomoc daj...

Wtem zadrżała, posłyszawszy u progu głos dobrze znany.

Do komnaty wszedł znagła Kazimierz Łyszczyński i rzekł:

— Witajcie!

Wzrok jego padł natychmiast na chorążyca i Zochnę, stojących opodal w czułym uścisku.

Zaśmiał się sucho, szydersko.

— Vivat chorążyc! — zawołał: — on czasu nie traci... i dobrze czyni, bo go mamy niewiele...

Potem witał się ze wszystkimi, ale na Zochnę, która drżąca i pomieszana przyszła do kolan mu się pochylić, nawet nie spojrzał.

Do Witolda zaś rzekł:

— Każ panie bracie, przygotować zaprzęgi... Dziś jeszcze, za godzin dwie, musimy w Niewodnicy być, kędy do ślubu Zochny wszystko przygotowane...

Ze zdumieniem spozierano na siebie.

— Jakto? tak nagle? bez zapowiedzi? — pytano.

A on się śmiał.

— Nie lękajcie się — odparł — załatwiłem wszystko.. W Białymstoku zapowiedzi wyszły... Stamtąd wracam i przywiozłem do Niewodnicy księdza Piotra Burbę, który, jako zdawna naszego domu przyjaciel, ślub da...

— Ależ — zauważył Witold — ksiądz Piotr ledwo żywy i pamięć z wieku utracił... Dziewięćdziesiąt lat...

— Cha, cha, cha!... — przerwał Kazimierz — on przecie sam ślubu brać nie będzie, to mu pamięć niepotrzebna...

Ale Witold odciągnął go na stronę.

— Mój panie bracie — rzekł — przeczuwam, że się coś niedobrego święci... Poco ten pośpiech?...

— Tak musi być! — stanowczo odparł Kazimierz. — Tak postanowiłem. Ja muszę wnet do stolicy, a może i dalej... Przedtem chcę Zochny los zabezpieczyć...

Witold głową chwiał, nieprzekonany.

— Przecież — wtrącił — ten Jesman to pono małżonki twej krewny.

— Krewny Szółkowskich, nie nasz... — przerwał porywczo Kazimierz. — Zresztą od krewieństwa jest dyspensa... to już księża rzecz...

— Ja się tam w to nie mieszam... — dorzucił Witold — ale tak mi się zda...

— Niech się waćpanu nie zdaje nic!... — ostro znów przerwał Kazimierz, który brata, jakkolwiek starszego traktował zgóry. — Możesz udziału nie brać... nie zmuszam... Moje tam i księdza Piotra błogosławieństwo wystarczy...

Witold głowę schował w ramiona i mocno chromając, wsparty na lasce, odszedł nie mówiąc nic. Usiadł w kącie komnaty i zawarł się w ponurem milczeniu.

A tymczasem przy biesiadnym stole, kędy krążyły kielichy coraz było gwarniej. Pan Piekarski coraz uciesznicjsze krotofile prawił, a zaś pan Szółkowski, ściskając

Grothusa, opowiadał, jako on siostrę jego z domu rodziców porwał.

— Tyś mi w tem dopomógł, — mówił do Grothusa — i ja cię za to miłuję, boś ty mój brat...

Objął go za szyję a ściskał.

Grothus zaś, który po piątym kielichu, mocno się rozrzewniał, powtarzał wruszony:

— To nie ja, bracie... to nie ja... to pan Łyszczyński...

A na to pan miecznik Piekarski głośno kichnął i począł bardzo się śmiać, mówiąc:

— Szkoda, że pan Łyszczyński podsędkiem chciał być, a biskupem nie został... Byłaby nam z nim wygoda... I ślub byłby łatwy, a rozwód jeszcze ławiejszy...

— Nie drwij waść z sa...kramentu mał... małżeństwa, — ozwał się pan Galimski, któremu się język plątał i głowa wciąż opadała na piersi, a on ją z trudem dźwigał.

— Nie drwię! — zawołał Piekarski, powstając na chwiejnych nogach — nie drwię, bracie... Lubię bardzo małżeństwo, ale cudze!... A na dowód, spełniam oto ten ostatni... nie, przedostatni kielich — na cześć państwa młodych... chorążyca Jesmana i cnej latorośli Łyszczyńskich rodu... imć panny podsędkówny...

Powstali wszyscy i krzyczeli:

— Vivant!

Wśród tej wrzawy Zochna oprzytomniała nagle. Wyprostowała się całą postacią i szła sztywnie ku rodzicowi, który stał obok miecznika. Na jej zbladłej twarzy był teraz wyraz zaciętości i uporu. Oczy błyszczały niezwykłym blaskiem. Kazimierz, spojrzawszy na nią, omal nie krzyknął, tak mu się w tym mo-

mencie do matki wydała podobną, gdy ta była w rozkwicie młodości. Wydała mu się bardzo piękną i bardzo w swym uporze groźną.

Podbiegł ku niej żywo i za rękę pochwycił.

— Co chcesz czynić? — zagadnął zcicha.

Zochna śmiało głowę podniosła.

— Jeżeli — odparła u was, ojcze, łaski i politowania nie znajdę, to naówczas głośno wołać będę, że to jest okrutny przymus i gwałt, który mi zadajecie!..

Łyszczyński ścisnął dłoń Zochny, jak w kleszczach, że syknęła z bolu.

— Milcz! — wyszeptał przez zaciśnięte zęby — milcz, jeżeli nie chcesz, aby się stało nieszczęście!...

Wrzała w nim krew; nie posiadał się już z gniewu na widok tego zwykle cichego dziewczęcia, które swoją wolę ośmielało się przeciw woli jego stawiać.

— Nie znam gorszego nieszczęścia, niż to, które mi gotujecie... — odparła Zochna.

A wtedy Łyszczyński jakby wściekł się. Zbliżył zsiniałą swą twarz do jej twarzy i syczał raczej, niż mówił:

— Nie wyzywaj mnie! Zbyt długo znoszę hańbę obecności twej w domu moim... Chciej mnie się oprzeć, a wyprę się ciebie i wyrzeknę!... Powiem głośno, żeś ty córka nie moja... powiem głośno, żeś ty jest hańbą swej matki!...

Stłumiony krzyk, do jęku podobny, wyrwał się z piersi Zochny. Przerażonemi, szeroko otwartemi oczyma patrzyła w wykrzywione gniewem oblicze rodzica; wpół otwartemi usty chwytała powietrze, niezdolna słowa przemówić...

Jej matka! biedna, ukochana matka!... ta wie-

czyście modląca się męczennica, stanęła teraz przed jej oczyma. Zdawała się ją błagać o uległość, o posłuszeństwo... Walczyć z tym, którego rodzicem zwała, było niepodobieństwem. On dla nikogo i nigdy względu nie miał. O jej uszy, gdy małem dzieckiem była u Jesmanów, a i później także, obijały się nieraz skargi na jego gwałtowne porywy. Wiedziała dobrze, iż on złamał życie jej matki i do niepamięci ją przywiódł. Czegóż ona, Zochna, dziecko nielubione, od niego spodziewać się mogła? czego dokazać zdoła uporem? Wywoła jeno gniew i dziką zemstę, która najbardziej dotknie tę biedną niemocną, tę ukochaną jej matuchnę... O, raczej wszystko niż to!...

Pochyliła głowę na piersi, drżąc całym ciałem, a potem nagle, obezwładniona, osunęła się do stóp rodzica.

Słów krótkiej rozmowy, wśród powszechnej wrzawy, nie słyszał nikt, a teraz, widząc Zochnę u stóp rodzica, każdy myślał, że ona go o błogosławieństwo prosi i za doznane dobrodziejstwa dziękuje. Pan Galimski, już zgoła rozrzewniony, głośno chlipał, Grothus z Szółkowskim ściskali się, a pan Piekarski, po którego czerwonej twarzy pot kroplami ściekał, rzekł:

— Każdy rodzic to trochę jak biskup... do nóg mu padają, łapy liżą... a mnie to nawet w gębę nikt nie pocałuje...

— Ja cię po...całuję... mieczniku! zawołał, szlochając, pan Galimski i szedł ku niemu chwiejnie z otwartemi ramiony.

— *Vade retro!* bracie... — odparł Piekarski — zatopisz mnie łzami...

I odtrącił Galimskiego tak silnie, że ten aż pod ścianę się zatoczył.

Inni zaczęli się śmiać, a Kazimierz, Zochnę z ziemi dźwignąwszy, zawołał znagła:

— A teraz, mości panowie, czas w drogę, do Niewodnicy! Ksiądz Burba czeka...

Chorążyc zbliżył się do Zochny, która z głową opuszczoną na piersi, milczała, Kazimierz zaś podszedł do brata.

— Jedziesz z nami? — spytał krótko.

Witold zwolna podniósł na niego wzrok i wpatrzył się przenikliwie. Głową chwiał.

— Nie pojadę!... — odparł stanowczo. — A ty, Kazimierzu, opamiętaj się... patrz końca... *Respice finem!...*

Kazimierz ręką machnął i odwrócił się.

A za moment jechali wszyscy, gromadą, ku Niewodnicy kościelnej. Pan Piekarski, jadąc, ucieszne rymy układał, pan Galimski śmiał się przez łzy, a Grothus i Szółkowski śpiewali:

Pocóżeście przyjechali, moi mili goście?
Jeśli się wam spodobałam, ojca, matkę proście...
A ja sobie pójdę za piec, niby będę płakać,
A wy na to nie zważajcie,
Ino targu dobijajcie,
A będziemy skakać...

Zochna nie słyszała ani tych śpiewów, ani słów panny Barsobówny, która, siedząc obok niej w kolasie, tuliła ją ku sobie i pocieszyć usiłowała. W uszach brzmiał jej nieustannie syczący głos rodzica, który odrazu złamał jej wolę i zmiażdżył. Głowę napełnił szum; serce to biło gwałtownie, to zdawało się ustawać. Przy-

tomność odbiegała; było jej tak, jak gdyby przywalił ją i przytłoczył ciężar olbrzymi, który skrępował swobodę myśli i ruchów. Czasem jeno w oddali zamajaczyła przed nią, jak za mgłą, długoletnią niemocą zbolała twarz matki... A wówczas pierś Zochny wzbierała szlochaniem, blade zaś usta szeptały:

— Matko... Matuchno!...

Co się z nią działo, nie mogła zdać sobie sprawy. Wszystko to było tak nagłe, niespodziewane a okrutne! Zatrzymały się pojazdy i jej wysiąść kazano. Wysiadła, wsparta na ramieniu panny Barsobówny, i szła bezwiednie, dokąd ją prowadzono.

Wnętrze drewnianego kościółka w Niewodnicy, stojącego nieco opodal od wsi samej, było puste. Zaledwie kilku dworskich sług i pachołków. Rzęsiste światło, bijące od ołtarza, poraziło jej oczy; zamknęła je i osunęła się na klęczki. Jakiś śpiew zabrzmiał jej w uszach... śpiew przeciągły, uroczysty. Trwało to moment, a potem kazano jej wstać, dźwignięto przemocą. Zochna otworzyła powieki i ujrzała przed sobą postać zgrzybiałego starca. Twarz jego niby twarz trupa z zapadłemi w głąb i zasnutemi mgłą oczyma, z sinemi, wklęsłemi wargami, które, drgając, wymawiały, a raczej szemrały jakieś niezrozumiałe wyrazy. Czasem postać ta pochylała się nad Zochną i zadawała jakieś pytania. Ona nie odpowiadała, ale odpowiadał za nią głos jej rodzica, tym syczącym szeptem, który ją dreszczem przejmował...

Naraz pociemniało jej w oczach; nie słyszała i nie widziała już nic...

Owionęło ją nagle chłodne powietrze jesiennego wieczoru. Pojazd mknął teraz co koń wyskoczy. Obok

niej siedział chorążyc i tulił ją w ramionach, powtarzając:

— Zochno! Zochno!... oprzytomnij... Przecz-że mnie nienawidzisz?... Ja cię miłuję!... będę dobry dla ciebie... będę dobry!...

Zochna wzdrygnęła się całem ciałem i odtrąciła go od siebie.

— Precz!... puść mnie!... — jęknęła.

Ale wtem stała się rzecz zgoła nieprzewidziana. Konie u pojazdu spłoszyły się, skoczyły w bok i stanęły. Z zarośli, wśród których wiła się droga, wiodąca z kościoła do dworu, wyskoczyło kilku ludzi i powstrzymało konie. W gęstym zmroku, który zapadł, twarzy ich nie można było rozeznać, ale wśród wrzawy, jaka powstała, zdało się oprzytomniałej nagle Zochnie, że słyszy głos chorążego Jesmana:

— To niegodne coś uczynił, mości podsędku!...

— Napad na drodze! to gwałt! rozbój! *crimen!...*— wołał ochrypły głos Łyszczyńskiego.

I wszystko zginęło w okrutnym tumulcie. Ozwał się szczęk broni i krzyki:

— Bij! zabij!...

Chorążyc wyskoczył z kolasy, a Zochna została sama, przerażona, drżąca, ale już zupełnie przytomna i pokrzepiona myślą, że Bóg zesłał jej niespodziewaną pomoc.

Stanęła w pojeździe i usiłowała wzrokiem przebić ciemności. — Gdyby tak teraz umknąć? Niestety, nie sposób! Wąska drożyna, w którą wjechano, cała natłoczona. Kłębiły się tam postacie, walczące z sobą nieledwie na pięście. Zresztą kędy uciekać i gdzie po-

ratowania szukać, chyba u tych, którzy z odsieczą przybyli? Żebyż im tylko Bóg dał zwycięstwo!

Ale oto nagle stała się ogromna jasność. Ze wsi i dworu, na odgłos niespodziewanej w zaroślach walki, zbiegali się ludzie i pachołkowie z zażegniętemi pochodniami. Czerwone, jaskrawe płomienie szły wysoko w górę, kołysane i szarpane wiatrem, tłumione chwilami chmurą czarnego dymu, który wił się wśród ogołoconych z liści gałęzi.

Teraz Zochna dokładniej widzieć mogła. Cały oddział zbrojny, dowodzony przez chorążego Jesmana, wtłoczył się w zarośla i zatarasował drogę. Przeciw niemu wybiegł Łyszczyński z weselną drużyną i usiłował wyprzeć go na szersze pole. Ale to szło niesporo; silniejszy oddział Jesmana już docierał niemal do pojazdu Zochny.

— Do mnie na pomoc! — krzyknęła ona.

Ale owe posiłki, nadbiegające od dworu, nagle przeważyły szalę.

— Brać! wiązać! — krzyczał Łyszczyński.

Pachołkowie dworscy, nie wiedząc co się stało, lecz posłuszni rozkazowi pana, poczęli napastników naciskać z tyłu. Pierwszy pan chorąży Jesman, człek już niemłody i sterany uległ przemocy. Rozbrojony i ujęty, a trzymany silną dłonią pachołków, pienił się jeno z gniewu i wyzywał srodze, złorzecząc Łyszczyńskiemu i synowi, który stał opodal, nie biorąc udziału w walce. Przeciw rodzicowi snadź nie chciał podnieść ręki, i niedaleko pojazdu Zochny stał, jakby na straży, gotów ją bronić przeciw wszelakiej napaści.

Naraz Zochna krzyknęła znowu:

— Do mnie! na pomoc!...

Serce jej uderzyło gwałtownie. Ku niej z mieczem podniesionem w prawicy biegł Duchnowicz. Ujrzała twarz jego w blaskach pochodni, okopconą, zmienioną do niepoznania.

— Zochna! Zochna! — wołał i parł się naprzód.

Naprzeciw niemu wybiegł teraz chorążyc. Gniewem dyszał i zemstą. Dawna jego ku Duchnowiczowi niechęć zmieniła się w nienawiść. Przedtem zazdrościł mu urody i bystrości; teraz czuł, że ten prosty płatnerz, na którego on patrzył zgóry, odbiera mu to, co mu w tej chwili najbardziej pożądanem było: serce Zochny. Natarł na niego ze wściekłością. A Duchnowicz bronił się miękko, słabo. Był już ranny w tumulcie i upływem krwi zwątlony. Miecz chorążyca całą siłą ugodził go w prawe ramię, które opadło bezsilne, a on z jękiem zwalił się na ziemię...

Krzyk rozpaczy wyrwał się z piersi Zochny. Zapominając o wszystkiem, wyskoczyła z pojazdu i w jednym momencie była przy Duchnowiczu, przypadła ku niemu na klęczki i osłoniła swoją postacią.

Walka ustała. Łyszczyński podbiegł ku Zochnie i omdlałą z przerażenia, krwią Duchnowicza zbroczoną, podniósł z ziemi i do pojazdu uniósł.

— Do dworu! — rozkazał — co koń wyskoczy!...

A do panny Barsobówny, ledwo żywej ze strachu, która ręce łamiąc, nadbiegła i tuliła Zochnę, dodał:

— Pilnuj mi waćpanna tej szalonej dziewki... Pilnuj lepiej, niż dotychczas...

— Rany Boskie!... — jęknęła piastunka. — Zalim wiedzieć mogła...

— Ale teraz już wiesz... — przerwał gniewnie

Łyszczyński. — Wokoło dworu straż dzień i noc... a waćpanna na krok nie odstępuj... Ja wnet tam przybędę i ostatnie dyspozycje wydam...

Pojazd ruszył naprzód, nie wstrzymywany już przez nikogo. A pan Łyszczyński zwrócił się ku tym, którzy cucili rannego Duchnowicza.

Nic mu nie będzie, dalipan! — zapewniał miecznik Piekarski. — Chorążyc dobrze płatnął... ciało do kości przerżnął i kęs mięsa ściął, ale kości nie naruszył, więc łyczek zdrów będzie... Ja się na tem znam...

To mówiąc, tamował krew i ranne ramię chustą obwiązał.

— Dobrze ci tak, płatnerzu — dodał: — dobrze ci tak, boś nam djablo rozpłatał zabawę!

— Na wóz z nim! — rozkazał pachołkom swoim Łyszczyński — i jechać do Wilna... ja tam przybędę, nie zwłócząc. Umieścić go w moim dworku i doktora Boima wezwać... niech rany opatrzy...

— Nie uczyni on tego lepiej odemnie, nie! — wtrącił pan miecznik, kończąc obwiązywanie ramienia. — Trochę chleba, pajęczyny i basta! Ja to znam!

Ale Łyszczyński zwrócił się już ku chorążemu. Ten stał opodal, oparty o drzewo, bardzo chmurny.

— Nie spodziewałem się tego po was, mości chorąży... — zaczął Łyszczyński — taki napad na mnie z mieszczańską hałastrą...

— Z mieszczańską, albo nie z mieszczańską, a zgoła nie z hałastrą, mości podsędku! — ozwał się nagle ostry, szyderczy głos stolnika Brzoski.

Żachnął się Kazimierz i cofnął ze wstrętem, ujrzawszy w świetle pochodni zwiędłą, pomarszczoną, a złośliwie wykrzywioną twarz swego zaciętego wroga.

— Ha, ha! — zawołał — zali mogło być inaczej?.. Gdzie jest napad na mnie, nie mogło braknąć pana stolnika...

— Żaden to napad — zaprotestował Brzoska — jam jest na własnym gruncie... wyście mi Niewodnicę zagrabili... Ale ja was prawem przekonam... Do grodu manifestację wniosłem...

— I do samego djabła idź waćpan, to ci nie pomoże nic... Oddaj mi waść coś mi dłużen od lat tylu, a ja ci Niewodnicę zwrócę...

— Do djabła nie pójdę... — przerwał pan Brzoska — albowiem on waćpana zdawna miłuje i na waszą korzyść sprawęby osądził. Pana Boga raczej na pomoc wezwę przeciw bluźniercy, ateuszowi i gwałt czyniącemu...

— Milcz, waćpan! — krzyknął Łyszczyński i rwał się ku stolnikowi.

Ale teraz zastąpił mu drogę chorąży Jesman.

— Mości Łyszczyński, — rzekł poważnie — szaleństwo was opętało i zmysłów pozbawia... Jam tu przybył nie żeby gwałt czynić, ale żeby gwałtowi zapobiec... Dowiedziawszy się od Duchnowicza o zamiarach waszych, iżby Zochnę za syna mego wydać przemocą, zerwałem się, nie chcąc do takiej obrazy boskiej dopuścić... Przecież to tak bliskie krewieństwo...

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Kazimierz. — Kto tam wie, kto komu krewny... ja nie biskup, iżbym tego dochodził...

— Wiem ja to lepiej od biskupa... — przerwał chorąży — i ja ci mówię: ślub Zochny nieważny... przybyłem, niestety, za późno, iżby zgorszeniu zapobiec... ale do dalszych gwałtów nie dopuszczę... Syn mój...

Nie dokończył, albowiem w tymże momencie chorążyc do nóg mu przypadł i objął je ramieniem.

— Ojcze!.. — mówił błagalnie — ja Zochnę miłuję... ja jej odstąpić nie mogę!...

Stary chorąży z politowaniem na niego spoglądał.

— Wstań! — rzekł. — Radowałbym się, gdyby w tobie jakikolwiek sentyment obudzić się mógł... Jeżeli Zochnę miłujesz, wracaj ze mną do Wilna... pójdziem do biskupa... może się znajdzie jakowa dyspenza...

Chorążyc wstał i bardzo korny wobec rodzica, powtarzał jękliwie:

— Pójdę do biskupa... niech dyspensę da!..

A Łyszczyński śmiał się głośno, pogardliwym wzrokiem chorążyca mierząc.

— Piękne to są zasady, — szydził — od których zawsze jakowaś znajduje się dyspensa...

— Słysz... słysz! — szepnął stolnik do stojącego obok kompana swego, instygatora litewskiego, Kurowicza, — słysz co on prawi... a zapamiętaj to sobie, iżbyś świadczyć mógł...

Ruszył się chorąży Jesman i rzekł do Łyszczyńskiego:

— Pomnij waść, że cię kara nie minie... opamiętaj się póki czas...

Podniósł głowę do góry i wyszedł na drogę, a za nim pokorny, potulny syn jego... Ale, mijając to miejsce, kędy oprzytomniałego już Duchnowicza dźwignięto z ziemi i zwolna prowadzono, chorążyc wyprostował się nagle. Wyraz kornej nieśmiałości zniknął z jego twarzy; oczy zabłysły nienawiścią:

— Patrz-no ty, — mruknął — iżbym ci na drugi raz kości nie zgruchotał... ty, mieszczanku podły!

— Stachu! — zawołał groźnie chorąży. Ale w tym na pozór groźnym głosie brzmiała niezwykła jakby czułość, czy duma, że syn nie był przecie zupełnym niezdarą i umiał swą godność zachować.

Odczuł to wnet chorążyc i podbiegłszy, w rękę rodzica cmoknął.

— Ale dyspensa, ojcze, będzie? — szepnął.

Chorąży się uśmiechnął.

— Pójdziem do biskupa... — odrzekł.

Za moment dosiedli koni i popędzili w drogę.

Duchnowicz wyrywał się teraz wiodącym go pachołkom.

Z panem Łyszczyńskim chcę mówić! — wołał.

Usłyszawszy to, Kazimierz, sam podszedł ku niemu.

— Co mi rzec możesz? — spytał. — Iżeś na swoją i na moją głowę nieszczęście zwalił!...

— Wyznaję... — potwierdził kornie młody płatnerz. — I mniej mnie bolą rany, niż to przeświadczenie, iżem w złości a zapamiętaniu podszeptom niegodnym uległ!... Przebaczcie, panie! Miejcie litość nad córką waszą i nie zniewalajcie jej!... Wszak ona dość już nieszczęśliwa!...

— Jeszcze nie tak bardzo, iżby potrzebowała twojej opieki!... — odburknął chmurnie Łyszczyński.

Ale Duchnowicz począł mówić szybko, gorączkowo. Chwycił go taki dreszcz, że chwilami głos zapierał mu w piersi.

— Panie podsędku! — jąkał, dygocąc — panie podsędku!... Miejcie nad nią i nad sobą litość... Ja teraz

przejrzałem... mścić się nie chcę... nie mogę! Wszystkiego się raczej wyrzeknę...

— Nie rozumiem... — wtrącił Kazimierz — gorączka cię zdjęła i mówisz bezładnie... Twojej zemsty ja się nie zlęknę!...

Szarpnął się gwałtownie Duchnowicz i zbliżywszy się jeszcze bardziej, mówił dalej szeptem:

— Na was jest zmowa... nie wracajcie do Wilna... schwytać was chcą i uwięzić... Ksiądz biskup...

— Imć pan Duchnowicz — przerwał nagle stolnik Brzoska, zbliżając się — zajęcze snadź ma serce... Tak się krwi własnej przeląkł, że od rzeczy gada...

Łyszczyński pogardliwym wzrokiem zmierzył stolnika i odwrócił się.

A Brzoska począł się śmiać.

— Będziesz ty niebawem pokorny, — mruknął — gdy na stosie cię przypieką... A ja Niewodnicę swoją odbiorę...

— Żegnajcie, mości podsędku! — dodał głośno: — obaczym się przed sądem...

Ku Duchnowiczowi poskoczył.

— A ty... — mruknął przez zaciśnięte zęby — miej się na baczności, bo za zdradę takim jak ty kurom zmokłym, łba ukręcić nie trudno!...

Groźby tej nie słyszał już Duchnowicz. Dygotał jak w zimnicy i zgoła nieprzytomny był. Słaniającego się pachołkowie ujęli pod ramiona i ułożyli na wozie, który wnet ruszył ku Wilnu.

Wkrótce też głucha zaległa cisza dokoła; wśród cieniów nocy przebłyskiwała jeno w górze, na niebie łuna, bijąca od oświetlonych okien niewodnickiego dworu, dokąd dążył Łyszczyński z towarzyszami swymi.

Kazimierz, ponury i milczący, zatopiony był w myślach, które go gryzły. Przestroga Duchnowicza ciągle brzmiała mu w uszach; niespodziewany napad chorążego, jego groźne słowa, zjawienie się stolnika Brzoski, wszystko to razem wprawiło go w stan niezwykłego rozdrażnienia i było zapowiedzią nadciągającej burzy, którą mu zewsząd grożono. Wszak to samo mówił mu Jonas i potwierdzała Rachel... Aż skoczył na jej wspomnienie. Co się z nią stało? zali ujechała z doktorem Jonasem do stolicy, czy też wróciła do starego Betsala?... W tym momencie zajaśniała mu znowu jej postać w całym blasku swej urody... słyszał jej głos, pieszczoty pełen, czuł na sobie spojrzenie jej palących oczu... I nagle wszystko wokół straciło dla niego znaczenie. On wyrwie się stąd corychlej, wróci do Wilna, odszuka Rachelę, a gdyby jej już tam nie było, pójdzie jej śladem...

Panna Barsobówna wybiegła na jego spotkanie i poczęła mówić z przerażeniem, jako Zochna leży nieprzytomna w malignie.

Ale on z roztargnieniem słuchał.

— Zaraz do Białegostoku jadę, — rzekł — doktora stamtąd przyślę... a wy czuwajcie...

Zwrócił się do kompanów swoich.

— Wybaczcie — dodał: — ja muszę wnet do Wilna... Wam zaś, mości panowie, zlecam tymczasem pieczę nad Zochną i domem, iżby tu jaki Duchnowicz albo Brzoska nie wtargnął.

— Bądźcie bez troski — zapewnił miecznik Piekarski, który jednak humor całkowicie stracił, albowiem głodny był i w gardle mu schło.

Tedy uradował się mocno, gdy pan Łyszczyński. żegnając się rzekł:

— Panna Barsobówna mieć będzie staranie, iżby waćpanom na niczem nie zbywało... Na dziś — dodał z bladym uśmiechem — wystarczy przygotowana uczta weselna, gdyby zaś jutro czego zabrakło, Markowszczyzna stąd niedaleko...

I wziąwszy dwóch pacholików, odjechał.

A pan miecznik, zgoła już kontent, zasiadł wnet do biesiadnego stołu, długi moment jadł i pił w milczeniu, jeno pod nosem mrucząc, a potem śmiać się począł i krotofilną mową a rymami zabawiać Szółkowskiego i Grothusa. Wreszcie piskliwym głosem śpiewać począł:

W dzień się krzepię, w nocy suszę
I mam przeto dzielną duszę;
Natkam brzuch swój aż po szyję.
Suchom jadł... więc mokro piję...

Tymczasem Brzoska z Kurowiczem przedzierali się pieszo przez zarośla ku sąsiedniej Niewodnicy koryckiej.

— Tu — mówił pan stolnik — jest wygodna gospoda, kędy przenocujemy a naradzimy się, co dalej czynić. Tu też sobie świadków niektórych owego niecnego ślubu przysposobić należy.

— Należy... — potwierdził pan instygator litewski, który ostatnie słowa swego interlokutora zwykł był powtarzać, albowiem wszelakich dyskusyj unikał. Pan Kurowicz, biegły w prawie i orator, gdy mu *publice* mówić wypadało, niezmiernie oszczędny był w słowach z najbliższymi nawet przyjaciółmi. Zapytany o zdanie,

odpowiadał najczęściej sentencją łacińską, a tak opinję własną powagą prawa lub uczonego autora pokrywał.

Szedł drobnym kroczkiem za panem Brzoską, który z tego, co zaszło, bardzo kontent, nieustannie mówił, przewidując rychłe Łyszczyńskiego pognębienie.

— Nie ujdzie nam teraz — wołał: — nie ujdzie!

Pan instygator, który w ciemnościach co krok prawie się potykał, schylony ku ziemi, wielkim nosem pociągnął, co u niego znużenia było oznaką — i ani potwierdzał, ani zaprzeczał.

— Jak sądzisz waćpan — rzekł stolnik: — nie może ujść?... mamy fakta?...

— *Facta haec sunt... facta perfecta...* — mruknął przez nos Kurowicz.

— Ułożyłem już manifest — ciągnął dalej stolnik — i to waści ku lepszemu rozważeniu jutro przeczytam... Powiadam tam w nim... Zaraz...

Wstrzymał się stolnik tak nagle, że idący za nim z pochyloną głową Kurowicz niespodzianie natknął się na niego, popchnął silnie, a sam w nos się grzmotnął.

— Aj! aj! — stęknął.

— Uważaj waćpan! — krzyknął Brzoska, i ciągnął dalej przykładając palec do czoła:

— Powiadam tak w manifeście, że on, Łyszczyński jest *monstrum naturae...*

— *Monstrum vel portentum naturae...* — uzupełnił Kurowicz.

— Dobrze! *Monstrum vel portentum...* to silniej! A potem: *Homo inquinatissimus, ventris mancipium...*

— *Ventris mancipium, perditorum princeps!* — dodał instygator.

— Wybornie! *perditorum princeps...* A dalej: bezczelnego zuchwalstwa przykład...

— *Effrontis audaciae exemplum* — tłumaczył Kurowicz — *et ipsius daemonis convictor...*

— Jak? jak? — samego szatana towarzysz?... dobrze! Alem ja rzekł jeszcze: jajko padalca...

— Kokoszy podłożone — uzupełnił znów instygator, który snadź w takich zwrotach lubował się: — *ovum aspidis gallinae suppositum...*

Szli moment dalej. Ale Brzoska wnet wstrzymał się znowu i zwracając się twarzą ku instygatorowi zagadnął:

— A waść jak zakończysz oskarżenie swoje?

Kurowicz podniósł na niego małe, zmrużone oczy, nozdrzami wielkiego a suchego nosa poruszał, lecz nie rzekł nic.

— Mówże waćpan! — krzyknął Brzoska. — Wszakże to *crimen laesae maiestatis divinae!* On jest winien więcej, niż ojcobóstwa...

— *Reus plus quam parricidii* — przełożył Kurowicz.

— Winien zdrady i rokoszu!... — wołał stolnik, którego bierność instygatora do rozpaczy doprowadzała.

— *Reus perfidiae... reus perduellionis...* — ciągle tym samym tonem mówił Kurowicz.

— Zatem — wrzasnął stolnik — winien jest śmierci...

Kurowicz nosem pociągnął, odchrząknął, czekał moment, aż się echo głosu Brzoski rozeszło i powtórzył po łacinie zwolna:

— *Reus est mortis.*

VII.

Przybywszy do Wilna, Łyszczyński zadziwił się mocno, gdy mu w dworku oznajmiono, że rannego Duchnowicza tam niema. Zabrał go do siebie rodzic, skoro tylko o wypadku się dowiedział, a zabierając, wykrzykiwał okrutnie i groził. Stało się wielkie zbiegowisko, gdy rannego wywożono, a pozostawieni na straży dworku pacholikowie Łyszczyńskiego opowiadali, że tłumy dzień cały snuły się po mieście i wokoło dworku, rzucając różne złorzeczenia i przekleństwa.

Mrok wieczorny zapadł. Łyszczyński rozkazał służbie czuwać noc całą i straż trzymać, lękać się bowiem było można jakowego napadu ze strony rozdrażnionego pospólstwa.

Mocno znużony usiłował zażyć spoczynku, ale sen nie przychodził. Gorączkowe jeno mary snuły się po głowie, która ogniem płonęła. Co moment zrywał się i nasłuchiwał... Deszcz rzęsisty padał i tłukł mocno w szyby, które dźwięczały; silny wicher rozjęczał się przeraźliwie, szarpiąc gałęziami drzew z łoskotem, a wśród tej wrzawy zdawało się Kazimierzowi, że słyszy wyraźnie to jednostajny głos Halszki, to cichy jęk Zochny, to poważną a groźną mowę chorążego Jesmana, to wreszcie błagalne prośby Racheli.

Kazimierz zerwał się z posłania i począł biegać po izbie w ciemnościach. Ciemności te dręczyły go, jak zapora, której zwalczyć nie sposób, tak samo, jak nieświadomości jutra, jak tego mroku, w którym tonęła myśl jego. Zapragnął ruchu i światła, zapragnął widzieć i wiedzieć. Zażegł na kominie ognisko, ale to mu nie wystarczało. Drgające jego płomyki to skakały po ścianach, to siały iskry, to nikły w gorszym jeszcze mroku. I ogarnął go dziwny, nieprzemożony lęk.

Zarzucił na siebie opończę i wybiegł z dworku.

Deszcz przestał padać. Wicher rozbił i poszarpał chmury, które teraz w strzępach snuły się po niebie, gasiły chwilami gwiazdy i pędziły dalej, rozpraszając się w mgły. W powietrzu ciężka wilgoć, nasycona wonią spadłych i gnijących liści. Wokoło cisza, jeno gwizd jęczący wichru i dalekie ujadanie psów stróżliwych. Pacholikowie, którym czuwać rozkazał, snadź spali, bo nigdzie żadnego ruchu. Ale on o nich nie myślał. Przeszedł przez ogród i zbliżył się do furtki, przez którą niedawno wyprowadził Rachel. Ku niej biegły teraz jego myśli i pożądania... Przystanął przy furtce, szarpnął ją i usiłował otworzyć. Ale była silnie zaparta i obwiązana sznurem. Kto i w jakim celu to uczynił? Czyżby pachołkowie jego, zamiast straż trzymać, zbiegli do miasta i w ten sposób ubezpieczyć go chcieli? Szarpał coraz mocniej, gwałtowniej, ale węzły sznura zaciskały się tem ściślej i nie puszczały. Więc pochylił się i usiłował spokojnie węzły rozplątać.

Wtem drgnął.

— To wy, panie?... — zabrzmiał tuż przy nim stłumiony głos.

Podniósł się żywo i ujrzał przy sobie postać niewieścią, otuloną w chustę, drżącą.

— Rachel! — zawołał Kazimierz — o tej porze... ty!

— Ciszej, panie! — odparła ona — przebóg ciszej... czyhają... Wpuśćcie mnie... powiem wszystko!...

Łyszczyński szarpnął furtkę z taką wściekłością, że chociaż sznury nie puściły, szczeble furtki strzaskały się i rozpadły.

Rachel szybko wbiegła i pociągając Kazimierza za sobą, mówiła z przerażeniem:

— To oni pewno zaparli tę furtę, lękając się, aby im nie przeszkadzano... Oni, złodzieje!...

— Kto oni? — spytał zdumiony Łyszczyński.

Ale Rachel nie dała odpowiedzi. Wbiegła szybko do dworku i drzwi szczelnie zamknęła, zasuwając rygle.

Wciągnęła Kazimierza do pierwszej izby, oświetlonej teraz jaskrawo rozgorzałem ogniskiem.

— Panie! — zawołała — ani momentu do stracenia niema... Was otacza zdrada... Pacholikowie wasi zbiegli aby dać znać nasłanym drabantom hetmana Sapiehy o waszem przybyciu. Schwytać was mają i uwięzić... Uciekajcie!...

Chusta zsunęła się jej z ramion. Bujne zwoje włosów, rozplecione, w nieładzie, iskrząc się w promieniach ogniska złotemi blaski, rozpłynęły się na ramiona, okoliły twarz lęku pełną, trupio bladą, wzruszeniem drgającą.

— Uciekajcie! uciekajcie! — powtarzała zdyszana.

Łyszczyński, wpatrzony w Rachel, zaledwie ro-

zumiał. Czuł jeno, że ona tu była, przy nim, wśród nocy, sama, w swem przerażeniu zachwycająco piękna, w swem męstwie i dzielności, taka drżąca i niemocna...

Pochylił się nad nią i namiętnym szeptem mówił:

— Uciekać? nie!... Ja ostać chcę z tobą i przy tobie... Ja cię miłuję, Rachel, i pragnę miłości twej...

Porwał ją w ramiona i garnął ku sobie...

Ale ona całą siłą prężyła się i oparła.

— Nie — krzyknęła — wy nie wiecie, co się stało... Ja już nie ta Rachel, którą rzuciliście ze wzgardą u doktora Jonasa... już nie ta!...

Łyszczyński odskoczył od niej i osłupiałym wzrokiem ją mierzył:

— Co się stało?... — szeptał.

Ona zaś mówiła szybko, urywanym głosem:

— Po waszej rozmowie z Jonasem, on mi rzekł, że dla was nie uczyni nic... żeście niebezpieczny człek, który gotów jest królewicowi Jakóbowi w zamierzonem małżeństwie przeszkadzać... a tem samem przeciw królowi iść... I odtąd począł z Betsalem, Baruchem i stolnikiem Brzoską przeciw wam knować... Was nie było niedziel kilka. A oni tymczasem tu... do waszego dworku się wkradli i zabrali wam jakoweś skrypta... które biskupowi wydać chcą!...

Łyszczyński mimowoli obejrzał się i teraz dopiero zauważył, że księgi jego były porozrzucane. Ktoś jakby wśród nich w pośpiechu poszukiwania czynił. Szybko zbliżył się do stołu i otworzył utajoną w nim skrytkę... Złożonych tam pism nie było...

— To stolnik! — krzyknął — on jeden zdawna wiedział!...

— Tak... stolnik... — potwierdziła Rachel — stolnik, Morozowa, Baruch... Duchnowicz... Jutro mieli iść do biskupa, który tymczasem zażądał od hetmana Sapiehy, iżby was uwięził... Ale do biskupa nie pójdą bo nie mają z czem...

— Jakto? a pisma owe?...

— Mam je tu!... — zawołała Rachel.

Gwałtownym ruchem szarpnęła suknię na piersiach i wyjęła z zanadrza zwój.

— Spojrzyjcie — rzekła — czy jest wszystko?

On, zdumiony, mimowolnie wyciągnął rękę i wziął w dłonie te papiery, ogrzane ciepłem jej ciała, które na moment błysnęło mu swą matową białością.

Ogarnął go szał. Rzucił się ku niej, porwał w objęcia, gwałtownym ruchem przyciągnął ku sobie, w ramionach ujarzmił, i usta, rozchylone do krzyku, namiętnym pocałunkiem zawarł.

Przyniesione przez nią skrypta rozsypały się po ziemi...

— Moja ty... moja! — szeptał Kazimierz, unosząc ją i tuląc ku sobie.

Ona bezwładnie gięła się w tych uściskach. Nie oddawała pocałunków, ale bronić się przeciw nim nie miała siły. Zawarła oczy i zdawała się omdlewać...

Nagle wyprężyła się kurczowo i zdołała odtrącić nieco Kazimierza.

— Puście mnie, panie!... — wyjąkała. — Wy nie wiecie...

— Nie puszczę! — krzyknął Łyszczyński, nieprzytomny w szale — nie puszczę!... ty moją być musisz!...

I znowu usiłował unieść ją w ramionach i obezwładnić.

Ale ona nagle odzyskała siły. Poczęła wyrywać się i szamotać. Oczy jej teraz, szeroko otwarte, ciskały błyski... Ze ściśniętej krtani wychodził oddech dyszący, ciężki..., a potem wybiegły urywane słowa:

— Strzeżcie się!... na mnie czeka... Baruch... który od wczoraj jest moim... małżonkiem!...

— A! — krzyknął Łyszczyński — ty żoną Barucha!

Rozplotły się jego ramiona i odtrąciły Rachelę. Ona patrzyła na niego rozszerzonemi oczyma, bardzo smutna.

— Tak, panie — potwierdziła — ja żoną Barucha!... Uczyniłam to dla was... a raczej dla siebie samej, aby wam móc pomoc przynieść... Jonas, dziadek, Baruch, wszyscy naglili.. Wiedziałam, że porwano wam... skradziono jakoweś pisma, któremi was zgubić mają... Rzekłam tedy Baruchowi: «Oddaj mi te pisma, a poślubię cię!...» I tak się stało... Oto są skrypta wasze...

Mówiła urywanemi wyrazy, ostatnie ścichły w łkaniu, a ona stała bez ruchu, blada, jak śmierć, z pochyloną głową, jakby czekając wyroku.

A w nim wrzała burza. Sto razy chciał krzyknąć «Precz!» sto razy wybiegała mu na usta obelga i zaciskały pięści, aby zelżyć i zgnębić tę istotę, którą przed chwilą w namiętnym trzymał uścisku, i — milknął. Dziwny czar szedł od niej i ujarzmiał gniew, który nim miotał. Im większy był ten gniew, tem bardziej rosło pożądanie, tem piekielniejszy żar rozpalał mu krew, której smak czuł w ustach. I naraz gorycz szy-

derstwa zalała mu serce, albowiem szyderstwo jest zawsze rozżalonego serca najbliższe; to samobójcza broń niemocnej zemsty...

— A... a... a... — zaśmiał się nagle — poślubiłaś Barucha, aby ci oddał pisma moje... jakie pisma?...

Nogami je deptał, w ręce porywał, miął i szarpał.

— Co za pisma? — krzyczał — stare bazgroty bez znaczenia... cha! cha! cha!... A Baruch cię oszukał... nie oddał wszystkiego.. to połowa zaledwie... cha! cha! cha!...

Rachel porwała się z miejsca, przypadła ku ziemi i drżącemi rękoma poczęła zbierać rozrzucone skrypta.

— Nie wszystkie? — powtarzała — nie wszystkie?. to nie może być... On mi przysięgał...

— Krzywo przysiągł! — wrzasnął Łyszczyński — i ty jemu krzywo przysięgłaś!... A teraz wszystko jedno... będziesz moją!...

Opanował go znowu dziki szał. Rzucił się ku niej, zatopił ręce w rozplecione zwoje złotych jej włosów, ku ziemi przygniótł głowę, wżarł się ustami w jej usta, rękoma drżącemi szarpał jej suknię na piersiach...

Ona teraz walczyła jak z wrogiem. Lęk, żal, wstręt dodawały jej mocy. Lęk, albowiem czuła, że lada moment osłabnąć może, i żal, iż Łyszczyński, ten człowiek, który zdawał się jej wyższym nad wszystkich, dla którego ocalenia uczyniła z siebie największe poświęcenie, okazał się tak niewdzięcznym: wstręt wreszcie, nagle obudzony wobec jego zwierzęcej namiętności.

Walczyła tedy zacięcie, dobywając sił ostatka. Zdołała się wreszcie wydobyć z uścisku i por-

wała się z ziemi, cała zdyszana, z rozburzonemi włosami, z suknią poszarpaną i zmiętą. Twarz jej pałała wszystkie tętna biły gwałtownie, odbiegała ją przytomność. Szybko otuliła się chustą i nie mówiąc słowa, poskoczyła ku drzwiom.

— Rachel!... — wyjąkał Kazimierz, — czołgając się ku niej na klęczkach. — Nie odbiegaj mnie!

Opuściła go nagle gwałtowność, a ogarnął żal ogromny.

— Rachel!... — powtarzał — Rachel!... ocal siebie i mnie... uciekajmy razem!...

Ona, u drzwi już stojąc, odwróciła ku niemu twarz, która w tym momencie była znów jak opłatek blada. Wszystka krew zbiegła jej teraz do serca, które tłukło się coraz silniej, jakby z piersi wyskoczyć miało.

— Nie, panie! — odparła głosem złamanym, ale stanowczo — między mną a wami rozwarła się przepaść... Żegnajcie!...

I znikła. Łyszczyński słyszał jej szybko oddalające się kroki, słyszał, jak stąpała po wilgotnych liściach, które grubą warstwą pokrywały ścieżkę; zdało mu się naraz, że tych kroków było więcej, cały tłum kroków, i miał to uczucie, że one tak miażdżą, rozgniatają jego serce...

Głowę, z której wszystkie myśli uciekły, napełniał szum, jakby wichru, szalejącego wśród pustki. Dźwignął się z ziemi i oglądał wokoło szeroko otwartemi oczyma.

— Rachel!... — krzyknął jeszcze raz z rozpaczą.

I porwał się, aby biec za nią. Ale nagle zawróciła mu się głowa, zatoczył się przy drzwiach, jak pijany, i na ziemię runął bez zmysłów.

Po długiej chwili dźwigać się począł, jęcząc. Usiłował zebrać rozpierzchłe myśli.

Co się stało? — szeptał — co się stało?...

Zwolna wracała pamięć i ogarniał wstyd. Chwiejnym krokiem podszedł do stołu, usiadł ciężko na ławie i płonącą twarz ukrył w dłoniach.

Teraz mu już wszystko jedno... Nie będzie uciekał: Jeśli go więzić mają, niech przyjdą i wiążą... Wszak utracił już wszystko i nic go nie pociąga w przyszłości. Na moment jeno ożywiła go namiętność ku Racheli, ale oto i tutaj los pomścił się na nim, jak zwykle, okrutnie. Niemal w tym samym momencie, gdy on Zochnę niewolił do poślubienia Jesmana, niemal jednocześnie zmuszono tu Rachel, iżby oddała się Baruchowi, który go zdradził... Dziwny los!.. Słusznie rzekła Rachel, że między nim a nią rozwarła się przepaść... O tak! Gdyby ona nawet teraz pójść z nim chciała, onby jej związku z Baruchem nie przebaczył nigdy, jak nie przebaczył i zapomnieć nie mógł Halszce jej dla Bogusława Radziwiłła miłości, a w każdym jej pocałunku i w każdym uścisku czuł ten pierwszy uścisk i pocałunek pierwszy, który nie należał do niego... Lata, które zbiegły, nie ostudziły mu snadź krwi, nie zwątliły gwałtownych porywów. A wszystkie one szły w niwecz... Mściwa jakaś ręka tamowała je i wszelakie rozpraszała marzenia, zarówno nieubłaganie, jak on nieubłaganym był pierwej względem Halszki, teraz względem Zochny i Duchnowicza... Dziwny los!.. A może to nie los?... może to karząca prawica tego Boga, którego istnienia on przeczyć chciał?

Wzdrygnął się i powstał... Ognisko na kominie przygasało; za każdym migotliwym jego błyskiem biegł

wnet ponury cień, wchłaniał go i gasił. Wiatr z jękliwym poświstem szarpał ciągle gałęziami drzew, a deszcz znowu padał rzęsisty, bijąc w okna...

Kazimierz zwolna przechadzać się począł po izbie.

— Bóg!... Bóg!... — powtarzał szeptem.

Było mu zimno, wstrząsał nim dreszcz. Chodząc, deptał pozostawione na ziemi przez Rachelę skrypta, zmięte wśród walki... Wszystko tu jeszcze o tej walce świadczyło; straszliwy ten moment odbił się teraz żywo w myśli Kazimierza; zdało mu się, że słyszy szybki, urywany oddech szamocącej się z nim Racheli, że widzi jej przerażeniem wytrzeszczone oczy, zbladłe, zaciskające się usta...

— Jestem potworne zwierzę... — szepnął — godzien jestem śmierci!

Wzdrygnął się znowu i przystanął. W pobliżu dworku dały się słyszeć kroki i jakby broni szczęk... Znagła drzwi się otwarły i do izby wkroczyło kilku drabantów hetmana Sapiehy.

Łyszczyński cofnął się i rękoma o stół się oparł. Był bardzo blady i z góry na przybyłych patrzył.

— Kto śmie... — zaczął.

— Wysunął się na czoło dowódca oddziału i począł:

— Z rozkazu jw. hetmana Sapiehy, na żądanie najprzewielebniejszego księdza biskupa...

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się szyderczo Łyszczyński. — Ani biskup, ani pan hetman więzić mnie nie mają prawa... To gwałt, za który odpowiedzą...

— Mamy rozkaz... — powtórzył drabant i zbliżał się.

— Nie dotykaj mnie!... — krzyknął Kazimierz — nie dotykaj, bo stanie się *crimen*... Ja z wami, nasłaną służałczą hołotą, ani sporu wieść ani walczyć nie chcę...

Ale teraz na dany znak rzucono się ku niemu, w jednem mgnieniu oka schwytano i skrępowano powrozami ręce.

Nadaremnie szamotał się, groził i złorzeczył:

— To *crimen!* bez pozwu, nieprzekonanego więzić szlachcica! głową odpowiecie za to!...

— Mamy rozkaz! — powtarzano i prowadzono go ku drzwiom, gdy wtem do izby wsunął się chyłkiem pan Brzoska.

Był bardzo pomieszany i cały się trząsł, na widok jednak skrępowanego Kazimierza uśmiechnął się szyderczo.

— Źle z wami, mości podsędku — ozwał się zcicha — krzywdy moje i zagrabiona Niewodnica mszczą się!...

Łyszczyński wzdrygnął się i szarpnął tak mocno, że omal krępujące go więzy nie pękły. Zwrócił ku stolnikowi krwią nabiegłe oczy.

— Psie podły!.. — krzyknął ochrypłym głosem — taki syn!

I gorzką śliną, która do ust napływała, plunął mu w twarz.

Popchnięto go silniej i uprowadzono. A Brzoska, drżący z wściekłości, wrzeszczał:

— Oddam ja ci to z nawiązką, jadowity smoku, padalcze, żmijo!

Pochylił się do ziemi i począł śpiesznie zbierać przyniesione przez Rachel skrypta, szepcąc:

— Dobrze, iżem w czas przybył... byłaby go ta szalona córka Betsalowa ocaliła.. Niebezpieczna dziewka... a Baruch zdrajca!...

Zabrał skrypta i umknął.

Niebawem cisza i ciemność zaległy pusty Łyszczyńskiego dworek.

VIII.

Stał się niemały huczek w Wilnie i na Litwie całej, gdy się wieść rozeszła o schwytaniu Łyszczyńskiego. Miał on wielu wrogów, którzy przedtem, gdy na wolności był, powstawali przeciw niemu. Ale teraz głosy wrogie przycichły, natomiast szedł przez całą Litwę krzyk wielki na pogwałcenie prawa. Podnieśli go pierwsi przyjaciele Kazimierza, pan miecznik brzeski Piekarski i pan Galimski, którzy, jako posłowie województwa brzeskiego, wnieśli do króla protest przeciwko bezprawnemu uwięzieniu szlachcica. Jan Szółkowski i Grothus biegali po całej Litwie, czyniąc wrzawę, a poruszyli nawet Ludwika Pocieja, podkomorzego brzeskiego, który, jakkolwiek sprawie zrazu niechętny, do biskupa osobiście z protestacją się udał.

— Jest — mówił — kardynalne u nas prawo, którego gwałcić nie lża! Prawo to powiada: *Neminem captivari sinemus nisi jure victum...* W obronie tego prawa przychodzę do was, księże biskupie: Łyszczyńskiemu wolność wróćcie.

Brzostowski słuchał cierpliwie. Na jego poważnej, surowej twarzy nie można było dostrzec żadnego wzruszenia; jeno usta u kątów zacisnęły się kurczowo.

Przymknął oczy i, gładząc zwolna ręką złoty łańcuch, na którym zwisał na piersi krzyż ozdobny, odrzekł spokojnie:

— Złożyłem sąd duchowny pod przewodem inflantskiego biskupa... Skrypta Łyszczyńskiego oddałem Akademji naszej wileńskiej, która zbada ich treść, a sąd duchowny wyrok da... Przedtem nic uczynić nie mogę...

— Ależ to bezprawie! — przerwał dorywczo podkomorzy — sąd sejmowy tu jeno rozstrzygać może, a więzić przed wyrokiem, to gwałt!

Lekkie drgnienie przebiegło po twarzy biskupa. Podniósł oczy w górę i rzekł:

— W rzeczach wiary i sumienia sąd do biskupów należy... A my wiemy, że nas i was sądzić kiedyś będzie Bóg...

I w upornem milczeniu się zawarł.

Pan podkomorzy, widząc, że tą drogą, nie wskóra nic, wniósł do grodu uroczystą manifestację, a trybunał litewski, który podtenczas w Mińsku urzędował, pozwał biskupa Brzostowskiego i oskarżył o pogwałcenie prawa.

Hetman i wojewoda wileński Sapieha ze swej strony stał się przedmiotem powszechnej nienawiści: przybywały do niego ciągle deputacje szlachty litewskiej, domagając się uwolnienia Łyszczyńskiego. Napróżno hetman zasłaniał się biskupem i powagą władzy kościelnej; napróżno przedstawiał, że gdyby był odmówił Brzostowskiemu pomocy, byłby sam w klątwę popadł, jako dający opiekę ateuszowi i bluźniercy.

— Bluźnierca, czy nie bluźnierca — odpowie-

dział mu na to Szółkowski Jan, który z gronem posłów litewskich przybył — to dopiero orzec ma sąd sejmowy, nie biskupi, bo u nas, dzięki Bogu, inkwizycji niema! A co się tyczy klątwy, to lepiejby wam było, mości hetmanie, być pod klątwą biskupią, niż szlachecką!...

Urodziwe a łagodne oblicze starosty pokraśniało. Wiedział on dobrze, że pogróżka taka nie była płonna, i że zwłaszcza w tym czasie, kiedy sejm miał być do Grodna zwołany, kiedy miała rozpocząć się ostateczna, zacięta walka przeciw królowi i jego dynastycznym zabiegom, walka, w której on wespół z innymi pierwszymi dostojnikami na czele stał, należało koniecznie skarbić sobie łaski i zaufanie szlachty.

Tedy zaczął bardzo uprzejmie uśmiechać się, a zwłaszcza Szółkowskiego, którego zdawna znał, ściskać i uspokajać.

— Miejcie, waćpanowie, cierpliwość! — mówił, nieledwie prosząc — sprawa jest trudna... biskup zawzięty... ale ja starać się będę... Przyznaję, że tu jest poniekąd pogwałcenie prawa: *Neminem captivabimus*... przyznaję... Więc się postaram imć pana Łyszczyńskiego z wieży biskupiej wydobyć i pod swoją wojewodzińską wziąć straż!...

— Nie pod straż, mości wojewodo! — krzyknął Szółkowski.

— Wszystko nam jedno — dorzucił Sadowski, pisarz ziemski — wszystko jedno, kto gwałt popełnia... jest-li to biskup, czy też hetman i wojewoda!

Hetman niechętne spojrzenie Sadowskiemu rzucił, a ująwszy Szółkowskiego przyjaźnie pod ramię,

odciągnął go nieco na stronę i przyciszonym głosem mówił:

— Bądź waćpan przekonany i zapewnij kompanów swych, że ja, co w mocy mej uczynię, iżby tę niemiłą sprawę załagodzić... Jeno o cierpliwość proszę i zaufanie... Gdybym teraz zbyt gwałtownie postępował, nie wskórałbym nic, bo biskup mocno zażarty. Moja rada taka: Niech Łyszczyński wniesie do króla suplikę... niech się użali na pogwałcenie prawa przez biskupa... o moich tam drabantach niech nie czyni wzmianki... a przedewszystkiem niech prosi o sąd sejmowy, albo o sąd w senacie, kędyby król i świeccy senatorowie zasiadali...

— A zanim to nastąpi — przerwał Szółkowski — to biskupi wydadzą nań wyrok i głowę mu uciąć, albo go spalić gotowi...

— Gorączka waćpan jesteś! — zaśmiał się hetman. — Daję waści moje słowo hetmańskie, że choćby wyrok zapadł, wykonany nie będzie... Imć pan Łyszczyński pod moją jest opieką, jeżeli nie chcecie, iżbym rzekł: pod strażą...

Szółkowski, mocno już i z takiego rezultatu zadowolony, począł hetmanowi dziękować i wnet towarzyszom swym jego poręczenie uroczyste oznajmił, co też z aplauzem było przyjęte.

Pan hetman, widocznie kontent, wąsa podkręcał i uśmiechał się bardzo przyjaźnie ku braci szlachcie.

Jeden tylko Sadowski ciągle był chmurny i mruknął głośno:

— Et, mości panowie, obietnica to jak marcowe słońce... Co nam po obietnicy? jabym jeszcze do biskupa szedł, a gdyby on wolności podsędkowi na-

szemu nie zwrócił natychmiast, mamy przecież mości panowie, szable... wieża zaś biskupia niezbyt mocna...

Sapieha żywo znów ujął Szółkowskiego pod ramię:

— Mości Szółkowski, — rzekł — jeno nie dopuśćcie do gwałtów... To tylko zaszkodzić może...

Zniżył głos i szeptał:

— Ten Sadowski to niebezpieczny człek *Subiectum* królowej... Na jej wysługach jest i tu na Litwie wodę mąci, rad *in turbido piscari*... Nie dopuśćcie go do głosu... On teraz z wami, iżby jeno wrzawę czynić... a gdy będzie potrzeba, pójdzie przeciw wam i Łyszczyńskiemu... Ja tę sprawę na siebie biorę i Łyszczyńskiemu krzywdy uczynić nie dam... A wy, mości Szółkowski, czasu sejmu, czy w Grodnie, czy w Warszawie, zgłoście się do mnie... wiele będzie ważnych spraw... Teraz zaś Łyszczyński niech do króla jegomości suplikę wniesie...

Szółkowski skłonił się nie odpowiadając, i już rad był tę rozmowę co rychlej skończyć, albowiem słyszał, jak Sadowski w gronie posłów wrzawę podnosił i głośno mu od pachołków Sapieżyńskich wymyślał.

Tedy pan hetman uprzejmie posłów pożegnał raz jeszcze ponawiając swoje zapewnienia.

Ale dnia tego nie zaznał spokoju. Zaledwie posłowie wyszli, aliści do komnaty hetmana, bez oznajmienia, wpadł gwałtownie Lubomirski, marszałek nadworny.

— Co ja słyszę? — wołał od progu: — wracam wczora z Mińska, kędy sprawy w trybunale mam, a tu mówią mi, jako wy, mości wojewodo, pomocy

zbrojnej temu biskupowi użyczyliście, iżby wolnego szlachcica schwytać i uwięzić. Przychodzę was tedy zapytać: zali u nas już teraz infuły rządzą i rozkazy wydają?...

Sapieha z uśmiechem i spokojnie patrzył na rozognioną twarz marszałka. Snadź oburzenia jego nie brał na serjo.

— A wam co po Łyszczyńskim? — spytał.

Lubomirski biegał po komnacie.

— Co mi po nim! co mi po nim! — powtarzał. — Przedewszystkiem idzie mi o to, aby ten biskup nie miał uciechy... Po co mu było swoich drabantów dawać? Szlachta już i tak zarówno na was, jak i na mnie sarka... a ona teraz nam potrzeba...

— Wiem o tem — wtrącił zawsze uśmiechnięty Sapieha — i właśnie starałem się...

— Piękne staranie! — wybuchnął Lubomirski, i zbliżywszy się do hetmana, mówił dalej głosem stłumionym, lecz z naciskiem:

— Nam ten Łyszczyński mocno teraz potrzebny. Otrzymałem wieści z Berlina. Kurfirst w Poczdamie dogorywa. Gdyby umarł margrabina jutro jest żoną królewica Jakóba, o co królewski poseł Bieliński, francuski Rébénac i kurlandzkie książątko usilnie zabiegają. Dopóki elektor żyje, nie dopuści, ale synalek jego — kto wie?... A wówczas zobaczymy, jak się nasz Jakóbek, wsparty królewską fortuną małżonki, na tron drapać będzie!...

Uśmiechnięta dotychczas twarz wojewody spochmurniała nagle.

— O! o! o! — zawołał — tego nie dokaże!...

Marszałek zaśmiał się głośno:

— A kto mu wzbroni? Może drabanci waszmości, którzy tymczasem biskupowi służą?

Żachnął się gniewnie hetman.

— Nie rozumiem, — mruknął — jaki być może związek między tamtą sprawą a jakimś podsędkiem brzeskim...

— Bardzo ścisły — przerwał marszałek. — Jedyna siostra tego podsędka jest zaufaną powiernicą margrabiny Ludwiki. Ona ją wypiastowała od niemowlęctwa i Ludwika uczyni, co jej ta Szczenicka podszepnie... Donoszą mi właśnie, że już ją Bieliński i Rébénac na swoją przeciągnęli stronę, więc ja umyśliłem tego Łyszczyńskiego tam słać, iżby pohamował siostrę... Już z nim kiedyś u Bokuma o tem mówiłem i przyrzekł ochotnie... A tu wam właśnie przyśniło się, biskupiej złości za narzędzie służyć...

— Mości marszałku!... — krzyknął hetman, do żywego dotknięty.

— No, no... — przerwał Lubomirski — zły jestem i nie zdołam miarkować się w słowach. Ale wy — dodał, chwytając Sapiehę za rękę — popsowaliście mi sprawę, i teraz ją naprawić trzeba... Łyszczyński wolny być musi!...

Wojewoda usiłując wydobyć swą rękę z uścisku marszałka, mówił zwolna, zimno:

— Przyrzekłem przed momentem braci szlachcie, że poczynię starania, iżby Łyszczyńskiego z więzienia biskupiego wydobyć i pod moją wojewodzińską straż wziąć... Nie wiem jednak, zali biskup...

— Ach, ten Brzostowski! — krzyknął marszałek: — djabeł rogaty w nim siedzi... Ale wy, woje-

wodo, co różne budujecie kościoły, znajdziecie na niego sposób... żydzi już znaleźli...

— Jak to, żydzi?

— A tak. Chcąc zaskarbić sobie łaski biskupa, poszli do niego ze skargą, że Łyszczyński wiarę młodym żydowinom psowa... cha! cha! Oni to nawet pono wykradli i dostarczyli biskupowi jakowychś Łyszczyńskiego skryptów, które teraz pastorały czytają, aż im oczy wyłażą... Dziwno mi, że wy tu w Wilnie siedzicie, a nie wiecie nic... Do biskupa szedł stary rabin Betsal i inna brodata starszyzna, a Brzostowski, powiadają, łaskawie ich wysłuchał, gorliwość w wierze pochwalił i w zamian przyrzekł w opiekę wziąć arendarza J. K. Mości, Szymona Betsala, któremu tam w Warszawie jakoś teraz gorąco...

Wojewoda, który słuchał uważnie, na wspomnienie Betsala żachnął się żywo:

— Tego Betsala — przerwał — koniecznie pozbyć się trzeba... Na to powszechny jest krzyk, jako ten żydowin dobra stołowe i królewskie, wbrew wyraźnym konstytucjom, dzierżawi... Trzeba o to wszcząć wrzawę na sejmie...

— E... e... — wtrącił Lubomirski, któremu w tym momencie przypomniała się rozmowa z Łyszczyńskim— na tego Betsala przyjdzie jeszcze czas... ale nie teraz... On nawet pomocnym nam być może. To jest obrotny żyd, a służyć będzie każdemu, który mu korzyść obieca...

Zbliżył się do wojewody i znowu za rękę go ujął:

— Wierzajcie mi, hetmanie — rzekł: — nie rozpraszać się nam teraz, jeno uwagę skupić na Berlin

czy Poczdam, kędy elektor dogorywa, a piękna margrabina dziewosłębów Jakóbowych czeka. To dla nas najważniejsze, iżby do tego związku nie dopuścić... Przeto wydrzyjcie biskupowi Łyszczyńskiego... ja mu instrukcję dam i na dwór elektorski wyprawię... Niech tam własnym rozumem i przez siostrę działa... Naciśnijcie biskupa... niech Łyszczyńskiego puści...

Wojewoda, zamyślony, widocznie się wahał.

— Cóż wy tak miłujecie tego biskupa! — krzyknął niecierpliwie marszałek.

Sapieha ramionami dźwignął.

— Zgoła go nie miłuję — odparł. — A nawet lękam się, abym niebawem z nim do zatargu nie przyszedł o konsystencje wojska w dobrach biskupich. On się zawziął, ale i ja uparty, lecz właśnie dlatego nie chciałbym...

— Innej sprawy do tamtej przyłączać... — dokończył Lubomirski. — Rozumiem. Ale w tym momencie Łyszczyński dla nas jest ważniejszy od wszelakich konsystencyj, które i tak, mając siłę, zająć możecie... Bo zważcie jeno... Niemasz teraz na Litwie głośniejszego człeka niż Łyszczyński... wczorajsi wrogowie stali się jego przyjaciółmi... na rękach go z więzienia wynieść gotowi... wszystka szlachta za nim. Uwalniając go z Brzostowskiego szponów, stajecie po stronie szlachty, która nam teraz potrzebna. Dziś wroga, jutro was będzie miłować...

Sapieha zaśmiał się głośno.

— Na równi z wami! — zawołał — to będzie nadzwyczajne miłowanie i trwałe! Ale wy, marszałku, rozum macie i słuszność. Stało się źle, i ja Łyszczyńskiego wydobędę...

Mówił to szczerze i bardzo uprzejmie pożegnał marszałka, który kontent do Bokuma wracał. Jedna go tylko myśl niepokoiła, a raczej zagadka, której rozplątać nie mógł. Dlaczego Łyszczyński wstawiał się za Szymonem Betsalem i wyraźnie go o protekcję dla niego prosił, a tymczasem rodzic Szymona, rabin stary, i spokrewniony z nim Jonas, nastawali na podsędka i pierwsi wystąpili przed biskupem ze skargą?...

Ręką machnął.

— E! — mruknął — nie rozgmatwam... Może chytrzy żydowie myśleli, że opieka biskupia lepsza, niż moja... Zobaczymy...

Przybywszy do pałacu Kiszków zdumiał się niemało, gdy mu pokojowy dworzanin oznajmił, iż niewiasta jakowaś oddawna oczekuje na jego przybycie, oddalić się nie daje i o posłuchanie prosi.

— Cud niewiasta! — dodał, uśmiechając się.

Pan Lubomirski, który na wdzięki niewiast zawsze był czuły, uśmiechnął się także i rzekł:

— Ano, to wprowadź... Głodnym jak wilk i pić mi się chce... ale jeśli taki cud...

Za moment weszła Rachel. Wstrzymała się u progu zdyszana, drżąca. Dłonią cisnęła gwałtownie bijące, spłoszone serce. Zrazu oczu od ziemi oderwać nie mogła, a potem nagle podniosła twarz jak chusta bladą i podbiegłszy padła do nóg marszałka.

— Panie!... — łkała raczej, niż mówiła — ulitujcie się wielkiej niedoli!... Nie dopuśćcie, aby on zginął przeze mnie!...

— Co? kto? jak? — powtarzał Lubomirski, pochylając się ku niej i z zachwytem patrząc na jej zmienione rozpaczą, ale zawsze piękne oblicze.

— Pan Łyszczyński zginie, jeśli wy mu nie dacie pomocy!... — wyjąkała Rachel.

— O! o! o! — zawołał marszałek, mocno zainteresowany, usiłując dźwignąć ją z ziemi: — cóż cię obchodzi pan Łyszczyński? i kto ty jesteś, piękne dziecko?...

— Jestem wnuczką rabina Betsala... a pan Łyszczyński...

Nie zdołała dokończyć. Krew gorącą falą uderzyła jej do głowy, rumieńce oblały twarz, którą chyliła do ziemi, nie śmiąc wzroku podnieść na marszałka. Bo i cóż powiedzieć? jak wytłumaczyć ten krok szalony, który uczyniła? cóż ją, wnuczkę rabina, obchodzić mógł Łyszczyński?

Lubomirski cofnął się zdumiony.

— Wnuczka Betsala! — zawołał.

Ale z podziwem i uśmiechem patrzył ciągle na twarz Racheli, która cała w rumieńcach i w swem pomieszaniu była jeszcze piękniejsza.

— No... no... — ozwał się — dalipan, nie posądzałem pana Łyszczyńskiego... Zdawało się, że on jeno teologją, czy tam filozofją się bawi... Ano, warto i w więzieniu biskupiem posiedzieć...

Rachel nagle porwała się i śmiało głowę podniosła, wyiskrzonym wzrokiem mierząc Lubomirskiego.

— Nie czyńcie mi tej krzywdy! — zawołała — nie posądzajcie o nic!... Jam szalona, żem tu przyszła... wiem o tem. Ale w rozpaczy swej, opuszczona przez wszystkich... mniemałam, że do waszej dostojności udać się powinnam... Wszak pan Łyszczyński niedawno wstawiał się do was za moim rodzicem...

— Otóż i rozwiązana zagadka! — mruknął mar-

szałek — a to szczwany lis i szczęśliwa bestja ten podsędek!...

Nie zważając na przerwę, Rachel mówiła dalej:

— On się za nim wstawiał, a w zamian za to dziadek mój Betsal i wuj Jonas zdradzili go... jakoweś skrypta mu wykradli... oskarżyli przed biskupem... Mówią, że go za to na stosie palić będą... A ja tej myśli znieść nie mogę, aby on zginął przez nich... przeze mnie!...

— Jakto, przez ciebie?...

— A tak! przeze mnie... Bo oni się mszczą... Chciano mnie użyć za narzędzie, a ja się oparłam... wyjawiłam panu Łyszczyńskiemu, że go usidlić i zdradzić chcą i namawiałam do ucieczki...

— Tak go miłowałaś bardzo?...

Znowu rumieńce oblały twarz Racheli. Ale się nie zawahała. Z głową podniesioną do góry, ze wzrokiem śmiało utkwionym w oblicze marszałka, z wielką mocą mówiła dalej:

— Tak, panie! Nie zataję! Miłowałam tak bardzo, jak już nikogo na świecie miłować nie będę. Ognistą swą wymową i płomiennem spojrzeniem on przeniknął i zabrał mi duszę... Ale teraz między nim a mną przepaść... Nie zobaczę go już nigdy w życiu... widzieć go nie chcę! Ale nie chcę, aby zginął... Ratujcie go, panie!...

Chyliła się kornie do ręki marszałka. On zaś nietylko urodą, ale i całem zachowaniem się jej ujęty, przestał złośliwie się uśmiechać i rzekł dobrotliwie:

— Z ciebie niezwykła jest dziewka... Rad jestem, że cię uspokoić mogę. Przed momentem właśnie byłem

u pana hetmana, który mi przyrzekł, iż Łyszczyńskiego z kaźni biskupiej pod swoją opiekę weźmie... Ja w tem, że dotrzyma...

Rachel złożyła dłonie.

— O dzięki wam, panie! — zawołała i ulegając porywowi wdzięczności, chwyciła rękę marszałka i gorąco całować ją poczęła.

Lubomirski znowu się uśmiechał i drugą dłonią gładził pieszczotliwie złote jej włosy.

— Rabina Betsala i jego zawziętość rozumiem — ozwał się — i ciebie usiłuję zrozumieć, chociaż Łyszczyński za starym mi się być zdaje... Ale pojąć nie mogę Jonasa, iżby on w takie sprawy wdawać się chciał i aż do biskupa szedł... Jakie on mógł mieć powody?...

Rachel głowę podniosła. Na zapytanie nie zaraz dała odpowiedź. Czuła, że dając ją, zdradzi intencje Jonasa, do którego, pomimo zajść ostatnich była przywiązana.

Wahanie jej i pomieszanie nie uszło uwagi marszałka, który w tej interwencji zgoła niezwykłej, królewskiego doktora, wietrzył odrazu intrygę dworską.

Patrząc bystro w twarz Racheli, powtórzył pytanie:

— Żali nie wiesz, co skłoniło Jonasa?...

Rachel zdecydowała się nagle. Czuła bowiem, że dłuższem wahaniem może popsuć sprawę.

— Wiem! — odparła szybko. — Jonas żądał od pana Łyszczyńskiego, aby jechał do Berlina i tam przez siostrę swoją ułatwił jakoweś zamierzone małżeństwo królewica Jakóba...

— A on co na to? — żywo zagadnął Lubomirski.

— Odmówił... i oświadczył, że raczej przeszkadzać temu będzie... Sama byłam świadkiem... To był ostatni cios. Jonas wtedy postanowił zatrzymać pana Łyszczyńskiego przemocą i zgubić...

— Dobrze, żeś mi to rzekła, — ozwał się Lubomirski — bardzo to dobrze... Możesz być teraz pew na że wszelkich dołożę starań, aby Łyszczyński był wolny...

Rachel raz jeszcze rzuciła się mu do ręki, on zaś z wielką dobrocią ją pożegnał i patrząc na nią, gdy wychodziła, powtórzył w zamyśleniu słowa dworzanina swego:

— Cud niewiasta!

Ona zaś biegła pędem do mieszkania Betsala. Uczyniła już wszystko, co jeno uczynić tu mogła; teraz zajmowała ją tylko jedna myśl: ujechać z Wilna, dostać się do Warszawy. Do rabina wrócić nie chciała, a z małżonkiem swym, Baruchem, nie zdołałaby mieszkać dłużej. Zarzucała mu zdradę, iż przysiągłszy, że wyda jej wszystkie Łyszczyńskiego skrypta, wręczył tylko ich część; był zawsze jej wstrętny, a teraz nienawistnym się stał, tem bardziej, że dręczył ją zazdrością, a przez Betsala, Brzoskę i innych pomawiany także o zdradę, całą winę na nią zwalał.

Wbiegła szybko do izby rabina.

Betsal, jak zwykle, siedział przy stole, skulony, z głową spuszczoną na piersi. Usłyszawszy kroki, dźwignął ją z trudem i krwawemi oczyma na Rachelę spojrzał.

— A! a! — wyjąkał — przyszłaś, nędznico... Baruch tu był...

— Przyszłam pożegnać was... — przerwała Rachel, skłaniając głowę do ręki starca.

Ale on gwałtownie rękę cofnął. Cały trząsł się z gniewu; zachrzęściało mu w piersiach, krztusił się i kaszlał.

— Cha! — krzyknął ochrypłym głosem; — idź na stracenie... a nie żegnaj, bo powitania nie będzie... Baruch tu był i mówił, że ty mu żoną być nie chcesz... boś jest miłośnicą tamtego... Baruch tu był i mówił, żeś ty jest jadowita żmija, która go ku zatracie wiedzie!... I on cię teraz znać nie chce... rozwodny list da i przeklnie... Na stracenie idź!...

Rachel nie odpowiadała nic. Stała chwilę z pochyloną głową, a potem zbielałemi usty szepnęła:

— Żegnajcie!...

I zmierzała ku drzwiom.

— Rachel! — wrzasnął starzec.

Dźwignął się drżący i opierając o stół, krzesła a potem o ścianę, szedł zwolna, chwiejnie ku niej, mierząc ją strasznem spojrzeniem swych zgasłych, krwawych oczu.

— Bądź przeklęta!... — mówił syczącym głosem, który łamał się w krtani — bądź przeklęta!... Zdradziłaś Zakon, toż i politowania nad tobą nie będzie... Spłoniesz na stosie wraz z nim, miłośnikiem swoim, który Bogu bluźni! Da cię Pan na spustoszenie i hańbę... I będziesz cała hańbą, i bluźnieniem, i przykładem, i strachem, i śmiercią!...

Podniósł trzęsące się ramiona do góry ponad głową Racheli. Ona gięła się ku ziemi w niewymownym lęku. Odpowiadała jeno cichem jęczeniem.

Nagle porwała się, otwarła drzwi i znikła.

— Rachel! — krzyczał rabin.

Ale ona już była daleko. Uciekła od klątwy bez tchu, a za nią biegło tej klątwy echo i mroziło krew w żyłach...

Starzec pozostał sam. Plecami oparł się o ścianę i dyszał ciężko, a potem zwolna czołgał się raczej niż szedł do stołu. Przypadł do niego twarzą, bezsilny; cały drgał łkaniem, które mu pierś rozrywało.

IX.

Im bardziej rosło oburzenie szlachty na samowolne uwięzienie Łyszczyńskiego, im bardziej mnożyły się zabiegi, aby go uwolnić, tem silniejszą stawała się zaciętość Brzostowskiego biskupa.

Nie ustąpię! — wołał — ustąpić nie mogę, bo chybabym sam w niewolę szlachecką szedł!

Przyszło nawet do ostrego starcia, pomiędzy nim a hetmanem Sapiehą, który teraz pokonany argumentami nadwornego marszałka, niefortunną swą interwencję w schwytaniu Łyszczyńskiego wielką gorliwością w jego sprawie wynagrodzić usiłował. Nie mogąc wszakże nic wskórać, albowiem biskup stanowczo oświadczył, że przed orzeczeniem Akademii o skryptach Łyszczyńskiego i przed wyrokiem duchownym wolności więźniowi nie wróci, wraz z panem Lubomirskim do Warszawy wyjechał, iżby tam u króla poprzeć suplikę przez Łyszczyńskiego wniesioną.

Zrazu Kazimierz supliki tej wnieść nie chciał i podpisać się wzbraniał, treść bowiem, ułożona na wspólnych naradach podkomorzego Pocieja, hetmana i marszałka, zdawała mu się zbyt korną i odwołującą to, co przekonaniem swojem być mienił.

Ale czego dokonać nie mogły perswazje i prośby przyjaciół, którym czasem biskup odwiedzić więźnia pozwalał, tego dokazały wreszcie samotność i ciemnica więziennego lochu. Zrazu opanowała go martwa obojętność, przerywana jeno wybuchami niemocnego gniewu; krzepiło go też chwilami przeświadczenie, że tak długo trwać nie może, że biskup rychło uznać będzie musiał, jako postąpił wbrew prawu, i wróci mu wolność. Ale mijały dni i tygodnie bez zmiany żadnej; nawet odwiedziny przyjaciół ustały i Łyszczyńskiemu zdawało się, że o nim świat zapomniał, że jest skazany na śmierć w tej wilgotnej ciemnicy. O Racheli nie miał wieści pewnej. Na jego prośby Szółkowski wywiedział się i doniósł mu, że wnuczka Betsalowa znikła z Wilna i jak mówiono, do Warszawy, do rodzica ujechała, nie chcąc żyć z Baruchem. Wieść ta na moment rozradowała go, ale wnet tem dotkliwiej dało mu się uczuć uwięzienie. Pragnął biec za nią, odszukać, przebłagać, i szamotał się niemocny w swej celi, złorzecząc Bogu i ludziom. Szółkowski doniósł mu także, jako Zochna po przebyciu ciężkiej niemocy, zamieszkała w Markowszczyźnie, biskup zaś uznał ślub jej z Jesmanem za nieważny, księdza Burbę na pokucie w klasztorze osadził, a chorążemu Jesmanowi, który o dyspensę dla syna ubiegać się chciał, odrzekł stanowczo:

— Teraz z tego nic... Ani nawet słuchać chcę o dyspensie! Rozmnożyły się obyczaje złe, występne, i jeno surowość, a ścisłe przestrzeganie przepisów może je oczyścić...

Ale to mniej Łyszczyńskiego obeszło; widział w tem tylko jeszcze jeden dowód więcej zawziętości na siebie biskupa.

Tymczasem jednak sąd duchowny śpieszył. Protestacje szlachty, wystąpienie trybunału litewskiego, groźna postawa hetmana Sapiehy i marszałka Lubomirskiego, wszystko to dawało do poznania Brzostowskiemu, że tak łatwo, jak mniemał, nie upora się z Łyszczyńskim. Chodziło mu teraz jeno o to, aby Akademja wileńska wydała orzeczenie o treści przychwyconych skryptów, i żeby biskupi na tej podstawie ogłosili swój wyrok. Nie można się było łudzić, aby wyrok taki mógł być wykonany, ale mógł on niewątpliwie stanowić ważną podstawę do wyroku sądu świeckiego w sejmie czy w senacie. Niewątpliwą bowiem stawało się rzeczą, że sprawa Łyszczyńskiego będzie podniesiona na sejmie, który właśnie z końcem stycznia 1688 roku zwołany był do Grodna. Miał on uchwalić dalszą pomoc dla wojny świętej z Turkami, do czego stronnictwo francuskie z królową na czele dopuścić nie chciało. To też już przy obiorze marszałka wszczęły się niepokoje; musiano wybór ten zawiesić i przystąpić do rugów poselskich, co jeszcze większe wywołało wzburzenie. Wśród tych zatargów, stronnictwo dworskie usilne czyni zabiegi, iżby królewicowi Jakóbowi dozwolono zasiąść przy królu na tronie, pod baldachimem, na uroczystem posiedzeniu obu izb, senatorskiej i poselskiej. Ale sama propozycja ta wywołuje ogromną wrzawę.

— To już wyraźne dążenie do *absolutum dominium*, do zapewnienia sukcesji tronu... To zamach na prawa nasze!

Tak krzyczy szlachta, a najmożniejsi senatorowie, przeciwni domowi Sobieskich, wszelkiemi siłami podtrzymują tę wrzawę i wiążą się stanowczo w tajny

spisek, dążący już wprost do detronizacji Jana III, gdyby on poważył się za życia swego wyznaczyć lub choćby tylko wskazać następcę.

Stronnictwo dworskie, wietrząc ów spisek i widząc, że swych celów nie osiągnie, postanawia sejm zerwać. I oto 5 marca posłowie sandomierski Drohojowski i podolski Makowiecki wychodzą z protestacją z Izby... I tak po raz pierwszy sejm jeszcze przed obiorem marszałka spełzł na niczem... A sprawa Łyszczyńskiego zeszła z uwagi i pamięci...

Jednocześnie jednak sąd duchowny wydał na niego wyrok. Akademja wileńska potępiła skrypta jego, jako bluźniercze, a biskupi wydali orzeczenie, potępiające, aby teraz sąd świecki zastosował oznaczoną za taką zbrodnię karę — karę śmierci przez spalenie na stosie.

Zawiadomiony o tem hetman Sapieha poleciał wnet do Brzostowskiego.

— Przecież Przewielebność Wasza — rzekł — nie może przypuszczać, iżby wyrok taki...

— Mam w Bogu nadzieję, — odparł biskup — że sam natchnie posłów i senatorów, aby w obronie czci Jej świętej stanęli.

— Zważcie, księże biskupie, — ciągnął dalej porywczo hetman — że Łyszczyński od miesięcy kilku bezprawnie w więzieniu jest trzymany...

— Spełniłem obowiązek! — przerwał znów Brzostowski: — nic, jeno obowiązek. Teraz zaś, gdy już wydany jest wyrok, który po wszystkich świątyniach czytany będzie, teraz zdaję wam, mości wojewodo, straż i opiekę nad więźniem...

Klasnął w dłonie i rozkazał sprowadzić Łyszczyńskiego.

Za moment dwóch strażników więziennych wprowadziło go do komnaty.

Sapieha, ujrzawszy go, omal nie krzyknął, tak do niepoznania zmieniony był ten człowiek do niedawna pełen siły i życia. Włosy i broda, osiwiałe, skudłaczone, długie, spadały mu w nieładzie na ramiona i piersi. Na twarzy zczerniałej, wyschłej, z zapadłemi policzkami, paliły się jeno oczy gorączkowym blaskiem. W całej postaci zgarbionej, jakby złamanej, znać było przygnębienie ogromne, objawiające się także w ruchach powolnych, ociężałych, jak sennych. Przyodziany był tak samo, jak wówczas, gdy go schwytano, ale odzież ta, wilgocią lochu przesiąkła, rozpadła się nieledwie w łachmany.

Wszedł z głową pochyloną i zmrużonemi oczyma, raziła je bowiem światłość dzienna, od której w ciemnicy odwykły. Ujrzawszy biskupa, żachnął się; blade usta zacisnęły się u kątów.

— Odczytano ci wyrok? — spytał biskup.

Łyszczyński milczał.

— Przecz-że nie chciałeś złożyć wyznania wiary, kiedyśmy cię do tego wzywali?...

Nie było odpowiedzi.

— Opamiętaj się, człowieku! — ciągnął biskup, usiłując nadać swemu głosowi jak najłagodniejsze brzmienie. — Wyznaj, żeś zbłądził, pokutę czyń, a może i przebaczenie uzyskasz, albowiem Pan nie chce śmierci grzesznika, jeno żeby się nawrócił i żył...

Mówiąc to, przystąpił bliżej do Łyszczyńskiego i chciał mu rękę na ramieniu położyć.

Kazimierz gwałtownie się cofnął i aż o ścianę plecami się oparł, wyiskrzonym wzrokiem mierząc biskupa.

— Nie tykaj mnie!... — krzyknął głosem przeraźliwym, ochrypłym, który zdawał się z pod ziemi wychodzić,

Brzostowski zbladł, ale wnet miarkując się, rzekł do Sapiehy:

— Widzisz, mości wojewodo, to szalony człek... rady z nim niema. Zaiste opętany jest...

Sine usta Łyszczyńskiego poczęły drgać, krzywiąc się w uśmiechu szyderczym. Zdawało się, że za moment padną z nich obelżywe słowa, a on sam rzuci się na biskupa z pięściami, które kurczowo zaciskał.

Sapieha żywo przystąpił do niego.

— Mości Łyszczyński! — ozwał się, zapobiegając wybuchowi. — Oto ksiądz biskup wolność wam zwraca... od dziś jesteś waćpan pod moją...

Chciał powiedzieć: strażą, ale się poprawił i rzekł:

— Pod moją opieką.

Kazimierz nieufne rzucił mu spojrzenie, ale nie odpowiedział nic. Stał ciągle oparty o ścianę i dyszał ciężko.

A Sapieha tymczasem żegnał Brzostowskiego, poczem rozkazał stróżom więziennym odprowadzić Łyszczyńskiego do swego pojazdu. Ten obojętnie poddawał się wszystkiemu; gdy go jednak wyprowadzono na świeże powietrze, jęknął zachwiał się i runął na ziemię zemdlony.

Pierwszych dni hetman mniemał, że z Łyszczyńskiego nie będzie już nic. Ogarnęła go obojętność

i nieczułość na wszystko. Pożywienia nawet odmawiał, mówiąc:

— Umrzeć chcę!

Czyż można było przypuszczać, aby ten człowiek kiedykolwiek jeszcze był zdolny porwać się do jakowegoś czynu, albo dać się użyć do takiej roboty, o jakiej myśleli Lubomirski i Sapieha? Zdawało się to prawie niepodobieństwem. Łyszczyński po dniach całych prawie siedział pogrążony w zadumie, patrząc bezmyślnie na tłumy, snujące się wokoło wspaniałego pałacu na placu Sapiehy na Antokolu.

Ale zczasem tłumy te zaczęły go zajmować. Wiedział, że ci ludzie przychodzili tam dla niego, jedni z ciekawości, inni ze szczerego współczucia dla biskupiego więźnia. Raz, gdy się podniósł z krzesła i wychylił przez okno, wzniosły się ku niemu ramiona i okrzyki. Cofnął się zaraz, myśląc z goryczą:

— Niedawno ciskano na mnie kamieniem, niedawno wołano: «Czarownik!» — a teraz wielbią... Taka jest dusza tłumu...

Ale zarazem nie mógł się oprzeć uczuciu zadowolenia, że jest tak głośny i sławny, i to uczucie poczęło go budzić do życia.

Pewnego poranku ujrzawszy pod oknami kilku dawnych swych uczniów, zbiegł natychmiast ku nim, począł ich witać i ściskać, a potem na ich zapytania, jak mu jest teraz, czy silnym i zdrowym się czuje, odparł:

— Dobrze mi jest... bo czuję, żeście mnie nie odstąpili, że nie na darmo myśli swoje przelewałem w wasze umysły... że nie na darmo cierpiałem i cierpię prześladowanie.

— Nie będziesz już cierpiał, nie damy cię! — zabrzmiały głosy.

Łyszczyński uśmiechnął się i mówił dalej z rosnącym zapałem:

— Potępiono mnie wyrokiem, jako w Boga nie wierzę! A to raczej sędziów moich potępić należy, albowiem oni wierzą źle i fałszywie nauczają!

I zbliżając się do znanych sobie młodzianków, dodał z mocą:

— W ciemnicy biskupiego więzienia myślałem dużo... Na pytania sędziów: czy wierzę w Boga i jak sobie wyobrażam jego istotę? — nie dawałem odpowiedzi, alem w myśli odpowiadał. I oto jest respons, który zachowajcie w pamięci: W każdym rodzaju tworów, czy istot, jest jedna taka istota — *Ens* — najdoskonalsza. I tak w rodzaju gwiazd najdoskonalszem jest słońce... w rodzaju zwierzęcym najdoskonalszym tworem jest człowiek, w rodzaju istot umysłowych, duchowych... *in genere Entium Intellectualium datur Ens perfectíssimum, quod est Deus!*

— Nie dozwólcie mu prawić! on bluźni!—krzyknął nagle dobrze znany Łyszczyńskiemu głos ojca Gedeona Brzoski, który, idąc tędy z kościoła św. Piotra, ujrzawszy jakoweś zbiegowisko przy Sapieżyńskim pałacu, zatrzymał się i nasłuchiwał.

A teraz szedł ku Kazimierzowi z rozpłomienioną twarzą, groźny:

— Jak śmiesz! — krzyczał — zatruwać młode dusze jadem niewiary! Co to jest to twoje *Ens?* — istota bez bytu!... To jest Bóg twój!...

Łyszczyński, bardzo blady, czekał w milczeniu z zaciśniętemi ustami na zbliżającego się jezuitę, ale

czuł, że w nim zbiera dawna zapalczywość i dawna ochota do zaciekłych dysputacyj. Nastała cisza, ale młodziankowie owi, którzy najbliżej Kazimierza stali w obawie, iżby do jakiego starcia między nim a wzburzonym mnichem nie przyszło, ujęli Łyszczyńskiego pod ramiona i nieledwie przemocą do pałacu wprowadzili.

Kazimierz śmiał się szyderczo.

— Proszę do mnie na dysputację, jeśli łaska... Zobaczym, kto silniejszy! — wołał do ojca Gedeona, który, nie odpowiadając, cały drżący, z oburzenia, do hetmana ze skargą podążył.

Sapieha bardzo był niekontent.

— To jest rzecz niesłychana — mówił jeszcze tego dnia do Kazimierza. — Co też waćpan wyprawiasz? Szalony jesteś. Ledwom cię z kaźni biskupiej wyciągnął, a ty znów w nią leziesz, nie pomnąc, jako niby pod moją jesteś strażą! I co waści do głowy przyszło na ulicy jakoweś kazania prawić?... Głowę ci zawracają teologiczne sprawy, a tu są ważniejsze... Mniemałem, jako waćpan, mając siostrę, zbliżoną do margrabiny Ludwiki, zechcesz dopomóc nam, iżby ta córka Bogusława Radziwiłła, wraz z Jakóbem Sobieskim na tronie polskim nie siadła, a waćpanu jakoweś niedorzeczne *Entia*, w głowie, na które żali się okrutnie ojciec Gedeon Brzoska...

Na zbladłą twarz Łyszczyńskiego wybiegły ceglaste rumieńce.

Niespodziewane spotkanie się z ojcem Gedeonem, bratem jego zaciętego wroga, i wzmianka o Bogusławię Radziwille wzburzyły mu krew, przywodząc przed oczy całą przeszłość bolesną.

Porwał się z miejsca.

— Co mam uczynić? — spytał gwałtownie.

— Jechać natychmiast do Poczdamu, kędy elektor dogorywa, a może już i zmarł. Tam wejść w porozumienie z siostrą i innymi, którzy są sprawie naszej przychylni, jako doradca zaufany kurfirsta Chwałkowski Samuel, jak książę Anhalt-Dessau, księżna Radziwiłłowa... Do elektora, Chwałkowskiego i Radziwiłłowej listy-bym waćpanu dał...

— Jadę! — zawołał żywo Łyszczyński.

I nazajutrz, skoro świt, zaopatrzony w listy przez hetmana, puścił się w podróż.

X.

W pałacu elektorskim w Poczdamie od samego rana panował ruch niezwykły. Zaledwie wzeszło jasne, wiosenne słońce, a już tłumy cisnęły się do bram zamkowych, z natarczywem pytaniem na ustach:

— Co z elektorem?... żyw-li jeszcze?

Był w tych pytaniach niepokój, rodzaj trwogi; nie było serca. Spółcześni nie zdawali sobie jeszcze dokładnie sprawy ze wszystkiego, co Fryderyk Wilhelm dla przyszłej potęgi Brandenburgji uczynił; na wszystkich zaś ciężyła jego bezwzględna, silna dłoń, jego nieubłagany despotyzm. Byli też tacy, którzy śmierci jego oczekiwali, jak wybawienia; inni znów nie mogli uwierzyć, aby ten srogi, dumny pan, otaczający się niebywałym dotychczas przepychem, który ukazywał się tłumowi tylko w blaskach majestatu, wśród wspaniałej straży przybocznej i strojnych dworzan, który od pół wieku blisko siał wokół siebie postrach i grozę, aby on mógł przestać istnieć.

A jednak śmierć potężna i nieubłagana kładła już wyraźne swe piętno na dumnem obliczu Fryderyka Wilhelma. Ogromne, opuchłe, miało cerę ziemistą; oczy straciły blask, zasnute szklistą mgłą; z ust

bladych, półotwartych wydobywał się zduszony, szybki oddech, a czasem chrypliwy jęk.

Lekarze nie czynili już żadnej nadziei. Wodna puchlina, z którą od lat wielu walczył elektor, wzięła wkońcu przewagę i zbliżała się do serca, które szybkiem, urywanem, przerażonem tętnem tłumiło oddech.

Całą noc trwała duszność okropna. Wsparty na poduszkach, w wysokiem, poręczowem krześle, Fryderyk Wilhelm zdawał się chwilami konać. Ale wtedy ostatnim wysiłkiem porywał się, usiłował prostować i wołał:

— Nie!... nie!...

W zamku czuwali wszyscy. Ale w sypialnej komnacie elektora niewiele było osób. Zawiadomiona o coraz groźniejszem niebezpieczeństwie, druga małżonka jego, Zofja Dorota, weszła była na moment, ale Fryderyk Wilhelm niespokojnie rzucał się począł i, spoglądając na najstarszego syna swego z pierwszego małżeństwa, Fryderyka, który z macochą w otwartej był wojnie, jęczącym głosem wyszeptał modlitwę swej pierwszej małżonki, którą zawsze miłował, Ludwiki Orańskiej:

— *...O, Jesu, meine Zuversicht!*

Ostre, suche, szpetne rysy Zofji Doroty, wykrzywiły się szyderczo; nienawistnym wzrokiem zgasłych swych oczu obrzuciła pasierba; krótką chwilę stała pochylona nad krzesłem małżonka, lecz gdy ten raz jeszcze powtórzył:

— *Herr Jesu, meine Zuversicht!* — głowę dumnie wzniosła do góry i nie rzekłszy słowa, wyszła.

Elektor patrzył na nią wzrokiem, który z poza szklistej mgły ciskał teraz błyski gniewu.

— Tfu! — splunął.

I swoim zwyczajem wyszeptał ze złością rodowe nazwisko Zofji Doroty:

— Sonderburg Glücksburg... tfu!...

Ta złość zdawała się go ożywiać. Głosem niemal czystym zawołał:

— Fritz!

Z wielkiem uszanowaniem, ale bez pośpiechu, a z pewną przesadną ostentacją, zbliżył się Fryderyk i pochylił do ręki rodzica. Wnet podniósł głowę, lecz na jego bladej, jakby nalanej twarzy nie znać było wzruszenia. Oczy wielkie, nieco przymglone, patrzyły w przestrzeń; wąskie usta były zaciśnięte; cała postać wątła, szczupła, nosiła piętno chorobliwości, tem widoczniejsze, że lewe ramię młodego księcia, skutkiem upadku w dzieciństwie, było nieco od prawego niższe, i ręka zwisała jakby bezwładnie. Czując to upośledzenie swoje i brak siły w wątłem ciele, Fryderyk to wybuchał często zawziętym gniewem, to unosił się pychą, to złudnym uśmiechem i obietnicami, kompromisów i poparcia szukał.

Fryderyk Wilhelm długi moment patrzał na niego sztywnie, przenikliwie. Snadź w głowie umierającego elektora walczyły z sobą myśli sprzeczne, pełne niepokoju, snuły się podejrzenia i wątpliwości. Wszak niedawno pomiędzy tym synem, następcą jego, a macochą wybuchła zacięta walka, skutkiem której młody Fryderyk wraz z małżonką opuścił kraj i wyjechał do Karlsbadu, skąd powrócił pod groźbą gniewu i niełaski rodzica, ale z macochą się nie pojednał i nie przestał rzucać na nią oskarżenia, że ona to zgładziła trucizną ze świata młodszego brata jego Ludwika, ce-

lem powiększenia dziedzictwa swych własnych dzieci. I powróciwszy, nie chciał z nią mieszkać pod jednym dachem, lecz osiadł w Köpenick w przekonaniu, że Zofja Dorota będzie teraz dybała na jego życie, aby swemu pierworodnemu utorować drogę do następstwa.

Ta walka zatruwała starość elektora, a teraz, w tej ostatniej godzinie, napełniała trwogą o przyszłość, którą on już kierować nie będzie mógł.

Ujął syna za rękę i przyciągając ku sobie, szepnął:

— To nieprawda, Fritz, to nieprawda!

Po twarzy Fryderyka przemknął błysk. Domyślił się odrazu, o czem rodzic mówić chciał. Zaciął jeszcze bardziej usta i milczał.

Elektor potrząsnął syna za rękę i powtórzył głośno z naciskiem:

— Nieprawda!

I mówił dalej szeptem urywanym:

— Musiałem zabezpieczyć przyszłość tamtych dzieci... przeznaczyłem dochody, ale bez żadnych praw... Tobie wszystko, ty pan, ty — król...

Przy ostatnim wyrazie znów spojrzał bystro na syna. Ten stał nieporuszony, trochę jeno bledszy niż zwykle. Zamglony wzrok elektora dostrzec nie mógł lekkiego, jakby triufującego uśmiechu, który przemknął po zaciśniętych wargach Fryderyka.

— Zostawiam ci — ciągnął po chwili — we dwójnasób więcej, niźlim wziął... Idź dalej tą drogą... Nikomu nie wierz, a szukaj sprzymierzeńców, aby ich trzymać na wodzy... Do królewskiej korony dąż, ale bez ofiar... Samodzielnym bądź...

Olbrzymie ciało elektora poczęło drżeć i znowu z poza szklistej mgły, przesłaniającej jego oczy, strzeliły błyski gniewu. Szarpnął za rękę syna i przyciągnął go ku sobie. Mówił teraz zdławionym szeptem:

— Pragniesz być królem... i jam tego pragnął... alem się strzegł, by w zawisłość nie popaść. Ty zaś... *o, Herr Jesu!...* ty zaś już teraz w konszachty wszedłeś... z cesarskim dworem!..

Żachnął się Fryderyk i usiłował wyzwolić swą rękę z uścisku elektora.

— Nie! nie! — protestował.

Ale elektor trzymał jego rękę, jak w kleszczach.

— Tak! — zawołał: — nie kłam! Zawarłeś z cesarzem układ tajny o zwrot wcielonej przeze mnie do Brandenburgji ziemi Świebodzińskiej!... Układ tajny... na wypadek mej śmierci... o!...

Głowa elektora opadła na poduszki; zniemożony puścił rękę syna, przymknął oczy i dyszał ciężko, chrypliwie.

Przybieżono na ratunek, a Fryderyk prostował swą postać. Był w tym momencie blady jak trup. Wytrzeszczone oczy wyrażały przerażenie ogromne i zdumienie: skąd rodzic powziąć mógł wiadomość o jego tajnym układzie z cesarzem Leopoldem? Zawarł go, aby sobie zaskarbić łaski i poparcie w dążeniach do królewskiej korony, aby zabezpieczyć się przeciw knowaniom macochy, które mogłyby stać się groźnemi w razie śmierci elektora. A teraz, gdyby Fryderyk Wilhelm, jak to już się nieraz zdarzało, niespodziewanie ozdrowiał, groziło mu nowe i większe niebezpieczeństwo. Elektor, zawiadomiony o tajnym układzie syna, nie przebaczyłby mu tego nigdy. Raczej z Zofją Dorotą

i jej dziećmi sprzągłby się na szkodę swego następcy...

Kornie tedy i czule przypadł Fryderyk do kolan rodzica. A on na chwilę obudził się z martwoty. Dźwignął głowę, oczy otworzył ogromne i powiódł niemi po zgromadzonych. Niecierpliwym ruchem ręki dał znak, aby się usunięto. Położył dłoń na głowie syna i rzekł:

— Wstań!... teraz nie pora... czas drogi.

Fryderyk powstał z pochylonem czołem, nie śmiąc spojrzeć rodzicowi w oczy.

Elektor zaś mówił dalej;

— Układ zniwecz... jeśli będziesz mógł zniwecz! albo podnieś inne w zamian pretensje na Śląsku... Nie naciskaj... ale niech się wleką... to zawsze przydać się może... Z Francją jest przymierze... gliniane... Nie odrazu je kruszyć, ale powoli, tak, aby Ludwik nigdy pewny nie był. Z Wilhelmem Orańskim w ścisłej przyjaźni dążyć do oderwania Anglji od Francji... To łatwo, bo Jakób angielski padnie lada dzień, a wówczas i przewaga Francji zniknie... A wówczas wojna!... Plany moje znasz... Armja brandenbursko-holenderska na Paryż... o! o! *Herr Jesu!*

Urwał, przymknął oczy i dyszał ciężko. Ale pomimo cierpień usta elektora uśmiechały się jakimś dziwnym, napoły szyderczym, napoły triumfującym uśmiechem. Przebiegał teraz w myśli wszystkie swoje plany, czuł, że były dobre, że już nawet częściowe ich spełnienie uczyniło z małej, lenniczej Brandenburgji państwo niezależne i rosnące w siły, a dokonanie reszty miało przynieść potęgę i blask monarszy królestwu Pruskiemu. Ale wnet ogarnęła go trwoga, że

te wymarzone jego plany może zgubić słabość, niedołęstwo następcy... Dźwignął się i znowu wytrzeszczonemi oczyma patrzył przenikliwie na ciągle pomieszane i niepewne oblicze syna.

— Umiej czekać... — szepnął. — Korona sama do ciebie przyjdzie, gdy będziesz silny... Jest wielka moc w takiem czujnem czekaniu... Ja umiałem czekać, mając oczy otwarte, aby z każdej sposobności korzystać... O!... o!... naprzykład z Polską!...

Usta elektora wykrzywił uśmiech; ciało poruszyło drganie; prawa ręka ściskała kurczowo poręcz fotelu.

Szeptał urywanemi słowy:

— Polska! Polska!... Król bohater... pogromca Turków pod Chocimem i Wiedniem... Sława jego tak wielka, że mu zasłoniła świat... tak błyszcząca, że go poraziła ślepotą... ha! ha!...

Był straszny. Na blade, opuchłe policzki wybiegły ceglaste rumieńce, stalowe błyski przeszywały szklistą mgłę oczu, dreszcz coraz gwałtowniejszy nim wstrząsał; w kątach ust ukazała się piana. Krztusił się, parskał, chwytając powietrze do zduszonej piersi, z której wydobywał się świszczący oddech. Wielkie krople potu ukazały się na czole.

Fryderyk przerażonym wzrokiem rzucał dokoła, bezradny, a do elektora pośpieszył lekarz przyboczny, oraz ochmistrz młodego księcia Eberhard Danckelmann.

Ale za moment Fryderyk Wilhelm oprzytomniał.

— Dusi... — szepnął — strasznie dusi...

— Mówienie szkodzi — rzekł lekarz — trzeba zupełnego spokoju...

Elektor niecierpliwie ręką machnął.

— Mówić muszę! — przerwał — a na spokój przyjdzie czas...

Patrzył teraz sztywnie na Danckelmanna, na którego wyrazistej twarzy malowało się prawdziwe wzruszenie. Ten ochmistrz młodego Fryderyka posiadał zupełne zaufanie elektora i do niego był mocno przywiązany. Czuł on, że ze śmiercią Fryderyka Wilhelma rozpocznie się dla niego ciężka walka, jeśli nie z samym następcą, to z małżonką jego, dumną Zofją Karoliną, która go nienawidziła. On też może jedyny w całem otoczeniu najbardziej był w tym momencie strwożony i zbolały.

— Miłościwy panie! — szepnął z prośbą w głosie— błagamy o spokój...

Elektor, jakby tej prośby nie słyszał, ujął go za rękę i przyciągnął...

— Czekaj-no, Danckelmann, czekaj...

Szukał widocznie jakiejś myśli, która się urwała. Wzmagała się w nim gorączka; policzki pałały, a błyszczały oczy. Opuchłemi rękoma rzucał i mówił bezładnie:

— Pomnisz, Danckelmann, pomnisz wojnę pomorską... Szwedów moc... potęga wielka... dzielny żołnierz... dzielny wódz, Wrangel... Zajęli Brandenburgję... idą na Magdeburg... O, *Herr Jesu!*... Ale ja z Derfflingerem zajmujemy pierwej Magdeburg... Stamtąd dalej... na Ratenów, w sam środek szwedzkiej nawały... Strach! strumienie krwi... ale Ratenów nasz... A potem pod Fehrbellinem... Sam Derfflinger stchórzył... Deszcz... mgła... ciemno... Derfflinger powiada: «Nie można — zginiemy!...» A ja każę iść... Cały pułk szwedzki wycięty

w pień... Morze krwi... Ale Fehrbellin nasz... szwedzka potęga skruszona... ha! ha!...

Danckelmann znowu się pochylił.

— Miłościwy panie... — zaczął.

— Milcz! — krzyknął elektor, i dodał szeptem: — Zbliż się... bo ciebie nie widzę... bliżej... jeszcze bliżej...

Danckelmann ukląkł przy samym fotelu.

Fryderyk Wilhelm, zsuwając się na poduszkach, usta swe zbliżył do ucha ochmistrza.

— Słuchaj ty — szeptał; — tam nie o Szwedów tyle chodziło, co o Francję, która ich wspierała... Upokorzyłem Ludwika, który jednak dalej knuł... I był moment straszny. W zmowie z Polską byliby mnie zgnietli... Sobieski... o, bohater, król, do Gdańska sam zjechał i zawarł tajny układ z Francją i ze Szwecją; aby razem na mnie... aby Prusy Książęce wziąć!... ha! ha!... Byłby wziął!... Ale się nie dopatrzył... jam go złudził i uporałem się ze Szwedem, a z Francją czułe zawarłem przymierze... Byłby wówczas Sobieski wziął Prusy i znowu silnie stanąłby na Zachodzie, a teraz, pomimo wszystkich wiktorji, z których kto inny korzysta, zepchnięty jest na Wschód... tak!... ha, ha!... Ale to był straszny moment, gdym się o tej zmowie dowiedział... straszny... Otóż słuchaj, Danckelmann... Ja się lękam, że Fritz może takiej chwili nie dopatrzyć... On jest słaby... ty go umacniaj... niech idzie tą samą drogą. Polskiego wpływu na Zachód nie dopuszczać... na Wschód! na Wschód!... niech tam sobie będzie bohater... ha! ha!... Francuzów protestantów, edyktem nantejskim wygnanych, za moim przykładem tu garnąć... przyciągać; niech się Ludwik złości bez-

silnie!... Z cesarstwem ostrożnie... Świebodzina nie dać... Żadnych ustępstw dla korony królewskiej... Ona sama przyjdzie... sama!...

Dreszcz go chwycił silniejszy, że szczęki obijały się o siebie z chrzęstem.

— Boję się, Danckelmann, — szeptał — boję się...

W tym momencie drzwi się otwarły, i na progu stanęła Ludwika Karolina, córka Bogusława księcia Radziwiłła, niedawno owdowiała małżonka margrabiego Ludwika, młodszego syna elektora.

Zdawało się, że mroczna komnata sypialna rozjaśniła się nagle od tej postaci, tyle w niej było blasku, wdzięku i uroku młodości. Pomimo szat żałobnych, które ją okrywały, pomimo widocznego przerażenia w dużych szafirowych oczach, spoglądających z trwożnem wahaniem na drgające ciało kurfirsta, wyglądała jak jutrzenka, rozpraszająca ponury mrok tej komnaty. Pierwszy promień wschodzącego słońca przedarł się przez szczelnie osłonione okno i padł jasną smugą u jej stóp, jakby hołd składał tej cudownej niewieście, która w dwudziestym pierwszym roku życia miała twarz i uśmiech nieświadomego dziewczęcia, w oczach głębie tajonego uczucia, kształty dorodne a ponętne dorosłej kobiety.

Na uczyniony szelest elektor dźwignął głowę i błędnemi oczyma wpatrzył się w synowę. Coś nakształt uśmiechu wykrzywiło mu grube wargi.

— Królowa — szepnął — królowa!...

I znów pochylił się do ucha Danckelmanna.

— Z moim Ludwikiem mogłaby może być królową polską... Ale teraz nie... Sobiescy będą znów czynili zabiegi o jej rękę... Nie dopuścić!... słysz, Danckel-

mann: nie dopuść! Oniby chcieli tem małżeństwem umocnić się... dynastję utworzyć... ha! ha! słysz, Danckelmann, dynastję!... Prze Bóg nie dopuścić! Ty będziesz strzegł... To najbogatsza w Europie dziedziczka: cztery mocne twierdze: Słuck, Kopyl, Siebież i Birże... gdyby wpadły w ręce Sobieskim, to kto wie? ufundowaliby dynastję, a do tego dopuścić nie lża!... nie! Słysz Danckelmann, na twoje sumienie... Słysz! na duszę twoją!...

Konwulsyjnie rzucał się elektor, ale już nie słabnął. Jakaś trapiąca myśl dodawała mu siły... Dźwignął się i znowu spojrzał na synowę, która u progu stała, onieśmielona, wahająca się, zdławiona dusznem powietrzem tej komnaty, zalękniona przeczuciem zbliżającej się tu śmierci.

Fryderyk Wilhelm dał znak ręką, i ona szła ku niemu zwolna, z głową pochyloną; szła po jasnej smudze słonecznej, która się rozesłała pod jej stopami, sama jak zorza piękna.

Danckelmann z uszanowaniem usunął się, a na miejscu ochmistrza przyklękła teraz Ludwika. Elektor wciąż patrzył na synowę, ta zaś, pochylając się, chciała złożyć pocałunek na jego nabrzmiałej, sinej ręce.

Ale Fryderyk Wilhelm rękę usunął i składając ją na głowie Ludwiki, począł gładzić jej bujne, jasne włosy.

— Miłościwy panie... — zaczęła.

— Mów mi: ojcze! — przerwał elektor. — Wszak ty, synowa moja, a córka ukochanego krewnego, Bogusława Radziwiłła... On mi cię powierzył, a ty masz powolną mi być... we wszystkiem, i teraz... i po mojej śmierci...

— Och, ojcze!... — westchnęła Ludwika.

Ale on mówić jej nie dozwolił, lecz przyciągnął ją bliżej ku sobie, i stanowczo, chociaż szeptem kończył:

— Musisz posłuszną być!... Otóż słuchaj, coć rzekę... Za żadne skarby świata religji swej ewangelickiej nie odstąp. Łacinników, papieżników strzeż się! Inaczej pomsta, klątwa na duszę twoją! Taka była wola rodzica twego... taka jest i moja!... Przyrzeknij!

— Przyrzekam! — cicho odpowiedziała margrabina.

Elektor chwytał ustami powietrze. Ale nie spoczął; czuł, że mu śpieszyć się należało.

— Tak... tak — powtórzył — dobrze! Żałoba twoja kończy się wkrótce... będą zabiegi, będą... Ale ty ostrożną bądź... Oprócz marszałkowi swemu Chwałkowskiemu, który wierny mi jest, nikomu nie ufaj z Polaków... nikomu, zwłaszcza też temu... temu... Bielińskiemu, który tu posłem królewskim jest... On i inni nalegać będą, abyś poślubiła królewica Jakóba Sobieskiego... strzeż się...

— Teraz żałoba... — wtrąciła margrabina, bardzo pomieszana.

— I będzie druga... po mnie... — dokończył Fryderyk Wilhelm. — Tem się zasłaniaj, gdyby naglić chciano... gdyby tu może królewic przyjechał. Nie odmawiaj wyraźnie, ale się ociągaj, zwlekaj. Gdyby nawet Fritz zgodził się — zwlekaj... Tak uczynisz?

— Uczynię... — wyszeptała Ludwika.

Na obliczu kurfirsta znać było wysiłek myśli. Miał jakiś plan, z którym jednak zdradzić się lękał

Aż wreszcie zdecydował się. Cisnął teraz rękę margrabiny w swej dłoni i mówił:

— Jakób ten chorowity jest, kaleka, niedołężny... Nie dla ciebie to mąż...

Patrzał ciągle w twarz zbladłą synowej.

— Ja mam dla ciebie małżonka... mam!...

Znów urwał i za moment:

— Jan Jerzy książę Anhalt-Dessau nie mówił ci nic?... Radziwiłłowa nie mówiła ci nic?... — gorączkowo spytał.

Płomienie uderzyły na twarz Ludwiki.

— Mówili — odrzekła, głowę chyląc.

— Wizerunek masz?...

— Mam...

Elektor z trudem oburącz ujął głowę Ludwiki i podniósł ku sobie, badawczo i zbliska śledząc wyraz silnie zapłonionej jej twarzy.

— Karol Filip falcgraf Reński to dla ciebie mąż!... Młody, piękny, dorodny... Nie bogaty... ale brat cesarzowej... o!... a ty masz dużo, bardzo dużo... Z nim kiedyś i korona polska dostać ci się może... bo Sobiescy dynastji nie utworzą, nie! A przytem... szczęście... On piękny... piękny...

Wzrok elektora wpijał się chciwie w oblicze synowej, która, coraz silniej zarumieniona i wzburzona w sobie, oczy błyszczące przysłoniła ciemną rzęsą, niezdolna słowa przemówić. Pierś jej poruszała się gwałtownie, a rozchylały usta, bardzo różowe, wilgotne.

Tym razem elektor odpowiedzi nie żądał; wyczytał ją snadź w twarzy margrabiny. Chwyciła go znów duszność wielka; charczał. I już może nie czuł,

gdy na jego ręce margrabina złożyła gorący pocałunek, jak gdyby podziękowania...

Zdawało się, że ostatnia godzina nadeszła. Po ataku duszności nastąpiło omdlenie, a potem senność wielka.

— Nie przebudzi się już... — szeptano.

Tymczasem po południu Fryderyk Wilhelm ocknął się i widocznie wzmożony, głosem niemal silnym a rozkazującym rzekł:

— Tajna rada... Zwołać!

Mniemano zrazu, że mówi nieprzytomnie, ale on niecierpliwić się począł i opuchłą pięścią o poręcz krzesła bił.

— Zwołać!... — krzyczał ochryple — zwołać natychmiast!

Naprożno Danckelmann, Chwałkowski i inni zaufani, którzy tam byli, przedstawiali, że to będzie wytężenie nad siły, że zresztą nic takiego nie zaszło, coby zwołania tajnej rady wymagało.

— Jakto nie zaszło? — przerwał gniewnie kurfirst. — Rzecz bardzo niezwykła... Śmierć elektora, który był wielkim!... A co po nim? co po nim?

Była w tych słowach okrutna rozpacz człowieka, który o swoje dzieło się lęka a nikomu nie ufa, nikomu powierzyćby go nie rad, czuje zaś, że je na igraszkę losu pozostawić będzie musiał, w objęciach nieubłaganej śmierci, z którą walczyć daremno. Była w nich pycha ogromna, i piekące szyderstwo, piętnujące zarzutem niedołęstwa tych wszystkich, którzy po nim nastąpić mieli.

Dostrzegłszy też następcę swego Fryderyka, wnet dorzucił:

— Nieoględnym, niedołężnym, pobłażliwym wolno być tym, którzy mają silnie ugruntowane państwo... Ci, którzy je tworzyć chcą, muszą mieć siłę niezmożoną i oczy otwarte do ostatniego tchu... Pomnij, Fritz!

Zwiesił głowę na piersi i dyszał. Ale zpodełba rzucał zamglonym wzrokiem dokoła. I widział, jako stał się ruch w gromadce skupionych dworzan. Jeden drugiemu podawał rozkaz pana. Strojni szambelanowie na palcach wychodzili z komnaty, aby co rychlej zwołać członków tajnej rady do boku elektora.

On zaś jeszcze dodał:

— W wielkiej sali!...

W tym momencie wzrok Fryderyka Wilhelma zatrzymał się na małej wyschłej postaci niemłodego już mężczyzny, którego żółta, pergaminowa twarz mogłaby była zdawać się martwą, gdyby nie bystre, małe oczy, pełne blasku; te ją ożywiały, a teraz z jakąś dziwną ciekawością utkwione były w elektora, śledząc każdy jego ruch, każde słowo.

Był to uczony, nadworny historyk Fryderyka Wilhelma, Samuel Pufendorf.

Dziwny, bolesny i szyderski zarazem uśmiech wykrzywił wargi elektora.

— A! a!... — rzekł: — Pufendorf!... Kończysz już swoje dzieło... historję mego panowania... I do ostatniego momentu śledzisz... Dobrze tak... Napisz, że zostawiłem ustny i pisemny testament... oba zgodne. Ale ustny ważniejszy... Biada tym, którzy go nie dotrzymają!... Napisz, że do ostatniego momentu walczyłem... i żem śmierci się nie bał...

Zawarł powieki, głowę pochylił i oddychał z tru-

dem, głęboko. Wargi mu drgały, szepcząc bardzo cicho:

— A przecież boję się...

Z dziedzińca i korytarzy dochodziły echa głosów, szczęk oręża, tętent koni.

Elektor rozwarł oczy, poruszył się.

— Do okna!... — rozkazał.

Rozsunięto zasłony, i promienna jasność wiosennego poranku zalała odrazu komnatę. Teraz dopiero ukazało się oczom obecnych w całej swej okropności przedśmiertnej oblicze elektora. Znaczyły je sino-czerwone plamy, od których tem bardziej odbijała żółta barwa skóry, nabrzmiałej, naprężonej, która załamywała się w grube fałdy i pękała, sącząc posokę. Mrużące się od światła oczy, w głąb zapadłe, wyglądały wszakże ogromne, z nabrzmiałemi powiekami, okolone obwódkami czarnemi. Wargi opuchłe, sine, zwisały. Cała twarz wyglądała jak jeden wielki, napęczniały wrzód.

Na rozkaz elektora przysunięto fotel do okna. Za każdem, najlżejszem poruszeniem Fryderyk Wilhelm jęczał, ale ciągle naglił, niecierpliwił się i kazał jeszcze pod ramiona się dźwignąć, aby lepiej widzieć mógł. Rozkaz spełniono; podtrzymywali go wszyscy z trudem, a on na zbolałych, bezwładnych nogach słaniał się i całem ciałem drgał, prostując z wysiłkiem głowę, która się chwiała na wsze strony. Rękoma drżącemi chwytał za ramę okna i wytrzeszczonemi oczyma, z których łzy płynęły, chciwie patrzył.

Wielki dziedziniec przed pałacem zapełniony był niemal cały gwardją przyboczną i świetnym dworem elektora. Szpaler tworzył oddział pieszej straży przy-

bocznej, utworzonej z wychodźców francuskich, wygnanych edyktem nantejskim; poza nim jaśniał w blaskach słonecznych takiż oddział jazdy. Środkiem w otoczeniu służby dworskiej i szambelanów w mundurach, kapiących od złota, postępowali członkowie tajnej rady we wspaniałych także strojach, poważni, uroczyści...

A płaczące oczy elektora wyzierały ku nim z chciwością; wargi mlaskały, roztwierając się ciągle w ustawicznych drgawkach. A on chwiejąc się i drżąc, bełkotał:

– Szkoda, że tego Ludwik nie widzi... Cieszyłby się swoim edyktem... Za nantejski odpłaciłem mu poczdamskim... To było śmiałe... co? Pufendorf? I ot, widzicie? moi *Grands Mousquetaires* i moi *Grenadiers à cheval*... co, wspaniali?... Nie ustępują Ludwikowym... ha, ha! Szkoda, że tego nie widzi wielki francuski król... Ucieszyłby się... O... o... dawny jego marszałek, Schomberg... jaki świetny!... Teraz mój radca tajny i namiestnik pruski!... Tak trzeba... Oczy otwarte mieć i korzystać... Korzystać zwłaszcza z głupstw, które mądrzy czynią... Czyhać na nie... chwytać wlot... Mądry jest Luwik, a przecież z nantejskiego edyktu korzyść odniosłem ja... Berlin się wzmógł i dwa pułki mam!... Mądry jest Sobieski Jan i dzielny... o, bohater! Ale ja już nie lenny, lecz samowładny pan Prus... a on, ha, ha! zaplątał się w ligę i zepchnięty jest na Wschód!... Marzy o dynastji... ale jej nie utworzy... nie!...

I począł krzyczeć ochrypłym głosem:

— Nie! nie! nie!...

Ogarnęła go silna gorączka, bełkotał.

Usadowiono go tedy napowrót w fotelu, ale on wnet rozkazał:

— Na radę!

Przywołano służbę. Kilku najsilniejszych hajdudów z trudem dźwignęło fotel i niosło ku drzwiom na ścieżaj otwartym, przez które widać było lśniące mundury zgromadzonych dostojników.

W sypialni wnet szeroko otwarto okna. Świeże, ożywcze powietrze wtargnęło do wnętrza, wypierając ciężkie, duszne wyziewy, które tuliły się po kątach, lgnęły do obić i makat, lecz wypływały zwolna zatrutemi smugami na zewnątrz. Świegocące pod oknami ptactwo rozpierzchało się w popłochu.

Ale rada trwała krótko. Ostatni wysiłek zmógł elektora; ogarniała go coraz większa gorączka; majaczył. Tedy za poradą lekarzy zniesiono go napowrót do sypialnej komnaty, kędy znów szczelnie przysłoniono okna, chorego bowiem opanowała teraz senność.

Tak minął ten dzień cały i jeszcze jedna noc, pełna niepokoju i trwogi. Nikt w pałacu nie doznał spoczynku, a elektor to usypiał, to porywał się w okrutnej duszności.

Aż nastał znowu pogodny, wiosenny świt i z pierwszym promieniem słonecznym nastąpiła widoczna ulga. Duszność ustała zupełnie; oddech stał się spokojnym, cichym, senność trwała.

— Lepiej? — spytała zcicha Zofja Dorota nadwornego lekarza.

— Koniec cierpień... — odrzekł on, pochylając głowę.

Zofja Dorota przyklękła zgnębiona.

A zasłyszawszy to, stojący w pobliżu Fryderyk wzdrygnął się, lecz wnet dumnie podniósł czoło.

— Zwołać ministrów zboru! — rozkazał półgłosem — zażegnąć światła!...

Rozkaz wnet spełniono, a tymczasem z polecenia lekarza rozebrano elektora z odzieży i złożono na wielkiem łożu, na wzniesieniu, pod purpurowym baldachimem. Od wielu miesięcy po raz pierwszy spoczął Fryderyk Wilhelm na tem łożu; dla wielkiej bowiem duszności, noce całe, najczęściej bezsenne, spędzał w fotelu. Teraz leżał spokojny, cichy, bezwładny, ciągle pogrążony w śnie.

Za moment podwoje się otwarły, i weszło trzech kalwińskich pastorów. Zażegnięto gromnice, a oni stanęli nad łożem i półgłosem, monotonnie śpiewnym, poczęli czytać psalmy...

Aż nagle elektor otworzył oczy. Chwilę spoglądał wokoło, jakby nic i nikogo nie rozpoznawał, nieprzytomnie. Rękoma rzucał, czegoś wokół siebie szukając, i o własnej mocy dźwignął się...

— Co to? — wykrztusił — co to?... *Te Deum!* dla zwycięzcy z pod Wiednia?... ha! ha! Niech śpiewają... Zmieni się to w *De profundis*... Ale ty, Fritz, nie dozwól, nie dopuść... dynastji, nie!... Słysz, Fritz! Sobieski musi paść... I Rzeczpospolita musi...

Nie dokończył. Zacharczał. W piersi zakotłowało rzężenie tak głośne, jak kotłuje war, gdy wybiegnąć ma z rozsadzanego gorącem naczynia. Elektor całym ciężarem opadł na wezgłowia.

— Fritz! — wybełkotał — Fritz!...

Z ust potoczyła mu się krwawa piana; rozwarły

szeroko oczy; ciało wyprężyło się, zadrgało... Fryderyk Wilhelm już nie żył.

Z piersi Zofji Doroty wydarł się w tej chwili cichy jęk. Powstała z klęczek i chciała zbliżyć się do łoża. Ale ubiegł ją Fryderyk. Spojrzeniem nienawiści pełnem odtrącił, i zajął przy zwłokach pierwsze miejsce, nie dopuszczając macochy. Dłoń wyciągnął i sine powieki zacisnął nad zgasłemi oczyma rodzica.

Ministrowie poczęli głośno śpiewać psalmy.

XI.

Tej nocy w komnacie margrabiny Ludwiki do białego rana płonęło światło. Do głębi poruszona rozmową z umierającym teściem i opiekunem, młoda wdowa długo uspokoić się nie mogła, ani myśli zebrać. Chrypliwy szept elektora brzmiał ciągle w jej uszach, a złożone przyrzeczenie, brzemieniem ciężyło na duszy. Opanowywał ją dziwny, nieprzemożony lęk na myśl, że ze śmiercią Fryderyka Wilhelma otworzy się przed nią nowe, dotychczas nieznane życie, w którem ona samodzielniejszą być miała. Trzyletniem dzieckiem pozostawiona sierotą, nawykła ulegać ślepo rozkazom elektora, chociaż w sobie nieraz buntowała się przeciw niewoli, w jakiej ją trzymano. Ale myślą tylko, albowiem widziała wokół siebie od dziecka, jak wszystko bez wahania ulegało żelaznej woli kurfirsta, którego już za życia Wielkim nazywano. Zamknięta w ponurym królewieckim zamku, tam spędziła pierwsze swe dzieciństwo i zaranie młodości w otoczeniu tych tylko, którzy sławienie wielkości elektora uważali za pierwszy obowiązek, a uleganie bierne jego poleceniom za jedyne przykazanie. Piastunki w dzieciństwie straszyły ją opowieściami o słynnym «buntowniku» Kalksteinie,

który mienił się być Polakiem, chciał stanąć na czele Stanów pruskich przeciw elektorowi, lecz ten go bezlitośnie złamał, pochwycić kazał z Warszawy, uwięził i na śmierć pod mieczem katowskim skazał. Wśród tych opowieści rosła w wyobraźni dziecka postać elektora do olbrzymich rozmiarów; wszelki opór przeciw niemu wydawał się karygodną zbrodnią lub szaloną swawolą. Tak też mówili jej wszyscy; tak mówił gubernator Prus Książęcych, ks. Croy, który jej dwór królewiecki szczególną otaczał opieką: tak przedstawiał Samuel Chwałkowski, tajny radca kurfirsta, który często przybywał do niej z Berlina; powtarzali to samo właśni jej ziomkowie, którzy ją czasem nawiedzali w Królewcu, jak Krzysztof Grzymułtowski, Rafał Leszczyński i inni. To też na myśl nawet nie przyszło młodziuchnej, zaledwie wówczas czternastoletniej księżniczce opierać się, gdy jej powiedziano, że poślubić ma młodszego syna elektora, Ludwika. Ale gdy ten w towarzystwie Chwałkowskiego przybył raz do Królewca, aby się przedstawić swej przyszłej małżonce, księżniczka poraz pierwszy uczuła w sobie coś nakształt buntu. Nie mogła pojąć, dlaczego ona poślubić miała tego, o rok od niej zaledwie starszego młodzieńca, na którego bladej twarzy przedwczesna śmierć wyryła już swoje piętno, w którego ruchach i całej postaci przebijał się ciągły lęk, ustawiczny przestrach. Nienawiść chciwej macochy zdołała powstrzymać rozwój fizyczny i umysłowy młodzieńca, zgnębiła ciało i zabiła duszę. Piętnastoletni Ludwik wyglądał na lat dziesięć, tylko był nad miarę wyrosły a zgarbiony i ponury, jak starzec. W oczach, patrzących posępnie, zpodełba, nie zalśnił nigdy błysk dziecinnej radości, na ustach

nie było nigdy uśmiechu; zawierały się one najczęściej w milczeniu, a przy każdem głośniej wymówionem słowie, margrabia oglądał się wokół trwożnie, jakby lękał się skarcenia srogiej Zofji Doroty.

Przybycie też tego książęcia zatamowało odrazu swobodne życie na królewieckim dworze. Ciężka chmura smutku zgnębiła wszystko; wesoły uśmiech młodziuchnej księżniczki umilkł nagle. Przerażenia pełnemi oczyma patrzyła na Ludwika, który w milczeniu spoglądał na nią ukradkiem i usiłował się uśmiechać. Uśmiech był bolesny, do skrzywienia podobny. Margrabia nie zbliżał się i nie mówił nic, jeno spoglądał, a spotkawszy się z wejrzeniem Ludwiki, wnet oczy spuszczał trwożnie ku ziemi. Za to Chwałkowski mówił wiele, sławiąc zalety margrabiego, jego łagodność, dobroć i wyrozumiałość dla wszystkich.

— A mnie się zdaje, że on nie rozumie nic i nikogo nie widzi! — mówiła niemal z płaczem księżniczka, znalazłszy się wieczorem sam na sam w sypialni z piastunką swą od kolebki, Maruchną Szczenicką.

Ta zaś zrazu uspokoić ją usiłowała: Margrabia widocznie był z natury nieśmiały i powolny. Ale to tem lepiej: małżonka jego będzie miała własną wolę, niekrępowaną niczem; będzie niezależną i szczęśliwą panią...

Szczenicka mówiła bez przekonania, a księżniczka, słuchając, potrząsała złotą główką z niedowierzaniem.

— Nie! nie! — zawołała — i poco? Albo mi tu źle z tobą, Maro!

I zarzuciła jej na szyję ramiona.

A Maruchna tuliła ją do piersi, jak dziecko. Towarzyszka niegdyś zabaw dziecinnych jej matki, da-

rzona zupełnem zaufaniem jej rodzica, gdy księżniczka trzyletniem dzieckiem zupełną została sierotą, Szczenicka z woli księcia Bogusława całkowitą nad nią objęła opiekę i aż do tego momentu wykonywała ją z macierzyńską iście czułością. I jej serce rozrywało się teraz na myśl, że ta wypieszczona przez nią i wychuchana dzieweczka wyjdzie z pod jej opiekuńczej władzy, że się dostanie pod wpływ obcy i może wrogi dawnej, zaufanej ochmistrzyni. Margrabia Ludwik zdawał się wprawdzie bez woli, ale za niego wolę miał Chwałkowski, słuchający biernie rozkazów z Berlina, a oddawna nienawidzący Szczenickiej. Więc teraz, gdy księżniczka przygarnęła się do niej, jak dziecko, łzy napłynęły jej gwałtem do oczu i głos stłumiły w piersi. Po dawnemu gładziła jej główkę, całowała ręce i oczy, powtarzając pieszczotliwie szeptem:

— Luka moja... Luka!...

Tak zwano księżniczkę dzieckiem od pierwszych zgłosek dwóch jej imion.

Ale Maruchna oprzytomniała wkrótce. Nauczona doświadczeniem tylu lat przebytych na dworach kurlandzkim, berlińskim i tu w Królewcu, wiedziała ona, że przeciw woli elektora opór wszelki byłby daremny: wiedziała z ust Chwałkowskiego, że małżeństwo księżniczki z margrabią było nieodwołalnie postanowione, i że wobec zabiegów nietylko możnych panów polskich, jak syna wojewody krakowskiego, Stanisława Potockiego, lecz nawet królewicza polskiego Jakóba o rękę księżniczki, małżeństwo to miało być przyśpieszone, niemal tajemne; wiedziała, że elektorowi chodziło przedewszystkiem o zdobycie wraz z Radziwiłłówną ogromnego bogactwa, czterech księstw w gra-

nicach Rzeczypospolitej, czterech silnych twierdz pogranicznych, a temsamem o zdobycie przeważnego wpływu i osłabienie znaczenia tych panów, którzyby o dobra i rękę księżniczki zabiegać mogli. Wszystko to jej wyłuszczył Chwałkowski, a wobec takich planów, cóż znaczyć mógł opór nieletniej dzieweczki i jej ochmistrzyni?

Więc skoro ciosu niepodobna było odwrócić, należało go przynajmniej osłabić, łatwiejszym do zniesienia uczynić. Tak też postąpiła Maruchna, przedstawiając księżniczce wspaniałość takiego związku z synem elektora i ukazując w przyszłości, kto wie, może nawet polską koronę...

A Ludwika Karolina słuchała tego z pozoru obojętnie, lecz nawykłej do zbytku i wspaniałości mimowolnie uśmiechać się poczynało jeszcze większe znaczenie, zwłaszcza zaś purpura królewska. Słuchała w milczeniu z oczyma pełnemi zamyślenia, utkwionemi w przestrzeń.

Stało się tedy, co się stać musiało; stało się zadość woli wszechwładnego elektora, i dnia 7 stycznia 1681 roku czternastoletnia Ludwika Karolina została małżonką margrabiego Ludwika, wnosząc mu jako wiano olbrzymie dobra dziedziczne, puściznę po Radziwiłłach, Olelkowiczach, Chlebowiczach i Sapiehach. To wszystko zagarnąć miał brandenburski książę, stając się temsamem pierwszym w Polsce magnatem.

Z tych czasów zostało w pamięci Ludwiki Karoliny jedno tylko wrażenie wielkiego smutku i przygnębienia, odczute dziecinnem jeszcze sercem, ale silnie w niem wyryte. Wrażenie ślubu w małej kaplicy królewieckiego zamku, ślubu jakby tajemnego, w obec-

ności tylko książęcia kurlandzkiego Aleksandra, księcia Croy i tonącej we łzach Szczenickiej. A potem cały szereg dni i lat, pełnych smutku, ciągłej obawy, ustawicznych prześladowań ze strony macochy, przy małżonku chorym, bojaźliwym, nie umiejącym ani sobie, ani jej żadnej dać obrony. Lata, spędzone na elektorskim zamku w Berlinie lub Poczdamie, pozostały we wspomnieniu margrabiny jako jedno pasmo dni szarych, przerywanych chyba wieściami z Polski o wielkiem tam z powodu jej małżeństwa wzburzeniu. Nie wywarłoby to może silniejszego na jej umyśle wrażenia, gdyby nie widok zamieszania, jakie te wieści wywoływały na elektorskim dworze. Wcześnie nauczono ją rozumieć, że ona była tylko igraszką w ręku możnych, że tu nikt o jej szczęściu i doli nie myślał, lecz że ona winna była dolę swą i szczęście poświęcić bez szemrania, aby tym możnym jeszcze większą zapewnić potęgę. Zrozumiała też wcześnie, dlaczego popłoch stał się na elektorskim dworze, gdy nadeszły wieści, że sejm polski ma orzec konfiskatę na rzecz Rzeczypospolitej dóbr margrabiny, która wbrew wyraźnym przepisom prawa, bez zezwolenia króla, jako najwyższego opiekuna sierot, poślubiła cudzoziemca, nie mającego mocy nabywania dóbr ziemskich w Koronie lub na Litwie. Donoszono nawet, że gotuje się w Polsce wyprawa zbrojna celem odebrania dawnego lenna: Prus Książęcych. I młodziutka margrabina była świadkiem, jakie i jakiemi drogami czynione były przez elektora zabiegi, aby te niebezpieczeństwa usunąć. Widziała, jako na dwór jego przybywali z Polski różni jego stronnicy, Grzymułtowski Krzysztof wojewoda poznański, Władysław Łoś poseł malborski i Przyjemski poseł

kaliski. Wszystkich ich przyjmował Fryderyk Wilhelm otwartem sercem, a nie szczędził obietnic i uroczystych przyrzeczeń. A wreszcie za ich sprawą przesłał na ręce biskupa warmińskiego Radziejowskiego, krewniaka króla, solenne zapewnienie, że margrabia Ludwik o koronę polską nigdy z królewiczem Jakóbem współubiegać się nie będzie.

Deklaracja ta nie była miłą margrabinie. Wszak w skrytości serca, a za poduszczeniem Maruchny Szczenickiej, ona nie mogła oprzeć się marzeniom o tej koronie. Korona polska miała dodać blasku jej niezwykłej urodzie, o której ciągle słyszała, ona jedna mogła ją wyrwać z dusznej atmosfery, w której żyć była zmuszona, wynagrodzić choć w części niedolę jej pożycia z ustawicznie chorym małżonkiem, obok zawistnej macochy.

Ale Fryderyk Wilhelm, dostrzegłszy wnet jej nieukontentowanie, rzekł wówczas do niej:

— Nie lękaj się... Co znaczą deklaracje takie, gdy król jest żyw i narazie o następstwie mowy niema?... Inne będzie gadanie, gdyby się chocimski bohater jakim Turkiem udławił, a jego pierworodny chciał zasiąść na tronie. Wówczas znajdą się sposoby... nie trwóż się... Deklaracja taka ma znaczenie jeno na dziś, lecz nie na jutro...

Słowa te uspokoiły margrabinę tem skuteczniej, że była niebawem świadkiem, jak wszystko w tej sprawie szło po myśli elektora, który wreszcie w obawie, iżby Stany Rzeczypospolitej nie powzięły pomimo to jakiej dla niego nieprzyjaznej uchwały, siedząc w Berlinie, sejm w Warszawie potrafił zamącić i zerwać.

Odtąd margrabina z coraz większym podziwem

poczęła patrzeć na Fryderyka Wilhelma, a ufając mu bez granic, znosiła cierpliwie i prześladowania Zofji Doroty i smutek swego życia u łoża powolnie dogorywającego małżonka, wśród ciągłych waśni ze starszym bratem jego, Fryderykiem.

Ta cała, blisko siedmioletnia przeszłość stanęła jej żywo przed oczyma po ostatniej rozmowie z umierającym elektorem. Przeszłość, obejmująca najpiękniejsze lata jej pierwszej młodości aż do chwili, gdy gwałtownie obudzona wśród nocy, kostniejąca z zimna i trwogi, stanęła nieprzytomna prawie u łoża konającego Ludwika w tymsamym zamku poczdamskim.

On, bezmowny, patrzył na nią z wyrazem zdziwienia, jakby ją poraz pierwszy widział; nie odwracał wzroku, jak zwykle, lecz patrzył uporczywie, sztywnie, a ona czuła, że to spojrzenie przenika ją nawskróś i na jej twarzy zamiera.

Minęła chwila długa, straszna, pełna uroczystej ciszy i lęku w oczekiwaniu śmierci. Ludwika Karolina przyklękła przy łożu, chyląc głowę; odbiegała ją przytomność, rozpierzchały się spłoszone myśli, tonąc w jednem uczuciu przygnębiającego strachu. Ten człowiek, z którym ją przed laty związano, który był dla niej zupełnie obcy, a czasem nienawistny i wstrętny, teraz z tem znamieniem śmierci na wychudłych policzkach, z tym gasnącym wzrokiem, zapatrzonym jakby w niezmierzoną przestrzeń, stawał się dla niej jakąś wyższą istotą, napoły już nieziemską, wzbudzającą trwożne poszanowanie.

I jeszcze jedna chwila, jeszcze jeden bezwiedny ruch prężącego się ciała i niewyraźny bełkot ust skurczonych, a po twarzy margrabiego przebiegł ostatni

błysk, wnet zgaszony szarą mgłą, która padła na nieruchome oblicze i — przywrzała.

Napoły omdlałą z przestrachu wyniesiono margrabinę z komnaty; wśród pienia psalmów słyszała ona, jak przez sen, ponury głos Fryderyka, który w rozżaleniu czynił jej wymówki, że nie dość pilnie strzegła małżonka przed nienawiścią macochy.

— Ona go zabiła! — powtarzał Fryderyk z gniewem — a tyś winna, żeś nie strzegła!...

Odtąd pomiędzy nią a tym bratem mężowskim była ciągła nieprzyjaźń. Fryderyk zarzucał jej, że po śmierci Ludwika pocieszyła się rychło, że pomimo wdowieństwa swego pustym nieraz i swawolnym śmiechem przerywała ponurą ciszę elektorskiego dworu. Małżonka jego, dumna Zofja Karolina, nie lubiła jej także, zawidząc niezwykłej urody i tego wrażenia, jakie młoda wdowa czyniła wszędzie, gdzie się jeno ukazała. Przy niej zdawało się gasnąć i niknąć wszystko. Nikt wówczas nie zwracał uwagi na okazałą postawę, rozkwitłe wdzięki i majestatyczną wspaniałość Zofji Karoliny, gotującej się wcześnie do roli monarchini pruskiej, nikt nie słuchał jej uczonych wywodów o sztuce, któremi olśnić pragnęła, a każdy zwracał się ku jasnowłosej czarodziejce, która pomimo ponurych szat wdowich, rozsiewała wokół siebie promienie urody, młodości, wdzięku.

Temu urokowi ulegał też widocznie stary elektor. On jeden na całym dworze miał dla niej uprzejme słowo i coś nakształt uśmiechu na swej poważnej twarzy; on jeden zasłaniał ją przed niechęcią i zawiścią innych; on jeden okazywał jej niezwykłe względy, uznając jako krwią bliską, a może jako cenne narzę-

dzie dla osiągnięcia swych politycznych widoków. To też, chociaż w uczuciach Ludwiki Karoliny dla elektora przemagała zawsze trwoga, jakaś pełna lęku cześć, to wszakże po ostatniej z nim rozmowie nie mogła się oprzeć szczeremu żalowi. Całą noc nie zmrużyła oka i noc całą trzymała przy sobie Maruchnę Szczenicką, spowiadając się przed nią ze swych smutków, obaw i przeczuć.

Ale ochmistrzyni nie znajdowała także tym razem słów pociechy, sama bowiem była zalękniona i przyszłości niepewna. Fryderyk Wilhelm, jakkolwiek na nią uwagi nie zwracał z pozoru, jeden tylko wiedział, czem ta ochmistrzyni była dla Ludwiki, jakiem zaufaniem darzył ją Bogusław Radziwiłł i jego małżonka, jakich poświęceń złożyła ona dowody, gdy osierocona ich dziecina na wyłącznej niemal pozostała jej opiece. Miał więc dla niej względy elektor, a chociaż zdawał się jej nie widzieć, krzywdy jej nigdy czynić nie dozwolił, a gdy raz Chwałkowski, który jej nie lubił i usunąć pragnął, podszeptywać począł, iż Szczenicka nieprzychylna jest małżeństwu syna elektora z Ludwiką Karoliną i chętniejby widziała jej związek z Jakóbem Sobieskim, coby jej ułatwiło powrót do kraju, który zawsze miłuje i do którego tęskni, Fryderyk Wilhelm spojrzał na niego zpodełba i odburknął:

— Białogłowie wolno chcieć wszystko... A dobrze jest, że coś miłuje i do czegoś tęskni... A ty mi jej, mój radco, tak nie chwal... bo posądzać będę, że płoniesz do niej niewczesnym afektem, jak poseł francuski, ten biedny Rébénac... cha! cha! cha! Baba, pomimo latek, dalipan dzielna, wszyscy tu zowią ją panną, chociaż

jest wdową a ty, ku niej, uważałem zerkasz, i możesz mnie jeszcze w kłopoty z J. K. M. Ludwikiem XIV wprowadzić, bo pan Rébénac jest zły... cha! cha!...

Chwałkowski zębami zgrzytał ze złości, a elektor, widząc jego pomieszanie, drwił ciągle, uradowany, bo go zawsze okrutnie cieszyło, gdy mógł komu dokuczyć. Wówczas kończył zwykle rozmowę pytaniem:

— A co, dopiekło ci, he?

Odtąd Chwałkowski nawet wzmianki o Szczenickiej przed elektorem unikał i szkodzić jej przestał. Maruchna zaś wiedziała o tem i wiedziała także, iż z chwilą śmierci Fryderyka Wilhelma tem sroższa przeciw niej wybuchnie walka. Kto wie? może ją nawet rozłączyć zechcą z jej ukochaną wychowanicą, z tą, którą w zaciszu komnaty swoją jasnowłosą Luką poufale zwała, której dotychczas wszystkie dzieliła myśli i troski, którą pieściła jak dziecko. Zaniepokojona tedy i wzruszona do głębi, nie mogła znaleźć słów pociechy na żale i skargi margrabiny.

Ale Ludwika długo żalić się nie umiała, ani też długo pozostawać w smutku. Ułożyła się wygodnie na łożu, otuliła ciepłem okryciem i rozpuściwszy warkocze, poczęła rozplątywać ich długie pasma różowemi palcami, milcząc. Jakieś inne zgoła myśli krążyły już teraz w jej główce, bo na ustach wnet zaigrał uśmiech, a z oczu, pełnych łez przed chwilą, strzeliły błyski. Nagle usiadła na łożu, porwała ochmistrzynię za rękę i przyciągając ku sobie, rzekła szybko, zcicha:

— Usiądź Maro! usiądź przy mnie... blisko... Mam ci powiedzieć wielką tajemnicę...

Szczenicka przyklękła przy łożu, patrząc z zachwytem na cudną twarz margrabiny, okoloną jasnemi

włosami w nieładzie, wynurzającą się z bieli muślinów i koronek, jak nieziemskie zjawisko. Wspaniała postawą, umiejąca nadać swej twarzy wyraz powagi, a nawet dumy, gdy tego było potrzeba, wyglądała w tym momencie poufnej rozmowy z opiekunką swego dzieciństwa, jak rozpieszczone dziecko w chwili, gdy ma prosić o co, a obawia się, aby nie odmówiono.

Zarzuciła oba ramiona na szyję Szczenickiej i zbliżając swe usta do jej ucha, szepnęła:

— Wiesz, ty, Maro, co mi jeszcze elektor powiedział:

— Nie wiem, — odparła Szczenicka, tuląc ją z miłością w objęciu — ale pewnie coś miłego, skoro pani moja tak się rozpromieniła...

— O, miłego... bardzo miłego, Maro; tak bardzo, że się lękam, iż to się nie stanie...

— Dlaczegóżby się stać nie miało?,.. Dla Waszej Wysokości wszystko dostępne...

Ramiona margrabiny opadły. Miała minę nadąsaną.

— Zwij mnie Luką... jak dawniej... — rzekła — nie wysokością i nie mów, że dla mnie wszystko dostępne... bo to nieprawda!...

Twarz jej przybrała wyraz smutku.

Niecierpliwym ruchem ręki odgarnęła spadające na czoło włosy i po chwili milczenia rzekła szybko:

— Tyś mi niegdyś wspominała, Maro, żeś miłowała bardzo, i byłaś kochana!... Opowiedz mi to... ja chcę wiedzieć!...

Szczenicka głowę pochyliła na piersi.

— Och, pani moja! — westchnęła. — Krótkie i smutne dzieje... Nie było zezwolenia rodzica; nie było

też snadź błogosławieństwa Bożego... Małżonek mój, wierny sługa rodzica Waszej Dostojności, wysłany przez niego w ważnej misji, zginął w krwawej wojnie szwedzkiej... Nie zaznałam ja, pani moja, szczęścia, nie zaznałam!...

Twarz Maruchny, bardzo jeszcze piękna, ożywiona oczyma, pełnemi bystrości i ognia, wyrażała w tym momencie głęboką boleść. Snadź długi szereg lat ubiegłych, jak nie zgasił płomieni jej oka, tak też nie zdołał osłabić siły wspomnień i miłości dla pięknego dworzanina Bogusława Radziwiłła. Żył on w jej pamięci jako wzór urody męskiej, dzielności aż do zuchwalstwa. I gdyby powtórnie przyszło jej rozpoczynać życie, gdyby wróciła jej młodość i powrócił piękny Stanisław Szczenicki, nie zawahałaby się znowu ani chwili i poszła za nim i dałaby mu się porwać z domu rodzica na niepewne losy, na długą niedolę, a choćby na śmierć.

A zaś margrabina, patrząc przenikliwie na jej sposępniałą twarz, czytała to wszystko w jej wyrazistych, rozpłomienionych oczach i domagała się ciągle szczegółowej opowieści. Maruchna opierała się zrazu, lecz wnet uniesiona sama urokiem tych wspomnień, poczęła mówić jakby sama do siebie, jakby głośno myśląc o tym swoim ukochanym, którego obrazu nic w jej sercu zatrzeć nie mogło.

— Krótko trwało — mówiła — to moje bolesne szczęście... Ale było tak potężne i tak płomienne, że odtąd wszystko w życiu wydało mi się pustem i jak lód zimnem. Wyrzekłam się domu, rodzica, rodziny, na głowę moją ściągnęłam przekleństwo, lecz poszłam za nim, za tym umiłowanym Stachem, i poszłam nie

na rozkosze, lecz na niedolę, tułactwo, więzienie i niebezpieczeństwa. To jednak wszystko było mi rozkoszą, dopóki z nim i przy nim!...

Margrabina słuchała z rozchylonemi usty, pijąc jakby te namiętne słowa, które ją poruszały do głębi. To, co mówiła Maruchna, wydawało się jej jak baśń cudowna, wyśniona, zgoła nieprawdopodobna. Może chyba dla takich istot, jak Maruchna, ale nie dla niej, która była igraszką, biernem narzędziem w rękach innych. Ci zaś kazali jej czynić to lub owo, poślubić tego lub innego pana, nie troszcząc się zgoła o jej wolę czy serce. Czyż miłość taka, o jakiej mówiła Maruchna, zrywająca wszelkie przeszkody, wyrzekająca się wszystkiego, ściągająca klątwę, prowadząca na niedolę i w niebezpieczeństwa, czy mogła istnieć w rzeczywistości, okupić wszelakie poświęcenia i trwać przez lata, nawet po śmierci ukochanego?

Margrabina osunęła się na wezgłowia i przymknęła oczy. Słuchając opowieści ochmistrzyni, usiłowała wyobrazić sobie, że to po nią przybywa taki wyśniony, cudowny rycerz, że ogarnia ją płomienistym wzrokiem, chwyta w objęcia i unosi... A ona nie opiera się wcale; bez żalu rzuca wszelakie wspaniałości, nie lęka się niczego; im sroższe niebezpieczeństwo, tem bliżej ona tuli się do piersi ukochanego, i czuje jego wzrok ognisty, jego tchnienie gorące na swej twarzy; czuje i odwzajemnia długi, gorący pocałunek, który jej duszę przepala... Oh, tak... to rozkosz, której ona nie rozumiała i nie doznała nigdy, a której pragnie...

Bujna jej dziewicza pierś podnosi się i opada, jak morze kołysane wiatru podmuchem; wilgotne usta, ciągle rozchylone, uśmiechają się do tych marzeń, do

tych uczuć niedoznanych nigdy wśród mroźnej atmosfery elektorskiego dworu, w pożyciu z ciągle chorym i niedołężnym małżonkiem.

Wzdrygnęła się. Na to wspomnienie krew, burząca się warem w żyłach, ścięła się nagle lodem. Marzenie pierzchło. Margrabina usiadła na łożu i, chwytając za ramię Maruchnę, przyciągnęła ją ku sobie.

— Więc zginął ten twój ukochany? — spytała gorączkowo. — Widziałaś go trupem?... To ohydne!

— Zginął — powtórzyła jak echo Szczenicka — zginął bez wieści, pod Warką... Alem go nie widziała trupem... nie widziało go odtąd oko moje... I pozostał w mej pamięci młodym, pięknym, pełnym życia i chęci do życia...

Nastała chwila milczenia. Szczenicka, wzruszona temi wspomnieniami, ukryła twarz w dłonie, a margrabina zamyśliła się znowu. Wszystko to coraz nieprawdopodobniejszem jej się być zdawało. Historje miłosne obijały się jej nieraz o uszy, ale to były historje, z których albo się śmiano, albo się niemi gorszono. Niedawno nawet jedna z jej panien dworskich rozmiłowała się była na zabój w jednym z dostojników elektora. Fryderyk Wilhelm na małżeństwo nie pozwolił, i rzecz skończona. A, nie! nieskończona. Elektor mógł zakazać małżeństwa, nie zdołał wzbronić miłości. Związek, pomimo zakazu, trwał dalej i stał się tak głośnym, że na żądanie mocno zgorszonej Zofji Doroty owa panna dworska musiała nietylko dwór, lecz i Berlin opuścić ku niemałemu zmartwieniu margrabiny, którą ten romans mocno zajmował i nietajone obudzał współczucie. Współczucie to szło nawet tak daleko, że Ludwika nie wahała się ułatwiać ko-

respondencji między rozłączonymi, a nawet schadzek, gdy owa panna potajemnie przybywała do Berlina. Schadzki te odbywały się zwykle w ogrodzie tak zwanym Krauta, przez elektora powiększonym i upiększonym, a cieszyły margrabinę ogromnie. Idąc tam w towarzystwie owego dostojnika niby na przechadzkę, doznawała takiego uczucia, jak gdyby sama była bohaterką tego romansu; mocno biło jej serce, płonęła twarz, a przy spotkaniu kochanków śledziła pilnie wyraz ich oczu, każdy ruch, każde słowo. Gdy zakochani oddalali się od niej i nikli z przed jej oczu w cienistej alei, Ludwika z dziwnem drżeniem wytężała słuch, by schwycić jakie miłosne zaklęcie. Doznawała wówczas uczucia niepojętej rozkoszy, zaprawionej wszakże goryczą zazdrości, która zwłaszcza wówczas stawała się piekącą, gdy z takiej schadzki wracać musiała do zamku i siedzieć w milczeniu, w dusznej, ciemnej komnacie u łoża chorego małżonka. Och, wtedy ogarniała ją bezgraniczna rozpacz; nieraz pierś jej rozrywało przytłumione łkanie; miała chęć krzyczeć, wołać pomocy, ratunku, albo uciec z tych murów, w których czuła się pogrzebaną, w których gasła jej młodość i pragnienie życia... Nie zmieniło to w niczem tych uczuć i nawet nie zdziwiło wcale, gdy po niejakim czasie owa panna poślubiła pewnego oficera Francuza, służącego w gwardji elektorskiej, utworzonej ze zbiegłych z Francji protestantów, a ów dostojnik dworski pojął w małżeństwo bogatą dziedziczkę z Prus Książęcych. Była potem świadkiem, jak ci niegdyś zakochani spotykali się bez uśmiechu na ustach i bez ognia w oku, ale i bez wyrzutu, rozmawiając z sobą grzecznie a zimno.

Słyszała nieraz potem o wielu podobnych historjach które się podobnie kończyły, i zdawało się jej, że tak być musi, że tak być powinno. Więc to, co mówiła Szczenicka, nie mogło pomieścić się w jej głowie. Jakto? taka trwałość miłości? całe życie oddane jednemu uczuciu? To niepodobna!

— Ileż to lat temu? ile lat? — spytała.

Maruchna podniosła głowę i pełne łez oczy.

— Ile lat? — powtórzyła — albo ja wiem?... nie pomnę... Pewno przeszło trzydzieści!...

— Co? co?... przeszło trzydzieści!...

To już przechodziło wszelkie pojęcie. Margrabina szeroko otwartemi oczyma patrzyła na ochmistrzynię. Trzydzieści lat! To wiek cały, to cała młodość, to całe życie! Dwudziestoletniej kobiecie ta liczba lat wydała się niezmierzoną, a Szczenicka poprostu starą i śmieszną z temi łzami w oczach.

Żywym ruchem, jak kotka, margrabina zwinęła się w łożu, osłaniając się po szyję purpurowem, miękkiem okryciem. Twarz jej teraz miała zgoła inny niż przed chwilą wyraz: dziecinnej pustoty. Śmiały się jej usta, a z oczu strzelały błyski złośliwej swawoli.

— A! a! — zawołała — to nie może być! Przez tyle lat o jednym myśleć... i to jeszcze o takim, którego już niema, który zginął... Co zaś!...

Wysunęła z pod okrycia białą, jak alabaster, szyjkę i zawsze z tymsamym wyrazem iskrzących się oczu, z tymsamym uśmiechem na wilgotnych, rozchylonych ustach, szepnęła:

— A hrabia Rébénac?... co, Maro?... Ja mam dobre oko... i widzę...

Maruchna żachnęła się; gęste brwi ściągnęły się chmurnie nad ciemnemi oczyma. Odrzekła poważnie:

— Pan poseł francuski łaskaw jest na mnie... zaszczyca mnie swoją przyjaźnią. Przez niego otrzymuję wiadomości z Polski w ważnej sprawie brata mego, Kazimierza Łyszczyńskiego... a także w sprawach, które was, dostojna pani, dotyczą.

— Sprawy! — zaśmiała się margrabina — jakie mi tam sprawy i co mnie one obchodzą!... Ale — dodała po chwili, widząc chmurę na czole ochmistrzyni — co ci jest, Maro? gniewasz się na mnie?

Objęła ją czule za szyję i przygarnęła.

— Nie gniewaj się, Maro — pieszczotliwie szepnęła. — Twoja Luka zawsze jeszcze trzpiot i czasem coś powie, coby nie należało... Niepotrzebnie wspomniałam ci o tym Rébénaku... Ale już się nie gniewaj, Maro!... bo widzisz, ja myślałam...

Urwała i gładziła Maruchnę po twarzy. Ta zaś rozpływała się pod tą pieszczotą, patrząc rozmiłowanemi oczyma na swą wychowankę.

— Uczyniłam ci przykrość, — mówiła margrabina dalej — ale ci zaraz wynagrodzę. Powiem ci coś, co cię ucieszy, bo ty mnie miłujesz... Zdradzę ci wielką tajemnicę...

Cofnęła się w głąb łoża, utonęła w miękkich puchach i wystawiając jasną swą główkę z toni batystów i koronek, patrzyła na ochmistrzynię filuternie uśmiechniętemi oczyma.

— Ciekawa jesteś? powiedzieć?... Powiem, jak będziesz grzeczna, jak mnie zapewnisz, że się już nie gniewasz...

Wysunęła ku Maruchnie rączkę białą, malutką, o różowych paluszkach.

— No, powiedz... powiedz, że się nie gniewasz na swawolną Lukę... — mówiła z miną rozpieszczonego dziecka.

Za całą odpowiedź Szczenicka pochwyciła tę rączkę w obie dłonie i okrywała ją pocałunkami.

— Pani moja! — szeptała — pani moja... zali na was gniewać się można?

Paluszki różowe margrabiny prężyły się i rozstawiały pod ciepłem tych pocałunków. Każdy kolejno przytykała do ust Maruchny, szepcząc:

— I jeszcze ten! i jeszcze ten...

Co moment wybuchała srebrzystym uśmiechem.

— A widzisz, Maro, jak to niebezpiecznie gniewać się na Lukę... trzeba potem przepraszać... Oj, ty, ty... moja dobra, moja stara!

Zsunęła główkę z wezgłowiów na samą poście i ułożywszy się tak, że rozśmieszonemi, błyszczącemi oczyma patrzyła zdołu, wprost w twarz Maruchny, spytała nagle:

— Twój ten... jakże się zwał?... Stanisław... był piękny?...

— O, bardzo!

— Rosły, wspaniały... z czarnemi włosami i szafirowemi oczyma?...

— Tak... tak... — szeptała wzruszona Maruchna.

Margrabina szukała czegoś wokół siebie. Wyjęła puzderko złote, suto brylantami sadzone, i otworzywszy, szybkim ruchem przysunęła do oczu ochmistrzyni wizerunek mężczyzny, w bogatym stroju cesarskiego marszałka polnego. Twarz młoda i do opisu margrabiny podobna, bardzo piękna, o wyrazie szlachetnym a śmiałym.

— Takim był?... O nie, takim być nie mógł, bo ten jest najpiękniejszy!

I sama wpatrywała się z zachwytem.

A Maruchna ze zdumieniem i nieledwie z trwogą spoglądała teraz na swą wychowankę. Kto mógł być ten piękny marszałek cesarski? O żadnym takim nie słyszała, któryby się do margrabiny zbliżał i ośmielić się mógł ofiarować jej swój wizerunek, co wyraźnym było znakiem, iż zamierzał o jej rękę się ubiegać. Przyjęcie wizerunku z jej strony było krokiem niemniej zuchwałym, oznaczało bowiem, że Ludwika Karolina była skłonna przyjąć te zabiegi. A ona — ochmistrzyni, której straż zlecono nad młodziutką wdową — nic o tem nie wiedziała? Co za odpowiedzialność!

— Kto to?... kto taki?... — pytała zdławionym głosem.

— Zali nie pomnisz?... — odparła margrabina, nie odrywając od wizerunku oczu — na pogrzeb małżonka mego tu był przybył, jako poseł cesarski... Mówić z nim nie mogłam... alem go widziała... i odtąd widzę ciągle... piękny jest... wspaniały... nieprawdaż? Zaliś go nie widziała?... Jechał na białym, jak mleko rumaku... patrzył na mnie... Och!

Przeszedł ją dreszcz od stóp do głowy. Pod purpurowem odkryciem widać było, jak całe jej ciało drżało.

— Nie widziałam... nie dostrzegłam... — jąkała Szczenicka, coraz bardziej pomieszana.

Odrazu stanęły jej przed oczyma groźne następstwa takiego niedopatrzenia i tej nagle obudzonej w sercu margrabiny a snadź silnej namiętności, która

jednym zamachem burzyła wszystkie oddawna ułożone plany.

Margrabina nie widząc jej pomieszania, jedno ramię zarzuciła jej poufale na szyję i nie spuszczając wzroku z wizerunku, szeptała:

— To się dowiedz i patrz. To jest Karol Filip, książę neuburski, brat cesarzowej, a niebawem małżonek mój...

— O, nie! o, nie! – mimowoli zaprotestowała Szczenicka.

Margrabina wzdrygnęła się cała. Zdjęła swe ramię z szyi ochmistrzyni i przenikliwie, bystro spojrzała. Dopiero teraz spostrzegła niezwykłą jej bladość i pomieszanie.

— Jak to nie? co to znaczy? — spytała.

W jednem mgnieniu oka rozpromieniony, dziecięcy niemal wyraz jej twarzy zmienił się do niepoznania. Ciemne brwi zsunęły się nad oczyma, usta zacisnęły kurczowo, gniewnie, ton mowy z pieszczotliwego stał się twardy, ostry.

— Co znaczy: nie? — powtórzyła.

A wtedy Szczenicka rzuciła się jej do kolan, do stóp i poczęła je całować...

— Przebacz, dostojna pani, — jąkała — ale to być nie może... Jam jest odpowiedzialna... choćbym miała do samego elektora pójść.

Śmiech przenikliwy, szyderczy przerwał jej mowę. Margrabina rzucała się po łożu, stopami, jak dziecko rozkapryszone a krnąbrne, odtrącając ochmistrzynię:

— Cha! cha! to idź do elektora... idź!... Dobrze będziesz przyjęta... On mi sam wybrał tego małżonka... sam mi to dziś mówił... cha! cha! Za jego wiedzą

i zezwoleniem książę Anhalt-Dessau dał mi ten wizerunek... rozumiesz?... A teraz idź, skarż się!... Będziesz dobrze przyjęta! cha! cha!

Grom z nieba spadający w tej chwili, nie byłby bardziej przeraził Maruchny, niż te słowa księżny.

Jak to? więc jej wpływ i znaczenie tak bardzo na tym dworze zmalały, że poza jej plecami uknuto całą intrygę? więc tak zmalało przywiązanie do niej jej wychowanki, której ona całe swe poświęciła życie, że ona mogła bez jej wiedzy czynić takie zobowiązania, niweczące wszystkie wymarzone plany, wedle których Ludwika Karolina miała być małżonką królewicza Jakóba i z nim razem zasiąść na tronie polskim.

Szeroko otwartemi, przerażonemi oczyma patrzała na wijącą się w śmiechu szyderczym margrabinę.

— To nie może być... ta nie może być!... — powtarzała bezwiednie.

Zdawało się jej istotnie niemożebnem, aby wskutek oporu tej tak młodziutkiej i zawsze lekkomyślnej niewiasty, która dzieckiem być nie przestała, rozpadł się w gruzy plan, mający za sobą wyraźną wolę króla polskiego, a popierany przez tak biegłego w sprawach dworskiej polityki posła, jakim był hrabia de Rébénac, i przez oddanego królewiczowi Jakóbowi kurlandzkiego książęcia, Ferdynanda. Przecież jeszcze niedawno Kazimierz Bieliński, starosta malborski, poseł królewski w Berlinie, mówił jej, że sprawa jest na najlepszej drodze, i że sam elektor nie zdaje się jej być przeciwnym, żąda jeno, aby przed rozpoczęciem jawnych zabiegów czas żałoby wdowieńskiej margrabiny upłynął. Tymczasem Szczenicka miała sobie poruczone

wpływanie na umysł i serce Ludwiki Karoliny, miała jej przedstawiać świetność owego związku, zapewniającego jej w niedalekiej przyszłości koronę. Czyż z nim w porównanie iść mógł taki Karol Filip, młodszy syn falcgrafa reńskiego, nawet nie domniemany jego następca, ubogie, nic nie znaczące książątko?... Cóż więc ku niemu skłaniać mogło margrabinę? Miłość?... Ale Szczenicka nie darmo od lat tylu przypatrywała się sprawom na berlińskim dworze, aby wiedzieć, że w związkach małżeńskich książąt i księżniczek nie pytano zgoła o serce. Była to więc tylko intryga, wymierzona przeciw królowi polskiemu, której narzędziem i główną wykonawczynią miała być lekkomyślna margrabina. Z jej kaprysu dla pięknego neuburskiego księcia postanowiono korzystać. Twórcą tej intrygi i jej kierownikiem był widocznie sam elektor, który, dając niestanowcze przyrzeczenie Bielińskiemu, nie wahał się na łożu śmierci zalecać swej synowej Karola Filipa. Na tę myśl samą zadrżała Maruchna. Gdyby tak było, należało pożegnać się z marzeniami, które do tej chwili przedstawiały jej przyszłość w tak uroczych barwach. Powrót do kraju, do którego Szczenicka z biegiem lat coraz bardziej tęskniła: i to powrót nie byle jaki: z dworem pięknej królewiczowej polskiej, niechybnie przyszłej królowej, jako jej zaufana powiernica i ochmistrzyni, pierwsza osoba u dworu! A teraz nietylko, że to się nie spełni, ale nadto ona — Szczenicka — w opinji dworu polskiego wyjdzie może na spólniczkę tej niecnej intrygi, bo któż, świadomy jej stosunku z margrabiną, uwierzyć zechce, że ją samą wyprowadzono w pole, że ona do ostatniego momentu nie wiedziała o niczem?

Lęk tedy, żal i gniew zarazem opanowywały serce Szczenickiej, gdy osłupiałym wzrokiem patrzyła na śmiejącą się szyderczo margrabinę.

Ta zaś przestała się śmiać i nagle poważniejąc, zupełnie innym tonem rzekła:

— Ale dość tych żartów!... Ty, Maro, zapomnij o tem, com ci mówiła. To daleki zamiar... i tajemnica... pamiętaj! W każdym razie spodziewam się, że czy będzie tak, czy inaczej, pozostaniesz mi wierną, nie odstąpisz!...

Ostatnie słowa wymówiła niemal ostro, groźnie.

— Nie odstąpię!... — zawołała Maruchna — nie odstąpię, dopóki sama tego nie zażądasz. Ale zastanów się, dostojna pani, zastanów się dobrze, zanim co postanowisz. Wszak królewicz Jakób...

— Nie znam go!... — przerwała gniewnie margrabina.

— Bieliński ma jego wizerunek... Książę kurlandzki podjął się go Waszej Dostojności doręczyć...

— Niech tego nie czyni! — żywo przerwała Ludwika — niech tego nie czyni... Przyjąć nie mogę i nie przyjmę!...

— A jednak Wasza Książęca Mość przyjęłaś ten drugi!...

Margrabina spojrzała na ochmistrzynię wyniośle.

— I ten odeślę!... A zresztą w tym momencie nic postanawiać nie chcę... Czas okaże...

Zaległo przykre milczenie. Ludwika leżała teraz na wznak, nieruchoma. Oczy miała spuszczone, zajęte pozornie oglądaniem paznogci u ręki, którą w rozdrażnieniu wyszarpywała jedwabne nitki z purpuro-

wego okrycia. Chwilami rzucała gniewne spojrzenie na Szczecnicką, która zgnębiona siedziała u jej stóp.

— Racz jednak zważyć, Wasza Dostojność... — zaczęła po chwili Maruchna — że królewicz Jakób, syn potężnego i wielkiego Jana, którego sławą cały świat rozbrzmiewa, niewątpliwy dziedzic korony polskiej...

Niecierpliwe żachnięcie się margrabiny przerwało jej mowę.

— Korona... korona! — szepnęła z gniewem — obiecywano mi ją także z Ludwikiem, i miałam siedm lat niedoli... Każda z moich panien dworskich była odemnie szczęśliwsza... Ty sama przed momentem mówiłaś o miłowaniu swojem, które lata przetrwało... Zali ja tylko mam być skazana na to, aby słuchać cudzej woli, służyć cudzym zamiarom? A, nie, nie! Sama mówiłaś: «Wyrzekłam się domu, rodzica, rodziny... ściągnęłam na siebie klątwę, a poszłam za nim...» Dlaczegóż mnie tego uczynić nie wolno?...

Gwałtownie znowu rzucać się poczęła po łożu, bijąc stopami o jego przednią ścianę.

A Maruchna już teraz zamilkła. Za moment uspokoiła się margrabina i zaległa głucha cisza, wśród której ona usypiać się zdawała. Przez ciężkie zasłony okien poczęły przedzierać się promienie jaskrawe słońca. Światło świeczników stawało się przeźroczyste i blade.

— Już dzień... — szepnęła Maruchna.

A wtem z oddali, z wewnątrz zamku, doszły echa żałobnych pieśni... Na korytarzu dały się słyszeć przyśpieszone kroki dworzan i służby czasem donośny odgłos wydawanych rozkazów.

Margrabina wzdrygnęła się i usiadła na łożu. Przerażonym wzrokiem spozierała dokoła.

— Co to?... Maro... co to?!...

Wyskoczyła z łóżka, blada, drżąca.

— Ubieraj mnie... prędko! — wołała — słyszysz... to elektor...

I nagle osunęła się w objęcia ochmistrzyni, kryjąc twarz w dłonie...

— Ja się boję... Maro... boję się!...

A za moment gorączkowo przyodziewać się zaczęła.

Przez otwierane na korytarzach podwoje coraz donośniej dochodziły tony psalmów pokutnych.

XII.

Nietylko na elektorskim dworze, lecz w całych Prusiech odczuto zmianę, jaka zaszła ze śmiercią Fryderyka Wilhelma. Zrazu było to uczucie przerażenia, a potem ulgi, iż żelazna dłoń wielkiego elektora przestała ciężyć. Dawniejsi jednak doradcy, jak naprzykład Chwałkowski, odrazu poznali, że odtąd i na czas dłuższy głównem dążeniem nowego elektora będzie osiągnięcie królewskiej korony. Objawiło się to zaraz w pierwszych miesiącach jego rządów w chwiejnem postępowaniu względem Francji i ciągłem oglądaniu się na cesarza Leopolda, w nieszczerych wreszcie zapewnieniach przyjaźni dla Polski. Wnet też po śmierci Fryderyka Wilhelma oświadczył Fryderyk Bielińskiemu, że pragnie być wiernym sprzymierzeńcem Jana III, którego bohaterstwo i czyny wojenne podziwia, a dla niego i jego domu żywi uczucia gorącej przyjaźni. Gdy zaś Bieliński, korzystając z tych sentymentów, wręcz oświadczył, jako dwór polski życzy sobie usilnie, iżby owdowiała margrabina poślubiła królewicza Jakóba, Fryderyk zrazu spochmurniał, lecz wrychle, przybierając uśmiech na usta, zapewniać począł, że i on tego pragnie, a chociaż bratowej swej niewolić nie chce i nie może, nie

traci wszakże nadziei, że ona tak świetnego związku nie odrzuci. Gdy wkrótce potem Bieliński użalił się przed nim, jako książę Karol neuburski korespondencję z margrabiną prowadzi tajemnie, jako Włoch pewien, Salviati imieniem, przebywający w Królewcu, listy tego księcia przywozi i za pośrednictwem berlińskiego kupca Schradera margrabinie doręcza, — elektor udał gniew wielki, owego Włocha wygnać kazał, a kupca osadził w więzieniu. Jednocześnie jednak na listy, nadchodzące z Polski, a mianowicie na list wojewody poznańskiego, Leszczyńskiego Rafała, który go zaklinał, iżby do związku królewicza Jakóba nie dopuszczał, przez Chwałkowskiego odpisał, że związek ten już dlatego za niemożebny uważa, iż o rękę margrabiny zabiegi czyni książę Karol, brat cesarzowej, a on przecież dworu wiedeńskiego narażać sobie nie może. To samo też oświadczył Łyszczyńskiemu gdy ten w dni kilka po śmierci Fryderyka Wilhelma, przybywszy w towarzystwie Chwałkowskiego, na posłuchanie u elektora się stawił i doręczył mu pisma hetmana Sapiehy i marszałka Lubomirskiego.

— Dobrze uczyniliście, panowie, — rzekł wkońcu — że wprost do mnie udaliście się w tej sprawie. Pokątnych bowiem knowań na dworze swoim nie ścierpię!

Wskutek takiego stanowiska elektora, obie strony były najlepszej myśli. Bieliński i książę Ferdynand kurlandzki słali listy do królewicza Jakóba, pełne otuchy i żądające, aby co rychlej do Berlina przybywał, a książę Anhalt, córka jego księżna Radziwiłłowa, Chwałkowski i Łyszczyński byli przekonani, że piękny książę Karol zwycięstwo w tych zabiegach osiągnie.

Najtrudniej szło Łyszczyńskiemu z siostrą. Ma-

ruchna Szczenicka powitała od lat tylu niewidzianego brata z ogromną radością, ale z oburzeniem i stanowczo odmówiła zrazu swego udziału w rozpoczętych knowaniach przeciw królewiczowi, a nietylko odmówiła, lecz oświadczyła wprost, że przeszkadzać im będzie.

— Miłuję cię bardzo Kazimierzu, — rzekła mu wkońcu — raduję się, że cię widzę, pragnęłabym cię tu jak najdłużej zatrzymać, ale zarazem wydziwić się nie mogę, że ty, człek mądry i nauce oddany, w takie intrygi zdradzieckie się wdajesz... Żebym do samego elektora pójść miała — pójdę! i odkryję mu wszystko, jako to są niecne knowania nieprzyjaciół króla!...

Widząc zaciętość taką, a z drugiej strony rzeczywistą dla siebie czułość i domyślając się, że na jego widok cała dawna przeszłość i wszystkie wpomnienia dzieciństwa musiały stanąć w oczach Maruchny, Łyszczyński wziął się na ten sposób, iż począł przedstawiać siostrze, jako los jego jest ściśle związany z tą sprawą. Wyznał jej, że jest pod klątwą, wyrokiem duchownym na śmierć skazany, że jeśli wolność odzyskał, to jeno dzięki zabiegom Lubomirskiego i Sapiehy, że gdyby oni go opuścili, zginąćby musiał niechybnie...

— A teraz rozstrzygaj!... — skończył. — Gdyby nie oni, zgniłbym już w kaźni biskupiej... Chceszli mnie napowrót w nią wtrącić i na stos wydać?

Z zapartym w piersiach oddechem i przerażeniem sluchała tych słów Maruchna. Już przedtem od hrabiego Rébénaka i Bielińskiego słyszała ona o zatargach brata z władzą kościelną, ale żeby to tak groźnem być miało, nie przypuszczała nigdy. Wów-

czas zresztą mniej żywo to odczuwała. Przez lat tyle oddalona od rodziny, żyjąca w innem otoczeniu, zajęta innemi sprawami, jakkolwiek czasem doświadczała dojmującej tęsknoty, wszakże uczucia w niej rodzinne jakby drzemały, stępione. Odżyły w całej pełni przy powitaniu Kazimierza, na widok jego wynędzniałej, zgnębionej postaci, która wymowniej niż słowa świadczyła o przebytej niedoli. Nie! przeciw niemu, na gorsze jeszcze jego zgnębienie ona działać nie powinna i nie zdoła!

— Tedy milczeć będę — oświadczyła wkońcu — i do niczego się odtąd nie mieszam...

— To nie wystarcza — odrzekł Kazimierz. — Bierność czasem jest przeszkodą, a idzie o to, abyś nie przeszkadzała...

— I przeszkadzać nie będę!... — zapewniła przygnębiona Maruchna.

Dopełnienie tego przyrzeczenia stało się jej tem łatwiejszem, że od ostatniej rozmowy owej nocy, w której zmarł Fryderyk Wilhelm, margrabina unikała wszelkich zwierzeń. Szczenicka widziała dobrze, że wpływ jej zmalał, że poza jej plecami odbywają się z Chwałkowskim, księciem Anhalt i córką jego księżną Radziwiłłową jakieś konferencje, w których margrabina udział brała, lecz o nich nigdy przed Maruchną nie czyniła wzmianki. Wpływ jej zmalał jeszcze bardziej, gdy na miejsce przychylnego jej Rébénaka posłem francuskim w Berlinie został zupełnie jej nieznany, a dumny i nieprzystępny margrabia de Gravelle. Odtąd ona już jeno od Kazimierza dowiadywała się czasem o stanie rzeczy. Margrabina nie wzywała jej wcale do dawnych poufnych rozmów; to też Maruchna zdzi-

wiła się wielce, gdy raz, w początkach lipca, Ludwika Karolina rzekła jej zrana:

— Przyjdź do mnie wieczorem... zwiastuję ci wiadomość, która cię, Maro moja, ucieszy...

Już to samo wezwanie dawnym uczynione tonem, uradowało wielce Szczenicką. Przywiązana całą duszą do swej wychowanki, bolała mocno, widząc dziwną jej w ostatnich czasach oziębłość. Znała wprawdzie kapryśną naturę Ludwiki i pocieszać się mogła, że to jeno zmiana chwilowa, ale tym razem zadługo to trwało, i Maruchna już nieraz chciała przypaść jej do nóg i rzec:

— Czyń pani, jako chcesz, ja się w nic mieszać nie będę, jeno mi wróć łaskę swoją!

Nie uczyniła tego; wstrzymywało ją bowiem zawsze zimne a dumne spojrzenie Ludwiki; lękała się odepchnięcia i milkła. Z bijącem tedy sercem wchodziła wieczorem do sypialnej komnaty margrabiny.

Ludwika Karolina siedziała w wielkim fotelu w białej, powłóczystej, lekkiej sukni, którą zawsze przed nocą wdziewała na siebie. Włosy rozplecione spadały jej na ramiona i okalały twarz zarumienioną, swobodnie uśmiechniętą.

— Chodź! chodź! Maro... — zawołała, ujrzawszy Szczenicką, która nieśmiało wstrzymała się w progu — usiądź przy mnie jak dawniej... stęskniłam się do poufnej z tobą gawędy...

Szczenicka usiadła opodal na niskiej ławeczce.

— Bliżej! bliżej!... — wołała margrabina, czyniąc obu rękoma ruch rozpieszczonego dziecka. — Jeszcze bliżej... o, tak!... abym widzieć mogła twoją twarz i wyraz oczu, gdy ci powiem...

Podniosła do góry ramiona, które z szerokich rękawów sukni wybłysły białe i jak z marmuru wykute.

— Ach, co ja ci rzeczy opowiadać mam!...

Nagle klasnęła w ręce:

— Ale, ale! — już oddawna, jak mi mówiono, jest tu brat twój... przecz-że mi go nie przedstawiłaś dotychczas?...

Zapytanie to zdziwiło Maruchnę. Cóż ją obchodzić mógł Kazimierz? Tknęło ją przeczucie, że jeśli margrabina widzieć go pragnie, to niewątpliwie w sprawie zamierzonego jej małżeństwa.

— Nie śmiałam... — odrzekła. — Czułam się sama w niełasce...

— Oj, ty, Maro!... — zaśmiała się margrabina.

— Zresztą — mówiła dalej Szczenicka — brat mój jest tu, jak na wygnaniu... Z władzą duchowną się zadarł i lęka się nawet teraz do kraju wracać... A i tu niezbyt się pokazuje...

— U elektora był jednak!... — przerwała Ludwika — widziałam go, gdy wychodził... Dziwna twarz... pomimo lat bardzo piękna... rozumna a surowa... Przyprowadź mi go jutro... mówić z nim chcę...

Pochyliła się ku Maruchnie i patrząc bystro w jej oczy, dodała:

— A o tę sprawę z biskupem wileńskim bądźcie bez obawy... Obróci się to wszystko inaczej, gdy zostanę polską królową...

Lekki okrzyk radości wydobył się z piersi Maruchny.

— Jakto? — zawołała — czyżby Wasza Wysokość...

— A tak! a tak!... — przerwała, śmiejąc się mar-

grabina. — Widzisz... stroniłaś odemnie tak długo i nic nie wiesz!... Zaszły zmiany... Królewicz Jakób lada dzień tu będzie, zamieszka u margrabiego de Gravelle... Wszystko już ułożone... na razie w ścisłej tajemnicy... Ślub odbędzie się w Warszawie tej jeszcze jesieni, a niebawem wyruszymy do Birż...

Szczenicka uszom własnym wierzyć nie chciała. Najgorętsze jej marzenia, dawno żywione, których ziszczenia już nawet spodziewać się nie śmiała, spełniały się wszystkie...

Z wielkiej radości mówić nie mogąc, całowała z uniesieniem ręce i kolana margrabiny. A ta śmiała się aż do łez.

— Widzisz! widzisz!... — powtarzała, wśród wybuchów śmiechu. — A ty myślałaś, Maro, że ja chcę tamtego... neuburskiego Karola! cha! cha! Tak mi się zrazu zdało... stary elektor chciał... Ale gdzie zaś... to biedak jest... a Jakób — królewicz, niewątpliwie król... cha! cha!

Nagle spoważniała.

— Teraz — rzekła — trzeba wszystko mądrze ułożyć. Królewicz lada dzień tu przybędzie, oczywiście *incognito*... Nie chcemy, iżby elektor wiedział przed czasem, bo on w skrytości myśli jest za bratem cesarzowej... Oczywiście!... Przeto, Maro, tajemnica!... Gdy ci powiem, że przybył, będziesz czuwała... W poselstwie francuskiem jest jeszcze sekretarz Rébénaka — Poussin... Znasz go?

— Znam dobrze — potwierdziła Maruchna.

— Otóż pójdziesz do Poussina i wraz z nim wprowadzisz tutaj królewicza, tu, do mnie...

Szczenicka szeroko otworzyła zdumione oczy.

— Jakto? tu? do Waszej Wysokości?... to niepodobna!...

Z oczu margrabiny strzelił nagły błysk gniewu. Ona nigdy i w niczem nie znosiła oporu. Tupnęła nóżką.

— Tak musi być! — zawołała — ja tak chcę!... chcę!... Elektor nie powinien, nie może wiedzieć... Zobaczę się z królewiczem tu, a potem w ogrodzie Krauta... Przecież nie jestem dzieckiem i wiem dlaczego tak czynię...

Wstała i prostowała swą wspaniałą postać, wyciągając ramiona. Cudowne jej, dziewicze kształty rysowały się wyraźnie pod materją sukni.

— Znużona jestem, Maro, bardzo znużona — rzekła, ziewając. — A tu jeszcze Chwałkowski ma przyjść w ważnej sprawie. Podobno i on jakieś pisma z Warszawy otrzymał... Więc idź, Maro, spocznij!... O tem, com ci rzekła, bratu swemu jeszcze nie mów. Jutro sama mu powiem. Jeno niech jutro przyjdzie o południu...

Na ustach margrabiny igrał dziwny uśmiech, gdy dodała:

— A przed uśnięciem pomyśl, jak to będzie wspaniale, gdy ja będę królową, a ty pierwszą ochmistrzynią dworu w Warszawie!...

Szczenicka wyszła z pochyloną głową, zgnębiona. Bolała ją, upokarzała wyznaczona jej w tej sprawie rola, a pomimo ułudnych słów margrabiny, czuła, że pomiędzy nią a jej dawną wychowanką wyrosła jakaś zapora; domyśliwała się intrygi. Skoro Ludwika postanowiła poślubić królewicza Jakóba, pocóż tajemnica,

której elektor nie znosił?... Długo w noc biedziła się z myślami, usnąć nie mogąc.

Tymczasem wnet po wyjściu Szczenickiej wsunął się do komnaty Chwałkowski. Był bardzo pomieszany. Zaufany doradca i marszałek dworu margrabiny zbliżył się do niej śmiało.

— I cóż? i cóż? — spytał.

Powiedziałam, co ma czynić... Poszło jej to nie wsmak... ale dopełni...

— To dobrze. Działać trzeba stanowczo... Książę Anhalt, listem króla ujęty, już się niemal zupełnie na stronę królewicza przychylił i elektora podmawia... Elektor widocznie zaczyna się chwiać... Ale gdy się dowie, że królewicz potajemnie zaloty czyni, zniechęci się zupełnie...

— O, ja go znam... nie daruje mu tego nigdy! — potwierdziła margrabina: — wasz plan, jak zwykle, mądry.

Chwałkowski się skłonił.

— Obmyśliłem już wszystko... Tajemnicę pobytu królewicza w Berlinie zdradzi przed elektorem jego marszałek nadworny Grumkow... Z tej strony możemy być spokojni... Ale jest inne niebezpieczeństwo, które zażegnać trzeba...

— Jakie? — przerwała żywo margrabina.

— Otrzymałem wieści, że książę Karol przybywa...

Twarz margrabiny spłonęła rumieńcem.

— Nareszcie!... — szepnęła, chyląc głowę w pomieszaniu.

Dłonią cisnęła mocno bijące serce.

Chwałkowski patrzył na nią z lekceważącym nieco uśmiechem.

— Tak... — rzekł. — Ale niepodobna dopuścić, iżby się tu z królewiczem spotkali. Książę neuburski ukrywać się nie może; on winien przybyć jawnie, wprost do elektora, gdy tamten ujedzie. Trzeba wysłać kogoś naprzeciw, aby go powstrzymał... Inaczej wszystko popsuć się może...

Margrabina głowę żywo podniosła i już zaprzeczyć chciała, ale Chwałkowski szybko dorzucił:

— Niepodobna stawiać jego elektorskiej mości w tak trudnej pozycji pomiędzy bratem cesarzowej a synem królewskim. Gdyby przyszło tu między nimi do starcia, a przyjśćby musiało, wybór stałby się niemożebny... obadwaj dostaćby musieli rekuzę... Księcia Karola powstrzymać trzeba.

— Tak... — trzeba... — potwierdziła margrabina przekonana argumentami marszałka.

— Największa trudność w tem, — ciągnął Chwałkowski — że nie wiem kogo słać... Nikogo z widniejszych dworzan nie można, bo elektor ma teraz oczy na wszystko otwarte i służbę codziennie liczy...

— Wiem już! — zawołała nagle margrabina, klaszcząc w dłonie. — Jutro ma tu do mnie przyjść brat Szczenickiej, Łyszczyński; polecili mi go w listach hetman Sapieha i Lubomirski marszałek, jako tego, który przez nich wysłany jest, iżby królewiczowi przeszkadzał... Dotychczas nie wzywałam go, bom niezbyt ufała bratu Szczenickiej, Sobieskim przychylnej, ale teraz ponownie Sapieha pisze mi, za Łyszczyńskiego ręcząc. Więc go na jutro wezwałam... Jegoby można słać naprzeciw książęcia...

— Dobrze, — potwierdził Chwałkowski — nie

zna go tu nikt... A ja o nim wiele słyszałem... Będzie wierny, bo o jego głowę tu chodzi... Dodam mu swego dworzanina, który księcia pozna...

— Och! — zawołała margrabina — któżby go nie poznał?... On taki piękny... wspaniały!...

I po wyjściu marszałka, rzuciła się na łoże, tym razem rzeczywiście znużona. Przebiegały ją dziwne dreszcze na myśl, że książę Karol przybywa, że jest może niedaleko, że ku niej tak śpieszy, jak ona ku niemu wyrywa się myślą. Przymknęła oczy, marząc... Z nim szczęście... i z nim korona... Jakób Sobieski korony nie osiągnie, nie! Wszak ten, który wiedział wszystko... stary elektor, rzekł jej to wyraźnie... Gdy tymczasem książę neuburski, brat cesarzowej, dlaczegóżby nie mógł królem zostać, zwłaszcza gdy poślubi ją... najbogatszą w Europie dziedziczkę... Tak z nim szczęście i korona!...

Znowu przebiegły ją dreszcze rozkoszne. Pierś falowała gwałtownie... Wyciągnęła się na łożu, a potem zwinęła, jak kotka. Z pod wezgłowia wyjęła małe puzderko, otworzyła je i promiennemi oczyma wpatrzyła się w wizerunek księcia Karola. Rozchylone, wilgotne usta zbliżyła do wizerunku i całując, usypiała zwolna.

XIII.

Łyszczyńskiego w tym Berlinie porywała nieraz taka tęsknota i taka rozpacz, jak w wileńskiej kaźni biskupiej. Do Wilna lub do Warszawy wracać nie mógł, bo mu stamtąd donoszono, jak władza duchowna wciąż upornie trwała przy swojem i domagała się wykonania na nim wyroku. Sejm rozstrzygnąć miał. Ale go to coraz mniej trwożyło. Bywały takie chwile, że chętnie sam byłby się oddał pod miecz katowski, byleby te udręczenia raz się skończyły. Czuł się samotnym i niepotrzebnym na świecie. Przez listy wiedział, że małżonka jego w klasztorze na Zarzeczu zawsze w jednakim stanie dogorywała, że Zochna przebywała zawsze w Markowszczyźnie, zgnębiona i niemocna, a wierna swej miłości, czekała jeno na zezwolenie rodzica, iżby Duchnowicza poślubić. O to zezwolenie i błogosławieństwo dopraszała się nawet w liście, który mu brat Witold przysłał, ale on na to żadnego nawet responsu nie dał. Cóż go to teraz obchodzić mogło?... Czasem jeno, jak błyskawica zajaśniała mu w myśli postać Racheli i olśniło go, budząc na moment do życia. Ku niej rwała się jego myśl tęskna i pożądanie namiętne, a wówczas wyrzucał sobie, że wyjechał z kraju. Byłby ją od-

nalazł, przebłagał, rozpłomienił i przykuł do siebie na zawsze... To więzienie biskupie tak go wówczas zgnębiło, że mu odebrało myśl wszelką i uczucia; chciał jeno siebie salwować... A teraz widzi, że uczynił źle; siebie nie ocali, a utracił jedyne szczęście, jakie tylko mógł jeszcze mieć w życiu... Te berlińskie sprawy, intrygi, w które się wdał niebacznie, nużyły go i nudziły. Siedział bezczynnie, posłuszny rozkazom Sapiehy, czekając wypadków, które nie nadchodziły; lepiej mu już było siedzieć w Wilnie, w swoim dworku, wśród ksiąg swoich, któremi wprawdzie teraz pogardzał, lecz one przecież zabijały gryzące myśli.

I dnia jednego postanowił wyjechać z powrotem. Poszedł późnym wieczorem do Maruchny, aby ją pożegnać, ale ta, nie dopuszczając go do słowa, rzekła mu w pomieszaniu:

— Właśnie chciałam słać do ciebie... Margrabina chce cię widzieć... ważne sprawy ma...

Łyszczyński żachnął się.

— Ona? do mnie? przerwał — jakie sprawy? ja z nią żadnych spraw mieć nie chcę...!

— Musisz!... — z mocą zawołała Maruchna. — Snadź hetman Sapieha zalecił cię... Losy margrabiny rozstrzygają się teraz...

Jej losy! Cóż go one obchodzić mogły! O tyle chyba, iż pragnął, aby były najgorsze... Tę córkę Bogusława Radziwiłła, córkę tego, który mu uczynił najwyższą krzywdę, jaką człowiek człowiekowi wyrządzić może, widział raz jeden tylko i wnet odwrócił się... Nie mógł znieść jej widoku. I onby miał teraz stanąć przed nią?...

Tak! po to chyba, aby się pomścić, aby nie do-

puścić, iżby ona stała się małżonką królewicza Jakóba, a w przyszłości może i królową polską...

Stawił się tedy nazajutrz przed margrabiną. Serce mu biło gwałtownie; z początku oczu podnieść nie śmiał, lękał się bowiem zdradzić ze swą nienawiścią i wybuchnąć... A ona przyjęła go niezmiernie łaskawie, przybrała najwdzięczniejszy, najbardziej miękki ton głosu i usta przystroiła uśmiechem. On zaś, usłyszawszy głos ten, drgnął cały. Pomimo miękkiego dźwięku, zabrzmiał on mu w uszach nienawistnem echem; miał w sobie rozkazujące, twarde tony głosu Radziwiłła.

— Dziękuję waćpanu, żeś przybył — mówiła Ludwika. — Pisał do mnie hetman Sapieha, zalecając usługi twoje, jako są pewne i wierne...

Wówczas Łyszczyński podniósł wzrok swój na nią. Uderzyła go jej niezwykła uroda, wspaniałość postaci, ale gdyby ją był w tłumie, nieznaną, zobaczył, byłby odrazu poznał, że to córka Bogusława. Te same rysy, te same zwłaszcza oczy duże, wymowne, rzucające błyski; te same delikatne nozdrza, nieco rozdęte, a na ustach uśmiech ten sam, nieszczery, nieco szyderski. Nienawistnem spojrzeniem objął ją całą i znów oczy utkwił w ziemię. Nie mógł patrzeć na nią, bo mu się zdawało, że w tem podobieństwie rysów margrabiny z rysami jej rodzica, jest również jakieś podobieństwo z twarzą tej, którą córką swą nazywał, z Zochną... Odbicie dalekie, nieuchwytne, wystarczające wszakże, iżby oszaleć ze wściekłości...

Zacisnął pięści i sine wargi, milcząc.

A ona mówiła dalej, przedstawiając, czego od niego wymaga. Drobnostki! Aby wyjechał naprzeciw

księcia neuburskiego Karola i wstrzymał go zdala od Berlina, w czasie pobytu królewicza Jakóba.

Byłoż to szczere? czy można było zaufać jej słowom? A jeśli to podstęp? Jeśli margrabina chce jeno powstrzymać księcia Karola po to, aby królewicza poślubić?

Podniósł hardo głowę i spojrzał wprost w jej oczy.

— Jakąż rękojmię — zagadnął — dać będę mógł księciu Karolowi, że gdy on pod Berlinem czekać będzie, tu tymczasem królewicz Jakób nie osiągnie celu?...

Płomienie buchnęły na twarz margrabiny; w oczach zamigotały stalowe błyski gniewu. Zamilkła na chwilę, jakby porażona tem niespodziewanem zuchwalstwem, usiłując pomiarkować gniew, który ją ogarnął. Zagryzła zbielałe nagle usta, a wreszcie głosem dziwnie stłumionym odrzekła zwolna, każde słowo ważąc:

— Dobry wybór uczynił pan hetman... Jesteś waćpan bardzo, może nadto przezorny, a to nieoceniona zaleta dla posła! Tak! jakąż waść rękojmię dać możesz księciu Karolowi, gdy sam nie ufasz?... Ale jakąż znowu ja waści dać mogę rękojmię, skoro ci moje słowo nie starczy?...

Z każdym wymówionym wyrazem głos jej coraz silniej brzmiał. Zapalała się i czuła, że nie zdoła powstrzymać wściekłości. Więc umilkła znowu i nagle wybuchnęła śmiechem.

Śmiech był przymuszony a głośny i szyderski; miał chwilami dźwięk tłuczącego się szkła. Mimowolnie stopą uderzała o ziemię.

— Cha, cha, cha!... nieoceniony jesteś waćpan!... iście nieoceniony! Tem pytaniem swojem dajesz mi

waść najlepszą rękojmię, że się dobrze sprawisz... Bo wszak mi nie odmówisz?...

Łyszczyński ponuro milczał.

— Usiądźmy! — rzekła nagle, znów ton na poważny zmieniając. — Usiądźmy... żądaną rękojmię mieć będziesz, jedyną, jakiej ci użyczyć mogę... Rękojmią tą szczerość, z jaką ci wszystko powierzę... Odtąd od waćpana dyskrecji będę zależną...

Usiadła, niecierpliwą ręką szarpiąc koronki u sukni. Wskazała miejsce Łyszczyńskiemu, ale ten go nie zajął; skłonił się jeno i oparłszy się ręką o poręcz fotelu, stał, milcząc.

— Tak, zależną... ja od waćpana! Ale niech się stanie! Powiedziałam już waćpanu tyle, że cofnąć się nie sposób... wszystko powiedzieć muszę...

Mówiła coraz śpieszniej, urywanemi wyrazy, ciągle uderzając stopą o ziemię:

— Pozycja moja jest taka, że aby osiągnąć to, czego pragnę, aby poślubić księcia Karola, którego miłuję, muszę złudzić wszystkich... przedewszystkiem elektora, który się ciągle waha, ale już na stronę królewicza przychylać się zdaje; muszę zwieść pana de Gravelle, i pana Bielińskiego, i księcia Anhalt-Dessau, którego list królewski ujął; muszę wreszcie oszukać — tak, oszukać! królewicza Jakóba, dać mu wszelakie zapewnienia — rękojmię, cha! cha! jak waść powiadasz — iżby pewny siebie stąd ujechał... A wówczas...

Strzymała się, patrząc bystro na Łyszczyńskiego. Ten także podniósł głowę i spojrzał na nią przenikliwie:

— A wówczas?... — powtórzył.

— Poślubię księcia Karola!... Rozumiesz waść?...

Wyznaniem tem oddaję ci się w ręce... Poślubię go tajemnie... bo jawnie nie mogę, bo elektor nie zezwoli na ślub jawny, któryby go w ciężkie zawikłania z królem polskim wplątał. A tak ja tylko sama będę winna... Rozumiesz waść?...

On teraz zrozumiał i ogarniał go wstręt wobec takiej przewrotności.

— Rozumiem... — odparł — ale to także wiem, jako Jakób Sobieski królewiczem jest i łacno królem być może...

— Nigdy! — zawołała margrabina. — I to powiedzieć waćpanu muszę...

Porwała się z miejsca i zbliżając do Łyszczyńskiego, mówiła szeptem:

— Zawiązała się już konfederacja najmożniejszych przeciw królowi... Pisał mi właśnie Sapieha... Gdyby król chciał następstwo po sobie zapewnić, sam padnie... Najprzedniejsi związali się przeciwko niemu: Sapiehowie hetman i podskarbi, Lubomirski marszałek, Leszczyńscy, podskarbi koronny Zamoyski... biskupi nawet, jak Opaliński i inni... To potęga! i Jakób królem nie zostanie, nie... raczej...

Urwała. Chciała rzec: «raczej książę Karol», ale wczas się wstrzymała, nie przeczuwając, że gdyby to słowo była wyrzekła, Łyszczyński byłby odrazu się cofnął na samą myśl, że córka Bogusława może zasiąść na tronie polskim.

— Raczej... kto? — podchwycił on podejrzliwie.

— A co ja wiem! i co mnie to obchodzi?... — zawołała margrabina, którą ton mowy Łyszczyńskiego, ciągle zuchwały i nieufny, nie przestawał drażnić: —

każdy, kto siłę będzie miał... może hetman Sapieha, który tego pragnie... Co mi tam!

Przeszła się kilkakrotnie po komnacie, a potem zatrzymała się przed Łyszczyńskim:

— Zali szczerość moja starczy teraz waści za rękojmię? — spytała stłumionym głosem — chcesz-li być mi pomocnym? pojedziesz naprzeciw księcia Karola i wstrzymasz go?...

— Dobrze! — krótko, ale stanowczo odrzekł Kazimierz.

— Więc uczynisz tak: Dwóch dworzan da ci Chwałkowski, którzy księcia znają. Zresztą poznasz go sam odrazu... Nadto wspaniały jest... Wstrzymasz go, choćby u bram Berlina i wnet jednego z dworzan wyprawisz do mnie... A ja, skoro jeno królewicz odjedzie, dam znać... Wówczas przybędziesz z księciem do mieszkania posła cesarskiego, barona Freytaga, który o wszystkiem wie i przychylny jest... A teraz jedź, nie zwłócząc, dziś jeszcze...

Wyjęła z zanadrza list opieczętowany i podając go Kazimierzowi, dodała:

— To moje pismo do księcia... oddasz mu je...

Łyszczyński wziął pismo, skłonił się i ku drzwiom zmierzał. Margrabina zawołała za nim:

— A siostrze nie mów nic... bo ona za królewiczem... mogłaby przeszkadzać.

Kazimierz odwrócił się, pogardliwe spojrzenie na margrabinę rzucił i odparł:

— Przeszkadzać nie będzie... a ja białogłowom nie zwierzam się...

Skłonił się raz jeszcze i wyszedł.

A margrabina z zaciśniętemi pięściami rzuciła się ku drzwiom, które się za nim zawarły. Pogardę spojrzenia odczuła... coś ją za gardło schwyciło, dusząc; w oczach stalowe migotały błyski, a z zaciśniętych ust wyszło jedno tylko słowo:

— Pies!

XIV.

Stało się wszystko wedle ułożonego planu. Królewicz Jakób przybył do Berlina w tajemnicy i zamieszkał u posła francuskiego, margrabiego de Gravelle. A wówczas dla margrabiny zaczęła się zabawa. Żywiołem jej był podstęp i intryga, to też jej rozradowaniu sama nawet Szczenicka wydziwić się nie mogła; zdawało się czasem Maruchnie, że Ludwika rzeczywiście rozmiłowała się w królewiczu, chociaż on urodziwym nie był zgoła. Niskiego wzrostu, szczupły, postaci nieforemnej, nie mającej w sobie nic męskiego, nie mógł chyba podobać się margrabinie. Nawet Maruchna, ujrzawszy królewicza, doznała niemiłego rozczarowania. Wyobrażała sobie, że syn Jana III musi być do niego podobny, musi być typem rycerskiej i polskiej urody. Tymczasem Jakób wyglądał raczej na Hiszpana lub Francuza ze swoją ciemną twarzą, której nie ożywiały oczy, bez blasku i wyrazu. Nawykłą do ścisłej etykiety na dworze elektorskim, dziwiło to przytem i oburzało Maruchnę, że królewicz polski zgodził się na to potajemne przybycie i na odgrywanie roli, która w oczach ochmistrzyni ubliżała jego godności. To też z niesmakiem i jeno pod przy-

musem wprowadziła Jakóba pokryjomu, nocą, do zamku, do komnat margrabiny; z niesmakiem i jeno ulegając rozkazowi Ludwiki, towarzyszyła jej do ogrodu Krauta na spotkanie królewicza; niechętnym była świadkiem zamiany pierścionków i wizerunków. A na domiar nie mogła chwilami oprzeć się podejrzliwej myśli, że margrabina czyni to nieszczerze, raczej z lekkomyślności i dla płochej zabawy, albo w jakimś ukrytym celu, niż w rzeczywistym zamiarze poślubienia królewicza. Chciała wreszcie o wszystkiem oznajmić bratu i posłała po niego, ale jej powiedziano, że Łyszczyński wyjechał, nikt zaś nie wiedział, w jakim celu i na jak długo.

Aliści dnia pewnego stało się w zamku *larum* ogromne. Marszałek nadworny elektora, Grumkow, powiedział mu o tajnym pobycie królewicza w Berlinie i jego konszachtach z margrabiną. A na to Fryderyk wściekł się z gniewu. W pierwszym porywie posłał do poselstwa francuskiego z żądaniem, aby sekretarz Poussin, który Jakóbowi tajemne schadzki z margrabiną ułatwiał, natychmiast wyjechał; wezwawszy zaś Szczenicką, oświadczył jej w wielkiem gniewie swoją niełaskę.

— Nie wiem jeszcze co uczynię...—rzekł wkońcu— mam wzgląd na dawne twoje zasługi... W każdym zaś razie miejsce ochmistrzyni margrabiny od dzisiaj zajęte... Panna Grumkow je zajmie!...

Popłoch w zamku był okrutny, a tylko jedna margrabina nie traciła swobody. Właśnie dnia tego odbyła ona tajną konferencję z Chwałkowskim i przyjmowała dworzanina, który z Łyszczyńskim był ujechał.

Z konferencji tej wyszła rozpromieniona, uśmiechnięta, szczęśliwa!

— Nie lękaj się nic — rzekła do strwożonej i zapłakanej Szczenickiej: — ja cię, Maro, nie opuszczę, a elektora przekonam...

I poszła sama do Fryderyka.

Narada trwała niedługo. Zrazu elektor ostro margrabinę przyjął.

— Wasza Wysokość zapominasz, — rzekł dumnie — coś winna naszemu domowi i nazwisku, które nosisz... Lekkomyślnością swoją wprowadziłaś mnie w troski, z których nie wiem jak wybrnę... Z jednej strony król polski, a z drugiej brat cesarzowej, szwagier cesarza... Co ja mu powiem?

Ludwika Karolina stała przed nim z pochyloną głową, w pozornem pomieszaniu. Ale ukradkiem rzucała z pod czoła na elektora iskrzące spojrzenie; swawolny uśmiech igrał na jej ustach. Nagle podbiegła ku niemu i nie zważając na zgorszoną minę Fryderyka, oba ramiona zarzuciła mu na szyję i poczęła szeptać do ucha...

Na twarzy elektora odbiło się zdumienie, ale przytem jakby wyraz pogardy. Widocznie był zadowolony z tego, co mu margrabina rzekła, a jednak żachnął się, cofnął i patrzył na nią z pewnym przestrachem, czy odrazą.

— No... no... no... — powtarzał, przechadzając się po komnacie.

A ona śmiała się głośno, klaszcząc w ręce, jak swawolne dziecko.

— A co? — mówiła. — Żaden Danckelmann lepiej nie wymyśli... Wybawiłam Waszą Elektorską Mość

z kłopotu... Jeżeli król polski gniewać się będzie, to jeno na mnie, a najjaśniejszy cesarz nie będzie miał powodu do gniewu... cha! cha!

— Ja słuchać tego nie chcę... ja o niczem nie wiem!... bronił się Fryderyk.

— Słuchać nie chcę, a słucham, — szydziła margrabina — wiedzieć nie chcę, a wiem... cha! cha...

Elektor groźnie na nią spojrzał.

— Ależ nikt nas nie słyszy, — uspokajała Ludwika — a ja nikomu nie powiem...

Oddała dworski, ceremonialny ukłon.

— A teraz — dodała — służby swoje powolne zalecam Waszej Elektorskiej Mości, miłościwemu panu mojemu i bratu...

Zaśmiała się w głos i wybiegła.

Elektor żywo przechadzał się ciągle po komnacie, powtarzając:

— No, no, no!

A potem rozkazał przywołać Grumkowa i polecił mu iść natychmiast z powitalnym komplementem do królewicza Jakóba.

— Powiedz mu, — rzekł — iż mocno żałuję, że jego *incognito* nie pozwala mi należycie uczcić królewskiego syna... Ale wolę jego szanuję i proszę, aby do zamku bez wszelkiej ceremonji przybyć raczył...

Tegoż dnia jeszcze odbyło się spotkanie królewicza z elektorem w bibljotece zamkowej. Fryderyk okazał się niezmiernie serdecznym; oświadczył, że wiadome mu są zamiary królewicza względem jego bratowej, i czuje się niemi wielce zaszczyconym, a osobiście związku tego bardzo sobie życzy, jako wierny

sprzymierzeniec, obowiązany przyjaciel i wielbiciel najjaśniejszego króla...

W kilka dni potem królewicz Jakób wyjeżdżał z Berlina, uszczęśliwiony, wioząc z sobą solenne przyrzeczenie margrabiny, iż we wrześniu do Warszawy na ślub przybędzie, a nadto jej własnoręczny skrypt, w którym oświadczała, że w razie gdyby nie dotrzymała danego przyrzeczenia, zrzeka się na rzecz Rzeczypospolitej wszystkich dóbr swoich, w granicach Polski leżących...

Skryptu takiego domagał się w imieniu królewicza Bieliński, i omal że o to cała sprawa się nie rozchwiała. Rozstrzygnął to jednak Chwałkowski, który po naradzie z margrabiną, przedstawił elektorowi, że odmowa skryptu już z góry oznaczałaby podstępną myśl zerwania umowy, takiego zaś przypuszczenia nie należało wzbudzać. A w danym razie, następstw nie można się było obawiać; skrypt pozostawał skryptem, martwą literą, której wykonanie możebne byłoby chyba przy silnej władzy króla i zgodnej woli Stanów...

— Znając zaś sprawy, — kończył Chwałkowski — nie jeden, ale nawet dwa takie skrypta można było bez obawy wystawić... Usypiało to skutecznie podejrzenia i niepokój, a nie groziło żadnem niebezpieczeństwem...

Elektor słuchał uważnie i swoim zwyczajem odpowiedział:

— Czyńcie, jak uważacie... ja się w to nie mieszam i o niczem nie wiem!... Słyszałeś, Chwałkowski?... ja o niczem nie wiem!...

Tegoż dnia skrypt był napisany i podpisany własnoręcznie przez margrabinę, a nazajutrz królewicz

Jakób uprzejmie przez elektora, a serdecznie przez Ludwikę pożegnany, opuszczał Berlin, pełen otuchy i zadowolenia ze spełnionych życzeń.

Tegoż dnia książę Karol neuburski był już w stolicy elektorskiej i wedle umowy ukrywał się zrazu w mieszkaniu posła cesarskiego, barona Freytaga. Był to czas wspaniałych przyjęć na dworze kurfirsta, spowodowanych przybyciem elektora hesko-kaselskiego, panującego księcia kurlandzkiego, księżny hanowerskiej i innych dostojnych gości. Codziennie odbywały się wielkie łowy, objady, gromadne wycieczki w okolicę. W tych jednak wycieczkach margrabina zrazu nie chciała brać udziału, zasłaniając się niezdrowiem. Ale skoro tylko dwór cały na łowy wyruszył, wychodziła potajemnie z zamku i najczęściej pieszo, w towarzystwie panny Grumkow, szła do mieszkania Freytaga, który również, zasłaniając się chorobą, w łowach nie uczestniczył, aby ułatwiać spotkania margrabiny z pięknym palatynem. Gdy to jednak długo utaić się nie mogło, i już nawet u dworu przebąkiwać poczęto, jako baron Freytag margrabinę potajemnie u siebie przyjmuje i objady dla niej wydaje, postanowiono notyfikować elektorowi przybycie księcia. Fryderyk okazał wielką z tego przybycia radość i wnet posłał trzy poszóstne karoce dworskie po dostojnego gościa, zapraszając go do zamku. I znowu cały szereg zabaw dworskich, wśród których wszakże zauważono szczególną poufałość margrabiny z księciem Karolem. Poufałość ta była tak rażąca, że poseł Bieliński, który właśnie za skuteczne swe w sprawie królewicza zabiegi otrzymał był od Jana III przywilej na podkomorstwo koronne, przerażony tem, co widział, ośmielił się zwró-

cić uwagę margrabiny na niewłaściwość takiego zachowania się. Ludwika Karolina z początku wybuchnęła śmiechem, a potem ofuknęła się i odparła:

— Wiem, co czynię... i dzieckiem nie jestem!... Zresztą — dodała, wczas się miarkując — najlepszą odpowiedzią na zarzuty waćpana jest oto list, który napisałam do królowej matki z podzięką za przysłane mi wspaniałe dary, zwłaszcza zaś za cudowny diadem brylantowy, iście królewski. Chciej waść raz jeszcze ze swej strony wyrazić odemnie obojgu Najjaśniejszym Królestwu głęboką wdzięczność, a królewiczowi, przyszłemu małżonkowi memu, powinne sentymenta...

Bieliński odszedł uspokojony, mając w ręku list margrabiny do królowej matki, a Ludwika wnet wezwała do siebie Chwałkowskiego i z nim długą miała naradę.

Tymczasem Łyszczyński od swego powrotu do Berlina przemyśliwał jeno nad tem, jakby się co rychlej z tej elektorskiej stolicy wydostać. Ciężej mu to było teraz, niż przedtem, albowiem książę Karol, widząc w nim posła zaufanego margrabiny, sam niezmiernem zaufaniem darzyć go począł i ciągle używać chciał w misjach do niej tajemnych. Kazimierz usuwał się od tego stanowczo, rozmaitemi zasłaniając się pozorami, coraz bardziej zdecydowany wyjechać z Berlina.

To pragnienie wzmógł jeszcze list Szółkowskiego, który mu donosił z Warszawy, że tam i w kraju od jego wyjazdu zmieniło się wiele na jego niekorzyść. Szlachta, której chwilowem bożyszczem stał się po swem uwięzieniu Łyszczyński, zdawała się teraz o nim zgoła zapominać, a nawet coraz częstsze odzywały się głosy, potępiające jego bezbożność i przyznające słu-

szność biskupom. Pośpieszny jego wyjazd z Wilna, z nieznanych powodów, mianowany był poprostu haniebną ucieczką, a Sapieha, odpowiedzialny za więźnia, albo milczał, albo nieśmiało brał go w obronę, coraz bardziej naciskany przez biskupa Brzostowskiego. U dworu miano o nim przekonanie najgorsze, że jest ateuszem i rozpustnikiem, zasługującym na spalenie. Utwierdzało się tam mniemanie, że wszystkie klęski, jakich doznała w ostatnich czasach polityka dynastyczna dworu Sobieskich, są karą bożą za szerzące się w kraju złe obyczaje i niewiarę. Tak głosił z kazalnicy biskup Załuski, powtarzał to królowi codziennie nieodstępny o. Vota, mówił to wreszcie sam król, narzekając na knowane przeciw sobie spiski i na bezbożnych, którzy pomstę niebios ściągają.

«O tem, że waszmość jesteś w Berlinie, — pisał wkońcu Szółkowski — dotychczas nie wiedział nikt. Ale teraz — mówił mi to pan hetman Sapieha, który mnie od pewnego czasu wielkiemi łaskami darzy, — poczynają już przebąkiwać o tem, przydając waćpanu nieprzychylne dla zamiarów królewskich intencje. Na ślad pobytu waszmości w Berlinie wpadł żyd Betsal (żydowie wszystko spenetrują!), arendarz królewski, o którym, lubo jest znienawidzony powszechnie, w tem obecnem zamieszaniu, zapomniano nieco. Owoż Betsal ten miał żalić się przed królową, a potem przed królem, żeście jego córkę, Rachel, w sobie rozmiłowali i uwiedli, i że ona naprzód z Wilna do Warszawy, a teraz z Warszawy za wami w świat zbiegła. Rzeczywiście, Rachel, nie mogąc znieść dokuczliwości macochy, znikła. W pogoni za nią żydowie odnaleźli was w Berlinie; na ślad jej wszakże nie natrafili dotych-

czas. Teraz śladów jej szukać należy w którym z tutejszych lub wileńskich klasztorów, w ostatnich bowiem czasach Rachel głośno oświadczała, jako pragnie chrześcijańskiej wiary się uczyć. Mówiła o tem głośniej, iżby przeciw wyrokowi, za ateizm was potępiającemu, świadczyć... Wyznała to nawet pono niektórym biskupom. — Głoszą — wołała — jako on w Boga nie wierzy, a oto on właśnie prawdziwej wiary mnie nauczył! — Wśród duchowieństwa szepcą już o tem powszechnie; jedni przyznają, że to mocne za wami świadectwo; drudzy twierdzą, że Rachel w obłąkaniu jest, inni znów, że to miłośnica wasza, która was ocalić chce... A żydowinów opanowała wściekłość, zwłaszcza zaś potężnego Betsala i niemniej potężnego doktora Jonasa. Rabin wileński Betsal pono umarł z rozpaczy. Przeto na baczności się miejcie».

Łyszczyński czytał i własnym oczom nie wierzył. Chciał wnet zerwać się i jechać do Warszawy i Wilna i śladów Racheli szukać. Cóż go obchodzić mogły grożące mu tam niebezpieczeństwa: wyrok biskupi i zemsta żydowska? Myśl o Racheli ogarnęła go całego, o tej istocie cudownej, która o nim jeno myślała i dla niego zawsze do poświęceń była gotowa. On ją odnajdzie i wyrwie, czy to z murów klasztornych, czy ze szponów żydowskich!

Biegł już do Szczenickiej, iżby ją pożegnać, ale na drodze spotkał ją samą. Strwożona i zapłakana, dążyła ku niemu.

— Ratuj, bracie! — wołała w pomieszaniu. — Ogromne nieszczęście...

— Cóż się stało? — spytał obojętnie Kazimierz,

a w duchu pomyślał: «Gdyby cały Berlin zapadł się, nie byłoby wielkiego nieszczęścia...»

Maruchna zaś urywanemi wyrazy mówiła jak w gorączce:

— Od kilku godzin margrabiny niema w zamku! Myślano, że jest u księżny hanowerskiej, ale ta twierdzi, że margrabina oddawna wyszła od niej... Rzeczywiście, widziano ją, jak schodziła bocznemi schodami. Na dole czekała karoca drugiego posła cesarskiego Sternberga... Ona wsiadła do niej i pojechała!... A teraz w zamku piekło!...

Łyszczyński począł śmiać się ogromnie:

— A to was w pole wywiodła! Chociaż tu w tym Berlinie nigdy nie wiadomo, kto kogo oszukuje... Nie potrzebujesz mówić mi dalej, bo ja sam wiem... Książę Karol chciał nawet, iżbym margrabinie w tej podróży z zamku do hrabiego Sternberga towarzyszył, alem odmówił, albowiem takie sprawy nie dla mnie. Więc teraz ci powiem... Córka Bogusława Radziwiłła nie mogła być inną.... to żmija... Poślijcie do hrabiego Sternberga, tam ją znajdziecie w miłej kompanji książęcia Karola, którego jest już o tym czasie albo małżonką, albo miłośnicą... co zresztą na jedno wychodzi...

Szczenicka ręce łamała w rozpaczy.

— Co ja poczne? — wołała — co ja poczne?

— O ciebie ja się nie lękam, — szydził Kazimierz — raczej o księcia Karola, który jest grzeczny pan... cóż on teraz pocznie z taką żmiją?...

Weszli na dziedziniec zamkowy, z którego właśnie wytoczyła się karoca Bielińskiego. Ujrzawszy Szczenicką, podkomorzy koronny wyskoczył z pojazdu. Twarz mu pałała oburzeniem:

— Piękna z waćpani ochmistrzyni! — zawołał; — nie masz chyba poco wracać do zamku!...

— Margrabina?...

— Margrabina — ciągnął dalej Bieliński — spożywa teraz wieczerzę ze swym małżonkiem, księciem Karolem, z którym ją przed godziną skojarzył kapelan hrabiego Sternberga!

— To nie może być!... — krzyknęła Szczenicka.

— Nie udawaj waćpani! — przerwał surowo Bieliński: — wasza to intryga... Wszak rodzony brat waćpani, tu obecny pan Łyszczyński, nie zaprzeczy, że z polecenia Sapiehów do Berlina przybył, aby królewicowi Jakóbowi przeszkadzać i że po księcia neuburskiego jeździł... My wiemy wszystko...

— Dopiero teraz? — spytał szyderczo Łyszczyński, którego gniewna mowa podkomorzego niepomiernie drażniła: — dopiero teraz? W sam czas!...

Bieliński piorunującym wzrokiem na niego spojrzał.

— Nie zapomnieli tam o waćpanu w Warszawie — mruknął przez zaciśnięte zęby — z upragnieniem czekają powrotu...

— Pojedziemy razem! — krzyknął porywczo Kazimierz: — musisz waść przecież podziękować królowi za dobrze zasłużone podkomorstwo koronne! Dobrze zasłużone... cha! cha! cha!

— Zuchwalec! — mruknął przez zaciśnięte zęby Bieliński, wsiadł do karocy i kazał woźnicy pędzić co koń wyskoczy do francuskiego poselstwa.

XV.

Na wieść o tej, jak ją nazywano, zdradzie Ludwiki Karoliny, zapanowało naprzód w Warszawie osłupienie, a potem wybuchnął gniew. Nie chciano zrazu wierzyć tej wieści, ale ją niebawem ustnie potwierdził przybyły z Berlina Bieliński. Opowiadał rzeczy niesłychane. Tego dnia, w którym odbył się ślub tajemny margrabiny z księciem Karolem w mieszkaniu posła cesarskiego, powróciła ona późno w nocy do zamku, kędy na nią oczekiwali Bieliński i poseł francuski, margrabia de Gravelle, który przedtem napróżno szturmował do domu hr. Sternberga. Pomimo spóźnionej pory, przyjęła ich margrabina bez trudności i bardzo wesoła, śmiejąc się i żartując, wyszydzała ich przypuszczenia, zgoła dziecinnemi je mieniąc. Zuchwale przeczyła wszystkiemu.

— Pocóż — mówiła — miałabym czynić to tajemnie, co jawnie uczynićbym mogła? Elektor wprawdzie gorąco życzy sobie mego związku z królewicem Jakóbem, ale przymusu chybaby nie wywarł... A przecież pan Bieliński żądał i otrzymał rękojmię... skrypt mój...

Zaśmiała się głośno.

- Szaloną przecież nie jestem, aby tak, bez powodu, darowywać dobra swoje Rzeczypospolitej...

Posłowie wyszli z tego posłuchania zachwiani, ale Bieliński nie zaspał sprawy i tejże jeszcze nocy za pośrednictwem dworzan swoich, którzy mieli bliskie stosunki z dworzanami hr. Sternberga, dowiedział się szczegółowo o wszystkiem. Po ślubie odbył się wspaniały obiad, na którym była księżna hanowerska ze swym dworem, małżonki obu posłów cesarskich i wiele innych zaufanych osób. Po obiedzie magrabina głośno oświadczyła, że pragnie ze swym nowo zaślubionym małżonkiem pozostać sam na sam, i ująwszy go za rękę, śmiejąc się wesoło, prowadziła do dalszej komnaty.

Księżna hanowerska chciała jej w tem przeszkodzić, ale ona oświadczyła, że taka jest jej niezłomna wola, lęka się bowiem, iżby potem nie czyniono starań celem unieważnienia tajemnie zawartego a nie dokonanego małżeństwa. I zarzucając oba ramiona na szyję księciu Karolowi, dodała wśród pocałunków:

— Do niego należę, jego miłuję i nawet tej myśli nie znoszę, aby mnie z nim cokolwiek, prócz śmierci, rozdzielić mogło!

Mając te wszystkie szczegóły, Gravelle z Bielińskim udali się nazajutrz ponownie do elektora, który zrazu wierzyć temu nie chciał, a potem udał gniew wielki. Wysłał do margrabiny księcia Anhalt z Chwałkowskim i dwoma jeszcze ministrami, aby zażądali od margrabiny wyjaśnień, ale ona oświadczyła, że jeno samemu elektorowi dać je może w poufnej rozmowie. Rozmowa ta nie trwała długo, a Fryderyk wyszedł wkrótce z komnat margrabiny, płonący oburzeniem.

— To rzecz niesłychana! — wołał. — Przyznała się zuchwale do wszystkiego... Ja zaś oświadczyłem,

że znać jej nie chcę, i rozkazuję, aby natychmiast zamek elektorski opuściła. Ona zaś na to: że niczego więcej nie pragnie, i że w Heidelbergu, przy boku umiłowanego małżonka, będzie jej lepiej... Niewdzięczna! niegodna!...

Wymachiwał rękoma i biegał oburzony po komnacie.

— Wyjeżdżam niezwłocznie do Koepenik... widzieć ich nie chcę! To poprostu zbrodnia!...

Zwrócił się szybko do Bielińskiego.

— Dziś jeszcze — dodał — wyślę nadzwyczajnego posła do Warszawy, iżby Jego Królewskiej Mości i Najjaśniejszej królowej, oraz królewicowi wyraził w mojem imieniu żal mój i ubolewanie... A obu waszmościów obliguję, iżbyście jako naoczni świadkowie, u dworów waszych stwierdzili, iż to wszystko spadło na mnie jak grom i wstrząsnęło do głębi... Mówić z oburzenia nie mogę...

Posłowie w milczeniu opuścili elektorską komnatę, a wnet po ich wyjściu zmieniło się wszystko. Wyraz oburzenia znikł z twarzy elektora; na ustach zaigrał uśmiech. Zwolna przechadzał się po komnacie, mrucząc:

— No... no... no!...

Wtem drzwi uchyliły się zlekka i ukazała się w nich rozpromieniona, uśmiechnięta twarz Ludwiki. Ujrzawszy elektora samego, wbiegła żywo i kładąc głowę na ramieniu Fryderyka, łasząc się jak kotka, rzekła:

— Czy to naprawdę Wasza Elektorska Mość gniewasz się na mnie? Wszak chyba nie za to, żem

skierowała gniew najjaśniejszego króla polskiego od was na siebie?...

Elektor odwracał głowę, aby się nie roześmiać

— Zaiste, — odparł — szalona z ciebie głowa... A teraz co?... Będą kłopoty... będą... A skrypt twój, dany królewicowi *sub damnis terrestribus*?...

— Żartujecie chyba! — zawołała. — Na to potrzeba uchwały sejmu, Chwałkowski to wie, a sejm może w razie potrzeby nie dojść... Zresztą w ostateczności Sapiehowie siłą zbrojną moich dóbr strzec będą... tak przyrzekli...

— Trzeba — ciągnął dalej Fryderyk — złożyć poręczenie, że ani ja, ani książę Karol, ani nikt z domu naszego współubiegać się z królewicem Jakóbem o koronę polską nie będzie.

Księżna ciągle się śmiała.

— Współubiegać się nie będzie, zwłaszcza jawnie, ale wybrany być może!...

Elektor spojrzał na nią nieledwie z przestrachem i chciał coś rzec, gdy wtem silny turkot ozwał się na dziedzińcu.

— Książę Karol! — zawołała Ludwika, klaszcząc w dłonie.

Fryderyk podbiegł do okna. Przed zamek zajeżdżała wspaniała poszóstna karoca palatyna.

— Nie chcę... nie mogę go widzieć! — zawołał elektor, — każ mu powiedzieć przez szambelana, że nie przyjmuję!...

Ludwika pochyliła głowę i z pod czoła spoglądając rozpromienionym wzrokiem na Fryderyka, odrzekła, tłumiąc śmiech:

— A może tym szambelanem mogę być ja?...

Może Wasza Elektorska Mość zezwolić raczy, abym jego wysokość księcia neuburskiego do mieszkania dla większej pewności i bezpieczeństwa sama odwiozła?...

Elektor ręką machnął.

— Teraz wszystko jedno!... — rzekł. — Zabierzcie z sobą i tę... tę... Szczenicką... niech mi się tu nie plącze...

Ludwika podniosła twarz nagle spochmurniałą. Stalowe błyski zamigotały w jej oczach.

— I na heidelberskim dworze — rzekła tonem twardym — ona plątać się nie będzie... Nadto miłuje królewica Jakóba. Intryg polskich nam nie trzeba... Szczenicka wraca z bratem...

Wyraz najwyższej pogardy odbił się w spojrzeniu elektora.

— Bezczelna! — wyszeptał za odchodzącą śpiesznie Ludwiką.

Tegoż dnia wyjechał kurfirst do Koepenik, nazajutrz zaś wyruszył do Wiednia i Heidelbergu książę Karol z małżonką. Łyszczyński z rozżaloną i we łzach tonącą Maruchną podążył na Litwę.

XVI.

Rozszedł się tedy w Polsce dreszcz oburzenia na niecny postępek Radziwiłłówny, który był rękawicą, zuchwale rzuconą nietylko domowi Sobieskich, lecz całej Rzeczypospolitej. Nie brakło też projektów odwetu. Jedni, a w tej liczbie ojciec królowej, margrabia d'Arquian, radzili, aby królewicz Jakób wyzwał na rękę księcia Karola, ale temu sprzeciwił się sam król. Inni doradzali zająć natychmiast w posiadanie olbrzymie dobra Ludwiki, a to na podstawie jej skryptu, wydanego królewiczowi. Wreszcie stronnictwo francuskie podniosło głowę i domagało się zerwania świętego przymierza, zawartego z cesarzem przeciw Turkom i wysłania do Warmji siedmiu pułków koronnych, celem odebrania elektorowi dawnego lenna pruskiego. Mówiono, że przybyły do Warszawy han tatarski ofiarował pośrednictwo swe w zawarciu pokoju z Turcją, który przynieść miał Rzeczypospolitej w zysku Wołoszczyznę, znaczną sumę pieniężną i oddawna tak upragniony zwrot Kamieńca z zagarniętą częścią Podola. Głoszono także, że przy królu zawiązuje się już konfederacja wojskowa, przez Francję wspierana, która wespół z wojskiem francuskiem miała iść przeciw cesarzowi na Śląsk lub Węgry... Wszystkie te wieści czy-

niły popłoch niemały, a widziano posłów cesarskich i brandenburskich w nieustannym ruchu, to usiłujących zdobyć posłuchanie u królowej, którego ona im stanowczo odmawiała, to odbywających ciągłe narady z senatorami, stojącymi na czele stronnictwa, przeciwnego Sobieskim i dążącego teraz stanowczo do detronizowania króla. Jan III miał już w ręku dokumenta, stwierdzające niezbicie istnienie spisku, na którego czele, po niedawnej śmierci Wielopolskiego kanclerza, stali obaj Sapiehowie, hetman i podskarbi, Radziejowski prymas, chełmiński biskup Opaliński i kijowski Załuski, marszałek wielki koronny Stanisław Herakliusz Lubomirski, Ogiński Marcjan kanclerz wielki litewski, wojewoda sieradzki Pieniążek, podskarbi koronny Marcin Zamoyski i wielu innych.

Pełen goryczy, zbolały król, widząc dokoła siebie tyle zdrady i tyle niewdzięczności, czując się tym spiskiem najmożniejszych senatorów skrępowanym w swem działaniu na zewnątrz, a z drugiej strony widząc wyraźnie zagraniczne intrygi w tym spisku, mógł jeno z rozpaczą powtarzać słowa, wyrzeczone na Radzie senatu po zerwanym w Grodnie sejmie:

— Zdumiewać się będzie kiedyś potomność, że po takich zwycięstwach i triumfach, po tak szerokiej, na świat rozgłoszonej sławie, wieczysta nas, żal się Boże, potkała *labes* i niepowetowana szkoda!

Zrazu miał jeszcze nadzieję, że za ubliżenie czci domu królewskiego jakiekolwiek zadośćuczynienie otrzyma na sejmie, zwołanym w grudniu 1688 roku. Ale niebawem i ta nadzieja pierzchła. Gdy bowiem weszła pod obrady propozycja od tronu, iżby dobra księżny neuburskiej, na podstawie skryptu przez nią

wydanego, zająć, posłowie litewscy nawet na odczytanie projektu takiej konstytucji zgodzić się nie chcieli, jakkolwiek król wspaniałomyślnie oświadczył, że dochody z dóbr tych przeznaczyć zamierza na koszta wojenne.

— Byłaby to — wołano — nietylko niesłychana krzywda, wyrządzona dostojnej księżnie z Radziwiłłów domu, lecz wywołanie waśni, a może i groźnej wojny z cesarzem, kurfirstem i sprzymierzeńcem jego, królem szwedzkim. A do tego dopuścić nie lża!...

Było odrazu rzeczą widoczną, że tak Sapiehowie przez elektora ujęci, jak oddawna stronnik bradenburski, Rafał Leszczyński, wojewoda poznański, raczej sejm zerwą, aniżeli dopuszczą do uchwały konfiskaty dóbr Radziwiłłowskich. Wobec tego niebezpieczeństwa, król mając na oku ważne sprawy, czekające załatwienia, propozycję swą cofnął.

— Żal się Boże, — mówił z goryczą — co się dzieje nietylko z nami, z domem naszym, lecz z całą Rzecząpospolitą!... My to jednak wszystko w ranach Zbawiciela utopićbyśmy chcieli, a zemsty z największych naszych nie pragniemy nieprzyjaciół!

Wiedziano wszakże powszechnie, że stronnictwo królewskie zamierza wytoczyć na sejmie sprawę sprzysiężenia przeciw królowi.

Była więc wielka czujność w obozie Sapiehów, a posłowie litewscy z Szółkowskim na czele, zupełnie już hetmanowi Sapieże oddanym, czekali jeno hasła, iżby w razie wytoczenia tej sprawy sejm zerwać...

Gdy się to działo w stolicy, Łyszczyński tymczasem, umieściwszy siostrę w Markowszczyźnie, przy Zochnie, przybył do Wilna, śladów Racheli szukać.

Ale tu odrazu poznał, jako Szółkowski nie kłamał w swem piśmie do Berlina mu przesłanem, że usposobienie względem niego zgoła się zmieniło. Od skazanego wyrokiem biskupim ateusza stroniono teraz widocznie, zarzucając mu nadto przymus, na Zochnie wywarty. Duchowieństwo z kazalnicy wzywało wiernych, iżby wszelakich stosunków z wyklętym się strzegli. Z drugiej strony mieszczanie, ze starym Duchnowiczem na czele, wrzeli oburzeniem za wzgardliwe odepchnięcie i ciężkie zranienie młodego płatnerza, wreszcie żydzi dyszeli przeciw niemu nienawiścią, przypisując mu śmierć starego rabina Betsala i uprowadzenie Racheli, i wyklinali go srożej jeszcze niż duchowieństwo, a głośno odgrażali się zemstą. Nie czując się tedy w swym dworku bezpiecznym, zwłaszcza że najbliżsi przyjaciele jego, jak Szółkowski, Grothus i inni, którzyby mu pomoc dać mogli, na sejm do Warszawy ujechali, w obawie, iżby się znów do więzienia biskupiego nie dostać, udał się do pałacu hetmana Sapiehy, sądząc, że tam bezpieczne schronienie znajdzie.

Hetmana nie było, ale dworzanie w pałacu pozostawieni, przyjęli go chętnie, wiedząc o jego poprzednich z wojewodą stosunkach. Stamtąd jeno późnym wieczorem wymykał się na miasto, snuł się po pustych ulicach, wokoło klasztoru na Zarzeczu, zabiegał na dalekie przedmieścia. Jakaś nieuchwytna, zgoła nierozsądna nadzieja mówiła mu, że trafi, że trafić musi na ślad Racheli. Teraz, gdy już zupełnie bezczynnym i zgoła samotnym był, chwytała go niewymowna do niej tęsknota. Czuł się ściganym ze wszech stron, jak dziki zwierz, bez jednej przyjaznej dłoni, bez jednego dobrego słowa i spojrzenia... Za krótki

moment z nią rozmowy oddałby resztę tego marnego żywota, który wlókł się za nim, jak łachman stargany... I porywały go znowu dawne napady wściekłości. Z takich wycieczek wracał na Antokol złamany, znużony, pragnący spoczynku, którego znaleźć nie mógł, albowiem sen odbiegał od powiek, a gryzące myśli przewalały się w rozgorączkowanym mózgu, bezładne a straszne, jak widma. Wśród nich zjawiała się czasem postać Racheli, promienna i uśmiechnięta, częściej żałobna i z wyrzutem na ustach. A wówczas porywał się ku niej, chciał schwycić w objęcia, ale ona usuwała się, oddalała i nikła jak mgła...

— Rachel! Rachel! — wołał, biegając po komnacie.

W ciemościach obijał się o zimne ściany, mówił do niej głośno, o przebaczenie błagał, mówił o nędzy swego życia, zaklinał, aby ulitowała się nad nim i przybyła pocieszyć choćby jednem słowem, jednem spojrzeniem; wreszcie wyczerpany taką walką, upadał z jękiem na ziemię...

A wówczas w omdleniu, jak przez sen, zdawało mu się, że słyszy jej głos, cichy, stłumiony, dziwnie poważny i łagodny.

— Wróć na dawną drogę, — mówiła mu ona — uwierz w tego Boga, którego się wyparłeś, a do którego przywiodła mnie miłość dla ciebie... Miłowałam cię grzesznie, a teraz miłuję duszę twoją i chcę z nią łączyć się w jednej wierze świętej...

Z temi słowy, które brzmiały jak dalekie echo, spływało na niego uspokojenie dziwne, jakieś od lat dawnych niedoznawane pragnienie wiary, tej wiary

prostej, dziecinnej a żarliwej, która niegdyś przepełniała całą jego istotę w ciszy celi klasztornej.

I usypiał, wstrząsany łkaniem, które mu pierś rozrywało. Ale z pierwszym dnia brzaskiem budził się znów inny, targany tęsknotą, smutkiem i wątpliwościami, które stłumić usiłował głośnem bluźnierstwem, wyznaniem niewiary.

— Szalony jestem! mówił: — skąd mi te myśli? Zbudził je we mnie głupi Szółkowskiego list i przypuszczenie, jakoby Rachel była w klasztorze, gotując się do przyjęcia chrztu... Co za głupstwo! A ja przecież wiem, udowodniłem, przekonałem siebie i innych, że Boga niema... jest jeno twór myśli ludzkiej, pragnącej istnieć wiecznie, jest nieuchwytne, bezwiedne *Ens!*... nieubłagane fatum...

I porywał go śmiech szyderczy.

— A Rachel? — myślał dalej. — Ona może tu jest, ale nie w klasztorze... Zatęskniła pewnie do małżonka swego Barucha i z nim przebywa!

Ta myśl przeszyła go jak iskra płomienista. Syknął z bolu i jak szalony wybiegł na miasto. Był dzień bardzo mroźny, ale on zimna nie czuł, pędził, jakby go co gnało, i oparł się dopiero na szczycie góry, Bekieszową zwanej. Tam przy wieży, wzniesionej przez Stefana Batorego nad zwłokami słynnego wojownika, a jeszcze słynniejszego antitrynitarjusza, Kaspra Bekiesza przystanął, otwartemi usty wciągając lodowate powietrze. Przed jego oczyma rozciągało się teraz Wilno całe, urocze w swej białej, śnieżnej szacie, pełne drzew, okrytych szronem, połyskującym w blaskach chłodnego, zimowego słońca. U stóp jego wąska, napoły lodem ścięta, wstęga rzeki Wilejki, spływająca z cichym

szumem ku wspaniałej, lśniącej swą krystaliczną czystością Wilji.

Łyszczyński stał długo, wpatrzony w dal, chłonąc w siebie czar tego widoku, tracąc w tym momencie pamięć wszystkiego, co mu dolegało, uniesiony, porwany tą pięknością. Usiadł na stopniach kamiennych Bekieszowej namogilnej wieży... Czas upływał, słońce zniżało się ku zachodowi, i ze wszystkich kościołów ozwały się dzwony, wzywające wiernych na modlitwę za zmarłych... Dźwięki przeciągłe, jękliwe, rozchodziły się w powietrzu, rozpływając się w dali drżącem echem.

— Za zmarłych!... — pomyślał Łyszczyński. — Co za cudowna ułuda ta wiara w żywot poza grobem, w łączność żyjących z tymi, którzy już przeszli, rozpłynęli się bez śladu, jak drżące brzmienie tych dzwonów w powietrzu?... Ale ta pamięć o nich, jedynie nie samolubna, jest szczytna. Ona różni człowieka od zwierzęcia, które zmarłych swych nie grzebie i o nich nie pamięta... A o nim czy kto pamiętać będzie?...

Przeszedł go dreszcz na myśl o śmierci... Straszny to moment to znicestwienie istnienia, które nawykło czuć, że trwać będzie wieczyście... Czy on będzie miał dość odwagi, w tym momencie, iżby myśleć tak, jak teraz myśli, i tak, jak teraz nie wierzy — nie wierzyć?

Podniósł oczy w górę ku namogilnej wieży Bekiesza.

— Czy będzie miał tyle odwagi, co ten dumny magnat węgierski, współzawodnik w Siedmiogrodzie, a potem wierny króla Batorego sługa, zaciekły w swym arjanizmie, który w chwili śmierci miał śmiałość zawołać:

— Nieba nie żądam, piekła się nie boję!...

A on, Łyszczyński, na samą myśl o śmierci — drżał... Bo on miał w sobie w gruncie wierzącą a spłoszoną duszę, która lękała się własnej niewiary i w tę niewiarę sama uwierzyć nie mogła.

Mrok szybko zapadał; dziwny lęk ogarnął Kazimierza; od miasta dochodził do niego stłumiony i jakby groźny gwar, i szły stamtąd ku niemu opary, mgły i dymy, to rozsnuwające się w powietrzu, to poszarpane w łachmany, to znów łączące się w dziwaczne, potworne kształty. Szły ku niemu, okrążały, jakby chciały schwycić i udusić...

A on nagle rzucił się w tę mglistą toń... Zbiegł z góry i pędził dalej, brzegiem Wilji, aż do wielkiego mostu, Hozjuszowym zwanego. Poza rzeką dopiero przystanął zdyszany. Było cicho i pusto, jeno szum wód Wilji mącił ciszę. Łyszczyński za chwilę poszedł dalej; drażnił go szum wód; pragnął zupełnego spokoju. Tak daleko w tej stronie nigdy jeszcze nie był. Nagle przystanął zdrętwiały. Przed nim duże pole, okolone uszkodzonym w wielu miejscach murem, a zapełnione sterczącemi kamiennemi płytami... Mogiłki żydowskie!... Na to okopisko żydzi przewozili zmarłych swych przez Wilję czółnami, aby mostowego nie płacić.

Łyszczyński chciał się zawrócić i uciec z tego miejsca, gdy w tem zwróciły jego uwagę dwie postacie, wracające z mogiłek. Postacie niewieście, otulone w chusty; przodem idąca, rosła, smukła, przykuła wzrok Kazimierza do siebie. Przekroczyły wrota okopiska i szły śpiesznie, ale ujrzawszy naprzeciw siebie

idącego człowieka, przystanęły strwożone i miały taki ruch, jakby w inną stronę uciekać chciały.

Ale Kazimierz szybko ku nim poskoczył.

— Rachel!... krzyknął gwałtownie — odnajduję cię wreszcie!... Ty tutaj?...

Niewiasta cofała się przed nim. W mroku rysów rozpoznać nie mogła, lecz głos poznała odrazu. Przystanęła, cisnąc dłonią mocno bijące serce; słowa wydobyć nie mogła. Ale za moment oprzytomniawszy, poczęła mówić głosem cichym, bardzo łagodnym, jak ten, który Łyszczyński we śnie nieraz słyszał.

— To ja, panie... Żegnałam mogiłę, pod którą spoczywa dziadek mój... On mnie miłował... po swojemu, ale miłował tak bardzo, że nie mógł przeżyć mojego... odejścia...

— Przyjęłaś chrzest?... — przerwał porywczo Kazimierz.

— Nie jeszcze... — tym samym tonem mówiła Rachel. — Jeszczem tego niegodna... Za wiele mam dotychczas w sercu uczuć i myśli dawnych...

— Miłujesz mnie?... — przerwał porywczo Łyszczyński, chwytając ją za ramię.

Ona usuwała się łagodnie, ale stanowczo. Milczała chwilę, a potem, podnosząc ku niemu swe tęskne oczy, których spojrzenie on w głębi duszy odczuł, odrzekła zcicha:

— Pragnę waszego zbawienia tak samo, jak dla siebie...

— Więc wierzysz?...

— Wierzę!... Stał się we mnie cud... Wy swojem płomiennem słowem wygnaliście z mojej duszy wiarę dawną... obaliliście zabobon szyderstwem, wykazując

jego nicość. Ale natomiast wprowadziliście także w nicość... Ci, których miłowałam, którzy mi byli bliscy, stali mi się obcy i dalecy, bo wy otworzyliście mi oczy na ich mściwość, zaciekłość i brud. Stała się we mnie i wkoło mnie straszna pustka, którą zapełniła jeno wasza postać i wasze grzeszne miłowanie...

Rachel mówiła zwolna, spokojnie, mową składną, której nauczyła się w obcowaniu z uczonym rabinem Betsalem. Ale ten spokój i ta składność mowy raziły Kazimierza; każde słowo zdawało mu się kroplą lodowatej wody. Zmrożony, milczał.

Nagle ruszyła się Rachel.

— Nie stójmy tak w miejscu — rzekła: — mógłby kto zauważyć, a ja kryć się muszę...

Poszli razem naprzód, za nimi zaś o kilka kroków postępowała towarzysząca Racheli służebna. Zapanowało milczenie. Kazimierz czuł, że mógłby słyszeć, ale tak spokojnie, miarowo mówić nie zdoła. Czuł, że między nim a Rachelą rozwarła się przepaść, a raczej powstała zapora, tem bardziej nie do zwalczenia, że stworzyły ją inne zgoła myśli, uczucia, zapatrywania, zrodzone nagle w tym młodym a wrażliwym umyśle.

Rachel zaś szukała słów, jakiemi dalej mówić miała. I nagle zdecydowawszy się, głowę podniosła i rzekła:

— Tak było... miłowałam was nad wszystko, występnie... Mówiłam aż do tego momentu... pomnicie?... gdym wam skrypta wasze, Baruchowi wydarte, odniosła...

— Cha, cha, cha!... — zaśmiał się szyderczo Kazimierz — więc to ja cię nawróciłem... niechcący... cha, cha, cha!...

Rachel wstrzymała się i podniosła na niego oczy smutku pełne.

— Tak! — potwierdziła stanowczo. — Albowiem wówczas przejrzałam, że w was jest moc zła, która do występku wiedzie... że wasza mądrość po to olśniewa i pociąga, iżby do grzechu wieść... I teraz wasz śmiech jest zły... więc żegnajcie!...

Żywo poczęła iść, ale on za rękę ją pochwycił.

— Rachel! Rachel!... — ozwał się niemal błagalnie — ulituj się nademną!...

— To wy ulitujcie się nad sobą i nademną! — przerwała ona. — Dręczycie siebie i mnie, a poratunek tak bliski. Jam go znalazła w swojej srogiej niedoli. Po owem zajściu z wami... byłam jak szalona... Nie mogłam tu pozostać z dziadkiem i Baruchem, a nie wiedziałam dokąd iść... Zrana, nazajutrz, jakąś siłą pociągnięta, przechodząc podle ratusza, weszłam do kościoła Świętego Kazimierza i ukryłam się w zakątku... Kazał siwowłosy, zgrzybiały starzec... Dowiedziałam się później, jako to jest Tomasz Ujejski, który biskupstwo kijowskie i znaczne majętności rzucił, iżby służbie Bożej w celi zakonnej się oddać...

— Jezuita! fanatyk! inkwizytor! — mruknął przez zaciśnięte zęby Łyszczyński.

— Nie mówcie tak — przerwała Rachel: — to człek święty! Zrazu nie mogłam rozumieć i dobrze dosłyszeć słów jego, bo głos mu drżał i był słaby... Aż naraz usłyszałam wasze nazwisko...

— Przeklinał mnie!

— Mylicie się... zalecał modlić się o nawrócenie wasze; mówił o błędach waszych i potępiał je, ale mówił też o niewyczerpanem miłosierdziu Bożem...

Teraz słyszałem każde słowo i każde zostawało we mnie, napełniając niewymownem ukojeniem... A potem czytał modlitwy za was pokutne i błagalne, które cały lud odmawiał głośno, i ja z nim ze łzami cicho powtarzałem...

— Skuteczne modły!... — mruknął szyderczo Łyszczyński.

Ale Rachel, nie zważając na to, ciągnęła dalej:

— Czułam jednak na sobie ciężar wstydu, upokorzenia, iżem ja niegodna tam być wśród tych modlących się... że gdyby mnie poznano, wygnanoby mnie pewnie... Ogarniał mnie lęk, a zarazem pragnienie tak uczynić, iżby tej różnicy nie było. Gdy tedy starzec skończył i odszedł, ja pobiegłam za nim do zakrystji, padłam mu do nóg... i wyznałam wszystko...

— A on ci kazał wnet do klasztoru iść... — przerwał Kazimierz: — oni są chciwi na owieczki...

— Nie szydźcie!... — zawołała Rachel. — Ja wam odkrywam wszystko, bo chcę abyście wiedzieli; więc nie szydźcie! Przeciwnie, ja chciałam do klasztoru... A on mi rzekł:

— Tak chcesz teraz pod wpływem ziemskich uczuć... jutro żałowaćbyś mogła. Wypróbuj się wprzódy... wróć do rodzica...

— Uczyniłam, jak rozkazał... przebyłam srogie dni w Warszawie i powróciłam tu, potajemnie, z silniejszem jeszcze postanowieniem, niż przedtem...

Przeszli przez most i brzegiem rzeki zmierzali w górę ku miastu.

Rachel się wstrzymała.

— Teraz wiecie wszystko — rzekła — i żegnajcie... Muszę wracać... Niech Bóg czuwa nad wami!...

Przy ostatnich słowach głos jej stał się dziwnie miękkim i słodkim.

On zaś czuł, że stałaby się rzecz okropna, gdyby Rachel odeszła. Pochwycił ją za rękę, usiłował ku sobie przyciągnąć i zdławionym szeptem powtarzał:

— Nie! nie!... ostań!... chcę spojrzeć na ciebie...

Zbliżał twarz swoją ku niej i wzrokiem, który iskry siał, usiłował przebić ciemności, dojrzeć jej rysy. Wydały mu się blade, zmienione, surowe.

Rachel całą siłą starała się wydobyć swą rękę z jego uścisku.

— Opamiętajcie się! — mówiła: — nie każcie mi żałować tej rozmowy... dozwólcie, abym o was dobrą zachowała pamięć...

Głos jej znowu stał się ostry, twardy. A jego wówczas ogarnęła wściekłość. Nagłym ruchem pochwycił ją w objęcia i przytulił do siebie. Spieczonemi gorączką usty całował namiętnie jej czoło, włosy, usta.

Rachel prężyła się cała, odtrącała go. Służebna nadbiegła z pomocą, a ona szepnęła zdyszana:

— Zabijacie miłość moją... chcecie, iżbym was znienawidziła...

A na to słowo rozwarły się jego ramiona.

— Raczej piekło, niż nienawiść twoja!... Ja pragnę twego miłowania, twego głosu, spojrzenia twoich oczu... Pożądam, abyś moją była...

Ona chyliła głowę w dziwnem pomieszaniu. Nie odbiegała od niego teraz, gdy ją z objęcia uwolnił; stała blisko i nagle podnosząc głowę, utkwiła w niego głębokie spojrzenie.

— Kazimierzu! — rzekła, zwąc go tak po raz pierwszy — twoją jestem myślą i sercem, i taką zo-

stanę do ostatniego tchu... Pragnę, abyś był zemną czuciem i wiarą... Obacz się... i wejdź na drogę, na którą sam Bóg mnie skierował... Tak będziemy razem... A teraz żegnaj!...

Odchodziła... On porwał się ku niej.

— Dokąd idziesz?... — krzyknął.

— Do klasztoru, kędy mnie przygarnięto... na Zarzecze...

— Jakto?... do tego samego, gdzie...

— Tak!... Małżonka wasza zawsze niemocna... ale modli się za was i ja z nią... Myśleć i modlić się za was wolno mi...

Słowa zamarły na ustach Kazimierza. Stał w osłupieniu, patrząc, jak Rachel, ująwszy służebnę pod ramię, odeszła i znikła w ciemnym zaułku. Ostatnie jej słowa brzmiały mu w uszach: Wszyscy modlą się za niego, cały świat się modli... a on, sam jeden, odrębny, stoi, jak zbrodniarz wyklęty...

Nieznośny szum zapełnił mu głowę, w oczach migały błyskawice, a kiedy niekiedy wstrząsał nim dreszcz gwałtowny. Chwycił się oburącz za głowę i pędem wbiegł w miasto...

Przechodząc podle ratusza i mijając kościół św. Kazimierza, zaciśniętą pięścią pogroził. Na usta wybiegło mu bluźniercze szyderstwo. Ale je zdławił w sobie i wśród pogmatwanych w nieładzie myśli, wśród najsprzeczniejszych uczuć, które nim targały, to jedno jasno widział i to jedno wyraźnie czuł, że on tam, do tego klasztoru pójść musi i do nóg o. Tomaszowi Ujejskiemu padnie, nie prosząc o nic więcej, jeno o chwilę spokoju dla zmordowanej duszy...

Wracał na Antokol złamany, gdy wtem na za-

kręcie ulicy posłyszał za sobą śmiech i urągliwe słowa:

— A... a... dobrze wiedzieć, że waść już z powrotem... utyłeś waćpan na Sapieżyńskich wysługach... A to się ksiądz biskup ucieszy!

Żachnął się Łyszczyński i obejrzał. Pomimo ciemności rozpoznał chudą postać stolnika Brzoski, który, śmiejąc się, odchodził...

Gdy w kilka dni później Kazimierz chciał wyjść z pałacu, aby podążyć do o. Ujejskiego, z którym teraz codziennie konferencje miewał, zagrodzili mu drogę drabanci, a marszałek dworu rzekł:

— Jesteś waszmość więźniem pana wojewody... Rozkazanie mam nie puszczać na krok... Jutro zaś do Warszawy podążym...

XVII.

Sejm wlókł się bez żadnego pożytku. Burza wisiała w powietrzu, zapowiadana gwałtownemi starciami to w izbie poselskiej, to w senacie. Jakkolwiek król zamierzoną propozycję co do konfiskaty dóbr księżny neuburskiej cofnął, było rzeczą wiadomą, że posłowie litewscy, przez Sapiehów poduszczeni, sejm zerwać byli gotowi, skoroby tylko groźna sprawa spisku przeciw królowi i tajemnych stosunków panów polskich z zagranicznemi mocarstwami była poruszona. Król miał w ręku dokumenta, przychwycone korespondencje i niewątpliwe zeznanie jednego ze sprzysiężonych, jako spisek miał na celu złożenie go z tronu. Wiadomo było, że król z kilku wiernymi sobie senatorami odbywa ciągle narady, i że lada dzień marszałek wielki koronny Jabłonowski Stanisław ma tę sprawę wytoczyć w senacie. Mówiono już nawet o wyznaczeniu komisji dla zbadania dokumentów i oskarżenia winowajców.

W obozie sprzysiężonych wielki był popłoch; szukano jakiej sprawy, którąby uwagę sejmu w inną stronę odwrócić mogła, i uchwalono Łyszczyńskiego poświęcić. Hetman Sapieha, naciskany przez biskupa

Brzostowskiego i głośno oskarżany, że poruczonego mu więźnia na wolność wypuścił i jako posła swego wyprawił, jakkolwiek opierał się zrazu, ale wkońcu, lękając się, iżby ta sprawa gniewu króla już i tak wielkiego nie wzmogła — uległ. Rozkazał Łyszczyńkiego przytrzymać i do Warszawy na sąd sprowadzić. Lubomirski marszałek w ciągłych zatargach z duchowieństwem, a usilne czyniący zabiegi, iżby Stolica Apostolska uznała jego małżeństwo z Bokumówną, nie chciał także narażać się i stawać w obronie potępionego wyrokiem biskupim ateusza. Szlachta, podzielona na fakcje, ciągle straszona widmem dziedziczności tronu i zniesienia elekcji, nadto zajęta była obroną «źrenicy wolności», iżby o Łyszczyńskiego się upomnieć. Wołania Szółkowskiego, Grothusa, Galimskiego i kilku innych, przebrzmiewały bez skutku, dawnego nie budząc echa. I tak się stało, że Łyszczyński w lutym 1689 roku znalazł się w Warszawie, pozbawiony wszelakiej obrony, w więzieniu.

Zrazu był jakby zdrętwiały. Przejścia ostatnich czasów, zwłaszcza zaś pożegnanie z Rachelą, odebrały mu chęć do życia i własnej obrony. Do księdza Ujejskiego poszedł, ale jedynie pod wpływem słów Racheli, chciał widzieć człowieka, który tak potężne na nią wywarł wrażenie. I doznał rozczarowania.

Starzec zgrzybiały, skulony, bardzo chudy, z twarzą, jakgdyby z wosku ulepioną, mówił cicho, spokojnie, bez zapału. Jeno oczy, głęboko wpadłe, rzucały bystre, płomienne czasem spojrzenia. W dysputy się nie wdawał i nie chciał gwałtem nawracać; nie groził, ani wyklinał; słowa jego owszem były pełne wyrozumienia i dobroci.

— Już to samo, — rzekł — żeś przyszedł tu do mnie, świadczy, iż zawahałeś się w niedowiarstwie swem... Tknie cię Pan łaską swą a przejrzysz... Albowiem wiara jest łaską i o nią modlić się należy...

W duszy Kazimierza śmiało się szyderstwo.

— Modlić się?... — myślał — gdy ja nie umiem się modlić. To tak, jakby temu, który zęby stracił, kazał kto gryźć...

Pomimo tego jednak wrócił do Ujejskiego raz i drugi. Bądź co bądź, uspokajał go dziwnie ten cichy, pokorny mnich, który wszelakich dóbr ziemskich wyrzekł się dla klasztornej celi. Dziwnie też słodkie przejmowało go uczucie na myśl, że te same usta, które do niego przemawiają, mówiły przed chwilą do Racheli, wiedział bowiem, że ksiądz Ujejski codziennie udawał się do klasztoru na Zarzeczu, iżby tam zasad wiary świętej nauczać i przygotowywać nawróconą do przyjęcia chrztu. Ksiądz nie czynił z tego przed Łyszczyńskim tajemnicy i wspominał czasem o Racheli:

— Dzielna, czysta istota! — mówił — posiada pełnię łask Bożych i ma wielką moc... Ona modli się za ciebie, a ja ufam, że wymodli...

Budziło to powszechne w klasztorze zdziwienie, że Ujejski z taką dobrocią przyjmuje skazanego wyrokiem biskupów ateusza, lecz głośno sarkać nie śmiano, powaga bowiem tego biskupa mnicha była wielka. Ale zdumienie to przeszło wszelkie granice, gdy na wieść o pochwyceniu i uwięzieniu Łyszczyńskiego do Warszawy, Ujejski mocno się tem obruszył i wnet do rektora podążył.

— Pozwólcie, Ojcze — rzekł — iżbym do stolicy jechał... Ta dusza zginie beze mnie.

— Dusza na stracenie skazana... — wyklęta... — mruknął twardo rektor.

Ujejski głowę pochylił i odparł kornie:

— Mnie się widzi, że zbłąkana jeno w mroku... A dopóki takie przeświadczenie mam, nie wolno mi jej odstąpić... Dla zbawienia jednej duszy Chrystus byłby tak samo, jak za świat cały śmierć poniósł... Pozwólcie, Ojcze...

Rektor oczywiście przeciwić się nie mógł, jeno przedstawiać począł i błagać, iżby biskup w tak podeszłych leciech będący, ciężką niemocą często trapiony, na trud dalekiej podróży nie narażał się. Ale Ujejski nie myślał zważać na to i wziąwszy z sobą młodszego towarzysza, o. Martynjana Nestorowicza, nie zwłócząc, wyjechał, a z końcem lutego był już w stolicy.

Sprawa Łyszczyńskiego już niemal wówczas była rozstrzygnięta. Niektórzy biskupi, z nuncjuszem Cantelmim na czele, domagali się wprawdzie poddania jej na nowo trybunałowi duchownemu, ale większość przemogła. Zapomniano zgoła o sprawie neuburskiej, odwrócono, zgodnie z życzeniem Sapiehów, uwagę od spisku, knowanego przeciw królowi. Nikt już ani słuchać chciał o srogiej obeldze, wyrządzonej królewskiemu domowi w Berlinie; nie było już mowy o dokumentach, które miał w posiadaniu król, piętnujących pierwszych w Koronie i na Litwie panów, jako zdrajców stanu, a tak senat, jak i izba poselska, zajęte były wyłącznie roztrząsaniem winy Łyszczyńskiego i stopnia kary, jaką mu wymierzyć należało.

Wprawdzie szlachta województwa brzeskiego usiłowała jeszcze stawać w obronie swego podsędka i domagała się przez posłów swoich uwolnienia go z więzienia, iżby mógł swobodnie odpierać zarzuty. Ale usiłowania te były coraz słabsze. Wzniecono nieco wrzawy, ta wszakże, nie znalazłszy u senatorów poparcia, głuchła bez skutku.

Z martwoty, w jaką był popadł, budziły teraz Łyszczyńskiego ciągłe badania przed sądem. Raz nawet wpadł w wielki zapał. Na oskarżenie instygatora Kurowicza odpowiedział ognistą mową, w której jednak, nie zdoławszy ograniczyć się na odpieraniu zarzutów, z uniesieniem wyłuszczał swoją naukę i pojęcia o Najwyższej Istocie. To też mowa ta, jakkolwiek siłą swą wywarła wrażenie, nie przekonała nikogo, a raczej utwierdziła w przekonaniu, jako Łyszczyński wiarę w Boga nową jakąś teorją obala.

On czuł jednak, że wrażenie uczynił, i byłby z tego zadowolony, gdyby nie częste odwiedziny biskupów Załuskiego i Witwickiego, które go doprowadzały do rozpaczy. Słowa ich drażniły go raczej, niż nawracały.

Przed Załuskim, który go raził wyniosłością swą i gwałtownym tonem mowy, zawierał się tedy w zaciętem milczeniu, czasem jeno szyderczym śmiechem odpowiadając na jego wywody. A na tej podstawie biskup kijowski wydał już w duszy swej wyrok na niego, mieniąc go afrykańską bestją, albo gorszym jeszcze potworem o djamentowem sercu, które skruszyć się nie daje... A zaś poznański biskup, Witwicki, łagodniejszemi wprawdzie, lecz niemniej drażniącemi słowy, usiłował skłonić go do wyznania grzechów ca-

łego żywota, co jedynie zbawienie przynieść mogło. I w tym celu poddawał mu sam różne występki, o które go posądzał, a które zabiły w nim wiarę... Łyszczyński zaś myślał jeno nad tem, jakby co rychlej skończyć takie rozmowy, i raz indagacją taką na śmierć zmordowany, krzyknął w porywie:

— Tak, księże biskupie... grzeszyłem!... Nurzałem się w nieprawościach i rozpuście... Tak!

— Nieszczęsny!... — przerwał Witwicki. — Więc dlatego, aby zgłuszyć w sobie dręczące wyrzuty sumienia, wołałeś sobie i innym: Boga niema!...

Łyszczyński począł się okropnie śmiać.

— Tak! tak! — powtarzał: — zgadłeś biskupie!

I był kontent, że Witwicki zgorszony i oburzony, celę opuścił. Był kontent, że został sam w ciemnościach i ciszy, wśród której słyszał jeno tętno własnego serca, i kamiennym snem usypiał...

Budził się z postanowieniem przeczenia wszystkiemu, zaciętej walki o życie, pisał obrony i supliki do króla, szamotał się, targał, złorzeczył...

Raz po takim napadzie usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Ktoś wchodził do kaźni. Rzucił się ku drzwiom, gotów bronić swej samotności, wśród której mógł przynajmniej myśleć swobodnie i mówić głośno. I nagle cofnął się...

We drzwiach, w oświetleniu niesionej przez pachołka pochodni, ukazała mu się zgrzybiała, skulona postać ojca Ujejskiego. Oblicze jego było jeszcze bledsze, jeszcze bardziej przeźroczyste. Szedł krokiem chwiejnym, jak ten, któremu sił brak.

— To wy, Ojcze?... to wy!... — wyjąkał Łyszczyński, oczom własnym nie wierząc.

Ujejski rękę na ramieniu mu położył i głosem cichym, drżącym, rzekł:

— Przybyłem towarzyszyć ci, synu, w tym ciężkim terminie i ostatniej wędrówce, która i mnie niebawem czeka... Pragnę cię spotkać tam, u Najwyższego, czystym i jasnym, obmytym z grzechów przez srogą pokutę...

Kazimierza przeniknął dreszcz... Czyżby już był skazany?...

— Jakto?... — spytał — więc...

— Myśl o śmierci... Wyrok zapadł przedstanowczy... Jeszcze ma jeno złożyć przysięgę... delator.

— Brzoska! — krzyknął Łyszczyński — łotr! krzywoprzysięzca!

— Nie! — przerwał starzec — nie zwij go tak i nie przeklinaj... On powie prawdę... boś ty bluźnił Bogu i szerzył niewiarę...

Łyszczyński uczynił ruch gwałtowny, jakby zaprzeczyć chciał, ale Ujejski rzekł:

— Nie przerywaj!... Wiem, że tak było... wiem, coś nauczał i twierdził, i nietylko to wiem, co jest w skryptach twoich... Znam żywot twój i wiem, że był zły... Małżonkę swą wtrąciłeś w niedolę... córkę zniewoliłeś do nieprawnego ślubu, siałeś zgorszenie w umysłach młodych...

Łyszczyński rzucił się gwałtownie:

— Więc po co przychodzisz tu do mnie, złowieszczy mnichu! — wrzasnął. — Jeżelim zbrodzień, to niech zginę... Ale ty mi nie urągaj... Po co przyszedłeś?...

Ujejski prostował swą skuloną postać. Jego blada, przeźroczysta twarz poczynała płomienieć, głos się

wzmógł i był dzisiaj wcale inny niż dawniej, bardziej stanowczy, nawet surowy. Świątobliwy starzec postanowił snadź wydać ostateczną walkę tej krnąbrnej duszy, aby ją pokonać i do skruchy przywieść.

— Przyszedłem — odparł — wziąć w objęcia duszę twoją, iżby ją ukoić i z Bogiem pojednać... Przyszedłem wygnać z ciebie szatana pychy, który cię przywiódł do zguby. Nie klątwę ci przynoszę, ale ukojenie i błogosławieństwo na tę krótką, drogę, którą masz jeszcze przed sobą...

Łyszczyńskiego chwycił nagły lęk... począł drżeć na całem ciele.

— Więc śmierć... — wyszeptał — śmierć!...

— A czemże jest śmierć, — przerwał ksiądz — jeżeli nie początkiem nowego, lepszego żywota? Śmierć pogodna, w pojednaniu z Bogiem, z wiarą w sercu, z miłością i przebaczeniem na ustach?...

Jeszcze raz szyderstwo kusiło Łyszczyńskiego. Z gardła usiłował wydobyć się krzyk: Co mi ty prawisz kazania, które na pamięć znam? Co mi prawisz o lepszym żywocie, którego niema? o wierze, której nie posiadam? o miłości i przebaczeniu, gdy duszę mam pełną nienawiści i żądzy zemsty?...

Ale milczał. Rozejrzał się wokoło... Kaźń mała, wąska, zaledwie była oświetlona drżącym, czerwonawym płomieniem pochodni, którą pachołek więzienny, wychodząc, wetknął w obręcz żelazną przy murze. Z pochodni tej wysnuwał się kopcący dym, wił się po czarnych ścianach i tłumił światło, które drgające, niepewne, to rzucało się jaskrawym odblaskiem na wilgotne mury, to nikło w ciemnych zakątkach. A te blaski i te mroki, walcząc z sobą i zmieniając się na-

wzajem, tworzyły jakby jakieś dziwaczne widma, drgające w podskokach. A Łyszczyńskiemu zdało się, że to są jego własne myśli, wypełzłe z mózgu, szydercze i bluźnierstwa pełne, straszne i obrzydliwe.

Ksiądz zaś ciągnął dalej:

— Mówi do ciebie człowiek, który także jest na śmierć skazany i widzi ją zbliska. Czuję, że nieuchronny wyrok Boży zawisł nade mną... Czuję, że ty jesteś ostatnią duszą, którą usiłuję przywieść do Stwórcy i Odkupiciela... I dlatego takem się ciebie uczepił, że odegnać się nie dam, dopóki nie padniesz, synu, na kolana, nie wyznasz błędu swego i nie zapragniesz sam śmierci, któraby była odpokutowaniem i oczyszczeniem...

Łyszczyński słuchał, nie słysząc. To wszystko, co mówił ksiądz, zdawało mu się albo bardzo zwykłem, niemal pospolitem, albo zgoła niepojętem i fałszywem. Pragnienie śmierci w człowieku silnym i zdrowym — to fałsz wierutny. Mógł jej oczekiwać i bez oporu się poddawać taki zgrzybiały starzec, jak Ujejski, w którym wiek sędziwy zabijał zwolna wszelakie czucie, ale on?... On żyć chciał w tym momencie więcej, niż kiedy; właśnie teraz, gdy mu powiedziano, że grozi mu śmierć... I jakaż śmierć? W płomieniach... na stosie! Zdało mu się w tej chwili, że go ogarniają wszystkie ognie piekieł, że wżerają mu się w ciało aż do kości, że go dławi i dusi dym własnego ciała i krwi, która w nim kipi...

Ryknął wielkim głosem:

— Nie nie!... nie pod pręgierz!... nie na stos!...

Dygotał cały, oparł się plecami o ścianą i nagle runął na ziemię...

Ujejski przykląkł przy nim.

— Synu, — mówił łagodnie — obacz się... opamiętaj!... Pogódź się z losem, któryś sam sobie zgotował... Bądź mężny w pokucie, jakeś był zuchwały w grzechu!...

Ale Łyszczyński szamotał się na ziemi i jęczał. I znowu usiadł.

— A cóż ci, którzy za mną stali? — krzyknął. — Co Sapieha? co Lubomirski? co Litwa? co wreszcie król? Zali znikąd obrony? Łudzili fałszywą obietnicą, za narzędzie mieli, a teraz odstępują... podli! przeklęci!...

— Król, senatorowie i wszyscy niemal zgodni są w tem, że zbrodnia twoja wielka i odpokutowaną być musi... Inaczej bowiem Bóg gorsze jeszcze klęski zesłałby na tak już utrapioną Rzeczpospolitę... gorszy jeszcze mrok, w którym toną umysły i serca...

Dźwignął się z ziemi Ujejski, podniósł w górę twarz bladą i mówił jakby sam do siebie:

— Rozpasanie obyczajów, niewiara, waśnie, intrygi i spiski, przedajność i niecnota — oto mrok, w jakim pogrąża się Rzeczpospolita w tych ostatnich latach dobiegającego stulecia. Na nic bohaterstwo, na nic wojna święta, na nic zwycięstwa, które zdumiały świat!... Unicestwił to wszystko Pan w gniewie swoim... Więc muszą być ofiary... nietylko dobrowolne, lecz pokutnicze, przebłagalne, jak ty!...

Zwrócił się ku Kazimierzowi i mówił głosem twardym, stanowczym:

— Ty zginąć musisz!... Więc wybieraj: albo zginiesz w mękach, złorzecząc sobie i innym, jak o odrażający przykład niewiary i złości, albo umrzesz po-

jednany z Bogiem i ludźmi, pragnący naprawić choć w części złe, któreś wyrządził, pragnący sam oczyszczenia i pokuty; umrzesz, jako budujący przykład skruchy.

Łyszczyński siedział skulony, głowę wcisnął w kolana i milczał, jęcząc jeno głucho:

— Och!... och!...

Ujejski za chwilę mówił dalej, a głos jego stał się znów bardzo łagodnym:

— Różne są drogi, któremi Pan odkupioną duszę do zbawienia wiedzie... Co dalszy żywot daćby ci mógł? Pustkę, osamotnienie w pogardzie, nową rozpacz i nowe grzechy... Gdy tymczasem śmierć pokutna...

— Chcę żyć!... — krzyknął Łyszczyński głosem dziwnie zmienionym, który przerażającem echem odbił się w tej ponurej mrocznej, wilgotnej kaźni raczej do grobu niż do siedliska żyjącej istoty podobnej...

Ujejski pochylił się i rękę na ramieniu mu położył:

— I będziesz żył... musisz żyć wiecznie! A ja pragnę, abyś posiadł wieczność szczęśliwą...

Pochylił się jeszcze bardziej, prawie przykląkł przy nim i ramieniem go objął.

— Zważ, synu, — mówił niemal szeptem — jako są dziwne zrządzenia Boże... Tyś występną swą wolą usidlić chciał, oplątać i uwieść istotę czystą, szlachetną... I nie przypuszczałeś nawet, jako ty ją ku Bogu wiedziesz, albowiem właśnie w chwili, gdy ulec miała, Pan Najwyższy, bacząc na jej intencję dobrą, na jej poświęcenie, otworzył jej oczy na twój błąd i na światło Prawdy... I ona teraz modli się za ciebie

wraz ze mną, modli się o twoje nawrócenie i skruchę. Wsłuchaj się w głos swojej duszy, a usłyszysz jej słowa: «Jest Bóg! Ukorz się przed Nim, abyśmy w wieczności razem być mogli...»

Łyszczyński podniósł głowę... Zdało mu się w tej chwili, że mroczna kaźń jego rozświetliła się nagle bardzo łagodnym, błękitnawym odblaskiem. Zdało mu się, że widzi zstępującą ku niemu w tych blaskach czystą, jasną postać Racheli... Nie broniła się przeciw niemu, nie odpychała zimnem słowem i wzrokiem, lecz łagodna, dobra, chociaż smutna bardzo, wyciągała ku niemu oba ramiona, szepcąc:

— Bądźmy razem!...

A ksiądz Ujejski powtórzył raz jeszcze:

— Wsłuchaj się w duszę swoją, a usłyszysz głos jej... Ty i ona to dwie dusze, które ja pragnę za żywota swego doprowadzić do stóp Bożego tronu... oczyszczone z ziemskości...

Ty i ona! Ten świątobliwy starzec łączył ich dusze nierozerwalnym węzłem w wieczności... A na tę myśl niepojęta jakaś słodycz napełniła zawsze pojone goryczą Łyszczyńskiego serce. Zapragnął tej wieczności pogodnej...

— Rachel! Rachel! — wyszeptał.

I chwycił go ogromny płacz.

Ujejski wzniósł do góry wzrok dziękczynny. Już ani jednem słowem nie płoszył tej rzewności, w której tajała Łyszczyńskiego krnąbrność. Zaległo milczenie; słychać jeno było nie tłumione już zgoła łkanie skazańca...

Po chwili mnich klął, wzniósł w górę ramiona

i począł zwolna, uroczyście odmawiać słowa modlitwy Pańskiej:

«Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...»

Nie mówili już ani słowa z sobą. Jeno gdy biskup odchodzić chciał, Kazimierz przyczołgał się ku niemu i rzekł szeptem:

— Ostańcie, Ojcze... Lękam się myśli własnych i... buntu. Odmawiajcie modlitwy... ja słuchać pragnę...

Starzec pozostał z więźniem do rana.

XVIII.

Sprawa Łyszczyńskiego przeszła już wszystkie stadja. Po głosowaniu w senacie, potępiającem jednomyślnie ateusza i domagającem się jego śmierci na stosie, król otoczony zewsząd wrogami, świadomy spisków, przeciw sobie knowanych, zastraszony sam w sobie, iżby pobłażliwością dla bluźniercy gorszej kary Bożej nie ściągnąć, oprzeć się nie zdołał. I padło z tronu z ust zbladłych Jana III stłumione, drżące, lecz ostateczne słowo:

— Niech przekonanym będzie wedle prawa!...

A izba poselska, a szlachta milczała, trzymana na wodzy przez tych panów, którzy sprawą Łyszczyńskiego sami siebie i spisek swój zasłonili skutecznie.

Stolnik Brzoska kręcił się teraz, jak w ukropie. Miał dobrać równych sobie urodzeniem sześciu towarzyszów i wespół z nimi złożyć przysięgę, że nie przez złość Łyszczyńskiego oskarżył i nie zataił nic, coby na jego uniewinnienie służyć mogło... Ale znaleźć gotowych na taką przysięgę nie było rzeczą łatwą, i już stolnik rozpaczać począł, gdy przyszedł mu z pomocą Betsal, arendarz królewski. Przecież ten znienawidzony

powszechnie żyd trzymał ku obronie swojej całą zgraję dobrze płatną, a w niej nie brakło i takich szlachciców, którzy w tej nikczemnej służbie resztkami frymarczyli sumienia i na wszystko byli gotowi. Betsal rad, że sprawa Łyszczyńskiego, zaprzątając umysły, od własnych jego sprawek o różne zdzierstwa, przekupstwa, a nawet świętokradztwo, odwraca uwagę, a dysząc zemstą przeciw temu, którego uwodzicielem swej córki być mienił, chętnie dostarczył stolnikowi sześciu swoich, jak szyderczo nazywano «gwardzistów». W ich tedy towarzystwie Brzoska złożył przysięgę, i przebywszy ten przykry moment, w którym nawet i jego zatwardziałe serce truchlało, ręce zacierał z radości, myśląc, że skoro tylko Łyszczyński zginie, on osiągnie wreszcie długo żywioną zemstę, a nadto połowicę majątku skazańca, delatorowi należną.

— Wydźwignąłem się wkońcu! — szeptał — i już teraz nietylko moją Niewodnicę odzyskam, ale jeszcze i z Markowszczyzny coś mi przypaść musi...

Pragnąc rychło doczekać się tego podziału, wywiadywał się teraz pilnie, co się z Łyszczyńskim działo, i zatrwożył się wielce, gdy mu doniesiono, że zatwardziały dotychczas ateusz zgoła teraz zmiękł i spokorniał, błędy swe wyznaje, korzy się przed obrażonym Bożym Majestatem i codziennie z biskupem Ujejskim lub o. Nestorowiczem pobożne ćwiczenia odprawia.

— Łże, jak pies! — wołał stolnik bardzo niespokojny. — Lęka się o swoją skórę, więc łże, w mniemaniu, że może łaski dostąpi... Ale król przecież...

— Kto wie?... kto wie... — zapiszczał na to imci pan Pipan, jeden z Betsalowych «gwardzistów», syn

nobilitowanego mieszczanka, którego rodzic, człek zacny, z domu wygnać i wydziedziczyć musiał, — kto wie? Król jegomość dobrotliwy jest, a skoro pan Łyszczyński błędy swe publicznie w kościele odwoła, no, to... kto wie?

— Nie odwoła!... nie odwoła... — pocieszał się Brzoska, ale wątpliwości tem bardziej go gryzły, że nietylko pan Pipan, lecz i w całem mieście już głośno mówiono, jako Łyszczyński nawrócił się, a to za sprawą świątobliwego jezuity, niegdyś biskupa, Ujejskiego.

W rzeczywistości od tego czasu, gdy Kazimierz we łzach roztajał, Ujejski naprzemian z o. Nestorowiczem, nie opuszczali go ani na chwilę. A w nim budziły się jeszcze czasem dawne porywy i bunty, ale już na krótki jeno moment. Przemagały chwile uniesienia duchowego, a wówczas coraz silniej poruszało jego sercem pragnienie odpokutowania, oczyszczenia się dla szczęśliwej wieczności. Gdybyż mógł umrzeć odrazu! Ale przedtem czekały go jeszcze ciężkie próby, cięższe od śmierci.

Raz zrana przybył do niego Ujejski, i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Dziś, synu, w kościele świętego Jana masz się odprzysiąc swych błędów... jawnie wyznać swą wiarę... skruchą zbudować lud...

Łyszczyński całem ciałem drgnął.

— Nie zdołam! — jęknął — nie zdołam!...

Ujejski w oczach zgasłych miał łzy.

— Synu, — rzekł, — ufaj w moc Bożą, która cię dźwignie... Chodź!...

Wyszli z kaźni i szczelnie zamkniętym pojazdem

podążyli ku kościołowi. Łyszczyński był jakby obumarły. Na nogach się chwiał, gdy go wprowadzono przez zakrystję do świątyni. Oczy wbił w ziemię, nie widział nic i nikogo, a z głębi świątyni szedł ku niemu stłumiony, groźny pomruk, niby fal wzburzonego morza. Na moment otworzył oczy i spojrzał... Tysiące oczu, wytrzeszczonych ciekawie, chciwych wrażenia, groźnych, wrogich, uczuł na sobie.

Tłum ten wydał mu się bezmyślną bestją, apokaliptycznym potworem, który to rozpadał się na głów niezliczonych mnóstwo, to łączył w jedną głowę olbrzymią, z której tysiącznych oczu padały nie spojrzenia, lecz ogniste strzały... Kazimierz miał taką chwilę, chwilę, że szarpnął się wiodącym go, chcąc rzucić się w ten tłum bezmyślny a wrogi i krzyknąć:

— Oto mnie masz... rozszarp, ubij, ale się nie patrz!...

Wprowadzono go po stopniach na wysokie rusztowanie, obite kirem. Teraz widziano go ze wszech stron, i z ust tłumu, tej apokaliptycznej bestji, wyszedł już nie pomruk, lecz dziki krzyk zadowolonej żądzy:

— Haa! ha! haaa!...

Łyszczyński na kolana padł, twarzą ku ziemi... Znowu nie widział i nie słyszał nic. Za moment ozwały się żałobne, posępne tony organu, głusząc wrzawę tłumu, potem śpiewano psalmy pokutne, wreszcie nastała cisza. Biskup inflantski, Mikołaj Popławski, ten, pod którego przewodem pierwszy wyrok potępiający ateusza zapadł, wstąpił na kazalnicę i mówić począł. Mówił długo i mądrze, z zapałem, piętnując błędy Łyszczyńskiego i jego bezbożność. Ale każde słowo tego ka-

zania padało na serce skazańca lodem i mroziło je... On nad te wszystkie uczone wywody przenosił jedno proste a szczere Ujejskiego słowo. Wywody budziły w nim chęć odpowiedzi, sporu, — a słowo, tchnące miłością, głoszące, że wiara jest łaską, którą się jeno pokorą zdobywa, skruszyło serce i umysł hardy korzyło w proch.

— Ten, który rozumuje, — pomyślał Łyszczyński — już w połowie nie wierzy... Dobrzem to niegdyś rzekł, jako nauka mądrych roztropnem jest jeno kłamstwem.

Jeszcze raz pycha szturmowała do jego zgnębionego serca. Podniósł hardo głowę, długie, osiwiałe włosy z czoła odrzucił, dźwignął się nieco i spojrzał...

Przed nim ołtarz wielki, tonący w powodzi światła... Obok na tronie pod baldachimem król z całym dworem. Jan III, na klęczniku wsparty, z twarzą ukrytą w dłoniach, modlił się, czy też rozmyślał. Raz jeden tylko podniósł głowę, a wówczas ujrzał Łyszczyński to zawsze piękne, wyraziste oblicze, ale jakby schorzałe, pełne bolu i smutku. W prezbiterjum wielu panów koronnych i litewskich, wśród których rozpoznał Kazimierz hetmana Sapiehę, marszałka Lubomirskiego, Bokuma... Zeszli się tu wszyscy na to widowisko!...

Szyderstwo i gorycz zalały duszę Łyszczyńskiego. Omal nie wybuchnął śmiechem i piekącemi słowy. Ale wtem uczuł na swem ramieniu dotknięcie wyschłej ręki i usłyszał cichy i łagodny szept:

— Od ziemi odwróć oczy... W niebo patrz, kędy Zbawiciel wyciąga ku tobie dłonie... Tam znajdziesz miłosierdzie... nie tu... wśród ludzi...

Ujejski odgadł cudem, nadszedł w porę i jednem słowem zbierającą się burzę zażegnał...

Kazimierz pochwycił dłoń jego wyschłą i usta do niej przycisnął. Serce w nim roztajało znowu... pod powieką uczuł łzy...

— Nie odstępuj mnie, ojcze! — jęknął.

Ujejski pochylił się ku niemu.

— Teraz masz odwołanie czynić... — odparł. — Oto ten, który ci powie, co mówić masz, a potem publiczną absolucję ci da...

Łyszczyński podniósł łzawy wzrok i ujrzał przed sobą postać Witwickiego biskupa: chudą, wysoką, o twarzy bladej, rysach pięknych i bystrem spojrzeniu siwych, w głąb zapadłych oczu. Mówiono o nim, że był wielce ambitny i dążył do kardynalskiej purpury, ale to pewna, że był to człek rozumny i powagi niemałej, pobożności niezwykłej, który miłosiernemi uczynkami jednał sobie serca. Teraz twarz jego wyrażała głębokie współczucie, była jeszcze bledsza niż zwykle, a głos mu drżał, gdy zająwszy miejsce obok Łyszczyńskiego, przemówił do niego łagodnie:

— Wstań, synu... obudź skruchę w sercu swem, uznaj, żeś zbłądził, i zapragnij naprawić uczynione zgorszenie... zapragnij pokuty i śmierci doczesnej, iżbyś wiecznie żyć mógł...

Dał znak jednemu z kapłanów, który miał czytać ułożoną formułę odwołania.

Łyszczyński dźwignął się z klęczek i szybko pochylił się ku biskupowi:

— Niech ojciec Ujejski czyta!... — rzekł błagalnie — łatwiej mi będzie... powtarzać... Uczyńcie tę łaskę!...

Witwicki, który podobnie jak wszyscy wielką czcią Ujejskiego otaczał, ruszył się sam z miejsca i wziąwszy skrypt, zbliżył się do Ujejskiego, mówiąc:

— Skazaniec prosi, iżbyście sami czytali... Raczcie to uczynić...

Ujejski szybko pochwycił zwój, chwiejnym krokiem wszedł ponownie na rusztowanie i począł czytać zwolna, głosem drżącym. A Łyszczyński słowo za słowem powtarzał:

«Ja, Kazimierz Łyszczyński... najnieszczęśliwszy z ludzi, lekkomyślnością i zaślepieniem onego szaleńca przewyższywszy, który rzekł w sercu swojem, jako Boga niemasz... poważałem się naprzód wątpić, potem twierdzić, a na ostatek i pisać przeciw jestestwu, albo istnieniu Boga, którego chwałę niebo i ziemia głosi... przeciw Przenajświętszej Trójcy, bóstwu Pana Jezusa i Wcieleniu Jego... przeciw nienaruszonemu dziewictwu Panny Bogarodzicy...

Tu głos Łyszczyńskiego zaszedł łkaniem i uwiązł w krtani. Zachwiał się szepcząc:

— Nie! nie! nie mogę!...

Ojciec Ujejski ujął go mocno za rękę i spojrzał na niego długo, przeciągle. On zaś dyszał ciężko, chyląc głowę...

A tłum z wytrzeszczonemi oczyma z zapartym w piersi oddechem, upojony wrażeniem, czekał moment, a potem szemrać począł:

— Odwołać nie chce!... śmierć mu! na stos!...

Łyszczyński drgnął... Zdało mu się, że w tym szmerze poznaje głos Brzoski... On tam niewątpliwie być musi w tym krwiożerczym tłumie... cieszy się swoim triumfem!... Chciał krzyknąć złorzeczeniem, ale

w tymże momencie Ujejski pochylił mu się do ucha i szeptać począł słowa ukojenia, przypominając złożone przyrzeczenia pokory i cierpliwości.

Wnet też począł czytać dalej, ale szmer tłumu zagłuszał słowa, które Łyszczyński złamanym głosem powtarzał...

— Cicho! cicho! — wołano.

Tłum zakołysał się, znów oczy wytrzeszczył, dech zaparł i zmilknął.

Dopiero teraz ostatnie słowa zabrzmiały wyraźniej:

— ...«przed całym światem chrześcijańskim odprzysięgam się swej bezbożności... brzydzę się nią... potępiam wszystkie błędne pisma swoje... Wyznawam i wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi...»

Skończył, zachwiał się i całym ciężarem runął do stóp biskupa Witwickiego, który stał teraz w złocistej kapie, z mitrą na głowie z pastorałem w jednej a dyscypliną w drugiej ręce...

Dyscyplinę podniósł i uderzył nią leżącego w prochu skazańca... Uderzył raz... drugi... trzeci...

Za każdym ciosem, jakkolwiek uderzenie było lekkie, ciało Łyszczyńskiego prężyło się gwałtownie. Ciosy nie miały echa, a raczej echem ich było zduszone łkanie, chrypliwy jęk, który wydobywał się z piersi skazańca...

A teraz tłum zwarł się jeszcze bardziej... Głowa była przy głowie... niżsi wzrostem wspinali się na grzbiety stojących na przodzie... Otwierały się usta, jakby spragnione, dysząc głośno...

Ale i to skończyło się wreszcie, i Witwicki począł udzielać pokutnikowi rozgrzeszenia.

Mówił głośno, zwolna, uroczyście, błogosławiąc:

— *Ego te absolvo a peccatis tuis... in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti...*

A Łyszczyńskiemu zdało się w tej chwili, że przebył już wszystko, co jeno najstraszniejszego na ziemi przebyć mógł, i że jest już po śmierci... Spływało na niego ukojenie wielkie, jak gdyby te rozgrzeszające słowa biskupa zdejmowały z niego ciężar, który go dotychczas przytłaczał. Uczuł się nagle wyzwolonym, innym niż przed momentem.

— Powstań, synu... — ozwał się nad nim cichy Ujejskiego głos, ten głos, który umiał do głębi jego duszy przemawiać.

Dźwignął się na klęczki i pochwyciwszy suchą, twardą dłoń starca, począł okrywać ją pocałunkami... Chwytał go płacz, ale on stłumił łzy, powstał, odgarnął z czoła zburzone włosy i spojrzał...

W ołtarzu bocznym, w kaplicy, zajaśniało przed nim, wśród jaskrawych świateł, rozpięte na krzyżu Ciało Zbawiciela. Zdawało się drgać w tych blaskach. Oblicze Chrystusa w cierniowej koronie, zbolałe a pełne nadziemskiego spokoju, na które tylekroć spoglądał obojętnie, albo nawet szyderczo, przemawiało teraz do niego dziwnie wymownie:

«Jam śmiercią śmierć zwyciężył... Umarłem, abyś ty żył na wieki... Tyś mi bluźnił, a ja ci przebaczam... Jesteś mi teraz bliski i drogi!...»

Pierś Kazimierza wezbrała dawno niedoznawanem uniesieniem... Poczuł w sobie żarliwość lat młodzieńczych. Zwrócił się do ludu, do tego tłumu, który

go przed chwilą przejmował wstrętem i, zszedłszy o jeden stopień niżej z rusztowania, głosem silnym, dźwięcznym a przejmującym, zawołał:

— Oto ja, napoły umarły... skazaniec za ciężkie zbrodnie, mówię wam: Nie dociekajcie w pysze dzieł Bożych!... To pokuszenia szatana, który was, jak i mnie, oszukać usiłuje... Oczyma śmiertelnemi badać ukrytych przed nami tajemnic nie lża. Ku Prawdzie, przesłonionej, idźmy ślepo, słuchając wewnętrznego głosu, który nam mówi: Bóg jest!...

I stała się rzecz dziwna. Ten sam tłum, który przed momentem spoglądał na leżącego w prochu skazańca nieledwie z pogardą, a domagał się jego śmierci, ten sam tłum patrzył teraz z podziwem i pełnym poszanowania lękiem na jego rozpłomienioną zapałem twarz i chwytał każde jego słowo... Nie tłum nad nim, lecz on teraz nad tłumem panował. Niespokojną, chciwą duszę tego tłumu ognistem słowem on schwycił i uwięził.

Gdy za chwilę rozpoczęła się w obrębie kościoła procesja, rozstępowano się przed skazańcem, który szedł obok oo. Ujejskiego i Nestorowicza, spokojny, z oczyma utkwionemi w górę, nie widząc i nie słysząc nic, w błogiem rozmodleniu...

* * *

Na prośbę biskupów Popławskiego i Witwickiego, oraz samego skazańca, który przy ostatecznem odczytaniu mu wyroku w senacie, raczej głuchem łkaniem, niż słowy przemawiał król wyrok ten o tyle złagodził, że Łyszczyński nie żywcem spalony, lecz naprzód ścięty być miał.

I dnia 30 marca 1689 nadszedł ostateczny moment. Na rynku starej Warszawy od rana stały tłumy ogromne, dokoła wysokiego rusztowania, które w nocy wzniesiono.

Dzień był jasny, bardzo słoneczny i w tych porannych blaskach ukazała się nagle na rusztowaniu wysoka Łyszczyńskiego postać w towarzystwie o. Nestorowicza. Za nimi postępował kat z czterema pachołkami i trębaczem. Łyszczyński miał wzrok utkwiony w krzyż, który mu przed oczy stawił o. Nestorowicz, a potem podniósł głowę i długą chwilę patrzał w niebo rozjaśnione, bez chmurki. Twarz jego, bardzo blada i wychudła, okolona siwemi włosami, które wiatr targał, była dziwnie pogodna, niemal uśmiechnięta. Wszelakie szyderstwo, które ją nieraz krzywiło w walce życiowej, już znikło z duszy pojednanej z Bogiem i ludźmi. A gdy tak stał w więziennej, szarej odzieży, z obnażoną głową i szyją, wokoło której kołnierz obcięto, ze wzrokiem wzniesionym w górę, szły szepty w tłumie:

— Jaki on piękny!...

A jemu w tym momencie całe życie, przeszłość cała stanęła w oczach; wszystko, co przebył, co przecierpiał, co umiłował... Halszka, Zochna, Rachel... Och, Rachel!... Ona pewno w tym momencie na dalekim Zarzeczu wileńskiem, myśli o nim i za niego się modli!... Pierś wezbrała mu łzami... Mimowolnie powiódł dokoła wzrokiem i nagle drgnął cały. Porywczo krok postąpił naprzód, wytężając wzrok sztywnie... Tak! wątpliwości nie było... Rozpoznawał dobrze tę twarz pomarszczoną, żółtą i to zjadliwe spojrzenie świdrujących oczu... Stolnik Brzoska!... Z twarzy Łyszczyń-

skiego wszystka krew zbiegła do serca... Moment się wahał, ale wnet oczy podniósł w górę i wyciągając rękę w stronę kędy stał Brzoska, wielkim głosem, jakby w sobie samym krzyk nienawiści zagłuszyć chciał, zawołał:

— Przebaczam!...

Trębacz zatrąbił silnie, przeciągle, a o. Nestorowicz zbliżył się szybko do skazańca:

— Już czas! — szepnął.

«Miara czasu kończy się...» — pomyślał Łyszczyński i upadł na kolana.

Ksiądz raz jeszcze udzielił mu rozgrzeszenia. W tłumie ozwały się głośne łkania...

Skazaniec powstał z klęczek. Podano mu długą żerdź, na której końcu przytwierdzony był zwój... Jego bluźniercze skrypta! Pachołkowie kata rozżarzyli przygotowane ognisko, a gdy buchnęły płomienie, Łyszczyński wyciągnął żerdź. W jednym momencie ogień ogarnął skrypta... papier syczał, skręcał się, czerniał i spadał w szeleszczących, stalowych skrętach... A jemu zdało się, że pali własny mózg... własne myśli. Całego żywota myśli, które go tak dręczyły, szły w niwecz z nim razem!...

Stało się... Nie pozostało nic... Już sama żerdź płonęła... Łyszczyński cisnął ją w ognisko, podbiegł do kata, i przykląkłszy, sam głowę na klocu drewnianym złożył.

Mistrz spokojnie poprawił ją, wyrównał... z jednej i drugiej strony obejrzał... i znowu poprawił...

Jeszcze mgnienie oka... W promieniach słonecznych w silnych rękach mistrza zamigotał miecz... Jeden głuchy cios... Strumień krwi trysnął... Głowa Łyszczyń-

skiego potoczyła się na rusztowanie i zwrócona do ludu twarzą, stanęła... Targał nią i krzywił kurcz... usta to się otwierały, to zamykały szybko... powieki drgały... szeroko otwarły się oczy, jeszcze żywe, nie zgasłe. I wypłynął z nich potok łez, nie wypłakanych za żywota... Łzy zrazu czyste, potem krwawe.

Trębacz dał znak przeciągłym jękiem. I z wieżyc wszystkich kościołów ozwały się dzwony żałobne...

Tłum rozchodził się zgnębiony, szemrząc. Niektórzy tylko, najciekawsi, podążyli jeszcze za rogatki miejskie, kędy przewieziono zwłoki, tam na stosie spalono, a popioły wsypano w armatę i wystrzelono na wschód, w stronę tatarskich siedzib...

XIX.

Sprawa Łyszczyńskiego, która wlokła się od zerwanego sejmu grodzieńskiego i przez tyle czasu mąciła i zaprzątała umysły, przewlekana jeszcze w ostatniej chwili do niemożliwości, samą już ciężkością swoją dobiegła do kresu. A z nią usunęła się ta zasłona, za którą dotychczas skutecznie kryły się intrygi i spiski wrogów króla i domu Sobieskich. Pod tą osłoną mogli oni dotychczas skutecznie pognębiać króla, nie dopuszczając do uchwalenia konstytucji, któreby wobec niegodnej zdrady księżny Ludwiki, dały zadośćuczynienie obrażonej godności królewskiego domu, a warowały dobro Rzeczypospolitej. Hetman Sapieha zupełnie bezprawnie obsadził wojskiem litewskiem dobra i fortece księżny, iżby nie opuścić, aby je zajął król wojskiem koronnem w imieniu Rzeczypospolitej. Utrudniano też wszelkiemi sposobami zamierzone zawiązanie konfederacji przy królu, w obronie bezpieczeństwa wewnętrznego, godności majestatu, zatamowania spisków i ukarania spiskowców.

Sprawa tego spisku stała się tem drażliwszą, gdy u sekretarza marszałka wielkiego koronnego Stanisława Herakliusza Lubomirskiego, przychwycono skrypta i listy, udowadniające, że tak marszałek, jak i Sapie-

howie, hetman i podskarbi, w ciągłem działali porozumieniu z kanclerzem cesarskim Stratmanem i elektorem brandenburskim, dążąc do detronizacji króla i zniweczenia jego dynastycznych planów... Sekretarz marszałka uwięziony i pod sąd oddany... ale główni winowajcy byli jeszcze nietknięci, chociaż dokumenty były u króla, i Jan III wniósł je już na radę senatu.

Nie było tedy momentu do stracenia; niepodobna było dopuścić, aby ta sprawa nabrała jeszcze większego rozgłosu i przyszła pod sąd... Musiałaby wywołać oburzenie w narodzie, który niewątpliwie stanąłby wówczas przy królu i konfederacją zgubiłby spiskowców.

Próbowano jeszcze wywlec sprawę arendarza królewskiego Betsala; oskarżono go o zdzierstwa, lichwę, przekupstwa i świętokradztwo, grożono mu śmiercią; ale pomimo usiłowań sprawa ta nie miała tej siły, co Łyszczyńskiego proces, nie budziła takiego zajęcia, a nawet biskup Brzostowski przyczynił się sam do jej stłumienia, pamiętny gorliwości starego rabina i przyrzeczeń mu danych. Król wreszcie wyznaczył sam osobną komisję do zbadania czynionych Betsalowi zarzutów, a tymczasem oświadczył, że go bierze pod swoją opiekę...

Nie było tedy rady... Trzeba było sejm zerwać pomimo tylu niezałatwionych spraw i tylu zewsząd grożących niebezpieczeństw...

I stało się. Zaraz nazajutrz po Łyszczyńskiego zgonie, poseł litewski Alexandrowicz wszczął w sejmie burzę, a Szółkowski, całkowicie już oddany Sapiehom, pod błahym pozorem obrazy posłów litewskich, wyszedł z Izby z protestem, zrywając *activitatem*... Czekano na jego powrót do późnego wieczora, czekano

jeszcze i dwa dni następne — napróżno! Dnia 2 kwietnia sejm rozszedł się. Król blady, zgnębiony, rozbolały, słuchał ze łzami w oczach żałosnej, pożegnalnej mowy marszałka sejmowego Szczuki, a potem okazał jeszcze Stanom przychwyconą relację agenta brandenburskiego Wicherta, stwierdzającego winę spiskowców. Wzniósł ramiona do góry i zawołał z goryczą:

— Niema dobrego człowieka! niema ani jednego... Mrok! mrok! dokoła mrok!...

A duchy złe chciały święcić triumf w tym mroku...

Pan Brzoska wnet po egzekucji Łyszczyńskiego, wziąwszy z sobą Pipana i jeszcze jednego z Betsalowych gwardzistów, podążył ku Wilnu, rad co rychlej wziąć łup swój: połowicę majętności skazańca... Ale tam przybywszy, wnet się przekonał, że to łatwą rzeczą nie było. W umysłach, jako to zwykle bywa, zaszedł teraz zwrot. Śmierć okrutna Łyszczyńskiego nawróciła ku niemu tych nawet, którzy mu dawniej nieprzychylni byli, a wzmogła nienawiść ku delatorowi. Gdy w myśl wyroku, przystąpiono do burzenia dworku Łyszczyńskiego, w którym on bluźniercze pisma swe układał, Brzoska uczuł się życia niepewnym. Dokoła siebie słyszał jeno złorzeczenia i wyzwiska:

— Judasz!... krzywoprzysięzca!...

Dworek zniszczono, drzewa ogrodu zrąbano i spalono, ziemię, na której dworek ów stał, zaorano głęboko. A tłumy snuły się wokoło gniewne, rozżalone, gotowe rzucić się na wykonawców srogiego wyroku. Każdemu zdawało się, że to niszczą część jego mienia, każdy rozpamiętywał dzieje dawne i to wszystko, co niegdyś Łyszczyński dobrego uczynił...

Nad oraczami, gdy kończyli robotę, stała pani Morozowa, szlochając głośno.

— Jezu! Marja! — łkała. — Jezu! Marja!... Najlepszym był sąsiadem... cichy... spokojny... Wierzyć się nie chce... śladu niema... Tak niedawno go widziałam... o, tu... na tem miejscu... On mi powiada: «Dzień dobry, pani Morozowa!» A ja mu na to: — Bywajcie, mości podsędku!... Jezu! Marja!... I już ani śladu!...

Gdy stolnik, dnia tegoż, chciał się ukryć u niej przed zniewagami, któremi go na na ulicy ścigano, pani Morozowa za próg go nawet nie puściła, wrzeszcząc w niebogłosy:

— A tożby się ziemia pode mną rozpadła, albo deszcz ognisty mnie spalił, żebym takiego sodomczyka z wieży babilońskiej przyjęła... Uciekaj waść, bo miotła abo kociuba, abo co innego!...

Nawet pan Pipan z towarzyszem swym, z pod Betsalowej chorągwi, widząc, co się dzieje, opuścił stolnika, woląc o chłodzie i głodzie do stolicy wracać. Brzoska ukrył się przed nienawiścią ludzką u brata, o. Gedeona, w klasztorze jezuitów.

Ojciec Ujejski powrócił, schorzały bardzo. Dla niemocy, która go już była w Warszawie chwyciła, nie mógł towarzyszyć Łyszczyńskiemu na miejsce stracenia, a teraz po powrocie tak mocno zachorzał, że myślano, jako ducha wyzionie. I on sam już na śmierć się gotował.

Ale jednego rana dźwignął się starzec z łoża i rzekł:

— Na Zarzecze muszę!...

Miał tam on przecież jeszcze jedną duszę, której wrota żywota wiecznego przez chrzest otworzyć miał przed śmiercią...

Wyszły naprzeciw niego siostry zakonne, ze czcią wielką witając. On zaś drżący, na ramieniu o. Nestorowicza wsparty, zgasłemi oczyma dokoła wodził, szukając Racheli.

Ona do nóg mu przypadła. A potem wznosząc ku niemu bladą, jak opłatek, twarz, złożyła błagalnie dłonie.

— Teraz, ojcze, — szepnęła — już mnie na świecie nie trzyma nic... skończyło się wszystko... żadnych pragnień ani uczuć ziemskich nie mam... Dozwólcie oczyszczenia i chrztu!...

Starzec długi moment patrzył na nią... Jej twarz wychudła, oczy, których blask zagasł, suche, bo im łez nie stało, najlepiej świadczyły o przebytej i dokonanej walce.

Więc spytał:

— Czego żądasz od kościoła Bożego?...

Rachel w górę wyciągnęła ramiona. Rozjaśniła się jej twarz, zabłysły oczy, i odrzekła głosem silnym:

— Wiary!

KONIEC.

Lwów, 24 maja 1902 r.

PRINTED IN POLAND